

XX LAT KONKURSU LITERACKIEGO

KRAJOBRAZY SŁOWA



POEZJA I PROZA
LAUREATÓW
KONKURSU LITERACKIEGO

- Nie powiem
– nasze jest tylko to, co tracimy
– powiem Borges
- Nie powiem
– konkurs
– powiem Krajobrazy Słowa
- Nie powiem
– w lunaparkach smutny
– powiem Jacek Podsiadło
- Nie powiem
– opowieść o chlebie
– powiem Piotr Kowalski
- Nie powiem
– przygoda
– powiem Kędzierzyn-Koźle
- Nie powiem
– kobieta potrafi
– powiem Helena Bulanda
- Nie powiem
– Marta Fox
– powiem jurorka

Marta Fox

KRAJOBRAZY SŁOWA

XX Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2013

KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU
Kędzierzyn-Koźle 2013

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **„ELBOR” Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany
w Kędzierzynie-Koźlu**
 - **Grupa Azoty Zakłady Azotowe Kędzierzynie S.A.**
- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
 - **Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego**

Projekt okładki
Leszek Ołdak

Opracowanie redakcyjne
Maria Szwed

Korekta
Maria Szwed

ISBN 978-83-928693-2-0
978-83-7511-167-5



DWADZIEŚCIA LAT Z POEZJĄ I PROZĄ W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU

Jubileusz dwudziestolecia konkursu literackiego skłania do refleksji. Jako obserwator sceny poetyckiej ostatnich dekad muszę stwierdzić, że ambicje niektórych ośrodków były w tym zakresie wielkie. Na horyzoncie życia literackiego pojawiało się wiele tego rodzaju prób, lecz zapachu i wytrwałości (oraz pieniędzy) nie starczało na długo, i zazwyczaj te wielce pocziwe inicjatywy ożywienia kulturalnego regionów upadały po trzech, czterech latach. W Kędzierzynie-Koźlu wręcz odwrotnie – udało się dotrwać aż do dwudziestej edycji. Pogratulować cierpliwości, samozaparcia, konsekwencji i zaangażowania. I bynajmniej nie mieliśmy do czynienia z jakąś smętną prowincjonalną wegetacją. To raczej był postępujący rozwój. Od małej imprezy miejskiej do jednego z najbardziej poważanych konkursów ogólnokrajowych.

Na temat jego historii więcej informacji znaleźć można na stronie internetowej biblioteki. „Ogłoszony po raz pierwszy przez Miejską Bibliotekę Publiczną w 1993 roku ożywił i zaktywizował kulturalnie i literacko kędzierzyńsko-kozielską społeczność. Stworzył szansę młodym ludziom sprawdzenia swoich umiejętności pisarskich, porównania się z innymi, przekonania o artystycznej wartości swoich utworów. W ciągu 19 lat wpłynęło 15 589 prac, w tym 13 997 wierszy i 1588 utworów prozatorskich. Liczba uczestników wyniosła 3292 osób. Prace nadsyłano z różnych stron Polski, m.in. z Warszawy, Krakowa, Lublina, Białegostoku, Szczecina, Gdańska, Łodzi, Nowego Sącza, Kielc, Poznania, Katowic. W ostatnich latach konkurs swoim zasięgiem przekroczył granice kraju. Prace konkursowe zaczęły napływać z Francji, Litwy, Niemiec, Włoch, Norwegii i Szwecji”. W grupie nagrodzonych są twórcy, których sukces w kędzierzyńsko-kozielskim konkursie zdopingował do aktywniejszej obecności na łamach prasy literackiej i wydania tomiku poetyckiego bądź książki prozatorskiej. Można by wymienić między innymi takich autorów, jak Paweł Lekszycki, Wojciech Brzoska, Grzegorz

Tomicki, Cezary Domarus, Augustyn Baran, Anna Fidecka, Katarzyna Ewa Zdanowicz, Juliusz Gabryel, Izabela Wageman, Radosław Wiśniewski, Mirka Szychowiak, Czesław Markiewicz, Rafał Gawin, Karol Graczyk, Izabela Kawczyńska, Robert Król, Krzysztof Bieliń, Łukasz Bagiński, Rafał Baron, Janusz Radwański, Wojciech Roszkowski, Piotr Rowicki, Mariusz Tenerowicz, Tomasz Pułka, Michał Murowaniecki, Anna A. Tomaszewska, Paweł Podlipniak, Marcin Orlński i Przemysław Owczarek. A wśród jurorów sprawujących pieczę nad wysokim poziomem kędzierzyńsko-kozielskiego konkursu spotykamy takie postacie, jak świętej pamięci profesor Piotr Kowalski (który także redagował pokonkursowe almanachy), profesor Marian Kisiel, poeta i redaktor Jan Goczół, pisarka i redaktor naczelny czasopisma „Wyrazy” Dorota Stasikowska-Woźniak, poetka i prozaiczka Marta Fox oraz Jacek Podsiadło, wybitny poeta pokolenia „brulionu”.

I tak dotarliśmy do roku 2013, kiedy możemy świętować fakt pojawienia się w Kędzierzynie-Koźlu bardzo dobrej literatury. Oto główne nagrody w kategorii poezji i prozy otrzymują mieszkanki tego miasta, Anna Tłaska i Adrianna Dziadyk. Czy to nie jest owoc tego konkursu, wymierny efekt stworzenia dobrego w tym mieście klimatu dla samodzielnych poszukiwań artystycznych, czy nie widać tu wpływu na rozbudzanie literackich pasji mieszkańców? Wydaje mi się, że coś jest na rzeczy i za to należą się słowa uznania dla organizatorów.

Pomińmy jednak względne hierarchie i rzekome różnice punktowe, próbując wyłuszczyć to, co w tym roku zwróciło uwagę jury. Okazało się, że byliśmy zgodni w promowaniu literackiej solidności, a może nawet profesjonalizmu. Nagrodzone fragmenty prozy sytuują się w kręgu tak różnorodnych poetyk, że trudno zamknąć je w jednej definicji, łącząc je jednak na pewno doskonałą warsztat. Opowieści te wciągnęły nas, po ludzku zainteresowały, wzruszyły, zadumały, zaś włączający się raz po raz instynkt krytyczny nie miał im nic do zarzucenia pod względem formalnym. To bardzo dobra proza, która zapewne czeka już gdzieś na swój debiut w poważnych wydawnictwach. Do poezji podchodziliśmy tym razem jak do jeża, bojąc się męczącej powtarzalności i, przepraszam za słowo, nudy. Towarzyszyło nam przekonanie, że coraz więcej na poetyckiej scenie dublujących się conceptów, pastiszujących się głosów. Na szczęście te najlepsze, czyli nagrodzone, prezentacje wybroniły się same sugestywnością, autentycznością,

prawdą indywidualnego doświadczenia. Tym autorom udało się uciec od lirycznej „urawniłówki”, a nam jurorom sprawić przyjemność i dać możliwość obserwowania, jak to z każdym wierszem widać rosnącą osobowość, rozkwit osobny. Bo taki jest chyba ostateczny sens naszego spotkania się w Kędzierzynie-Koźlu i... literaturze. To ma być – i przecież jest – rodzaj szkoły rozumienia nie tyle samej literatury, co przede wszystkim człowieka i jego miejsca w świecie.

Karol Maliszewski

ADRIANNA DZIADYK
godło: „Severus Snape”

Nagroda Marszałka Województwa
Opolskiego w dziedzinie prozy



ADRIANNA DZIADYK – studentka wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Grafiki i Sztuki Mediów. Ulubieni twórcy to Haruki Murakami, Joanne Kathleen Rowling, Miron Białoszewski, René Magritte. Prowadzi stronę „The Industrial Dog”. Laureatka XIX edycji Krajobrazów Słowa.

UCIEKAJĄC

Był pewien czas, gdy uciekałam od wszystkiego i od wszystkich, i wyobraziłam sobie białe święta w zamarzniętej wiosce w domku mojej babci. Spakowałam niewiele rzeczy; przede wszystkim laptopa. Sama podróż paskudna; nawet nie zimno a mokro, mdła, udawana kawa z dworca i wszechobecny smród bezdomnych suszących się w obszernej warszawskiej poczekalni. W końcu przyjechał równie stęchły pekaes, do którego się nie zmieściłam i dopiero w drugim, emanując wstrętem do reszty pasażerów, usiadłam z samego przodu, zaraz za kierowcą, by nie było mnie widać. Minę przywdziałam taką, że nikt nawet nie pytał czy jest tu wolne, a ja dodatkowo zbudowałam szczelny mur z płaszcza, szalika, wełnianych rękawic i długiej także czapki, aby mi wszyscy dali święty spokój. I miałam go, choć strach był, a jak, że dosiędzie się do mnie jakaś babuleńka z wioski, i nie to, żebym musiała z nią rozmawiać, to nawet nie byłoby takie złe jak wdychać zapach nagromadzony przez lata, od głębokiego Gierka w jej kurtce, w podpince i czapce.

Taktyka była skuteczna. Przed moim potencjalnym współpasażerem pojawiał się najpierw mur z szalika, czapki i płaszcza, gdzieś gdzieś poprzetykany rękawiczką. Zza krawędzi wystawała moja jasna czupryna i spojrzenie mordercze. Niedoszły towarzysz (lub towarzyszka) znikał z pola rażenia mojego wzroku, ja chowałam się i robiłam to, co w podróży lubię najbardziej: w słuchawkach muzyka, ja w pozycji cesarskiej, prawie leżącej z nogami wysoko w niebo, a dookoła mnie papierki, tony, miliony papierków po słodyczach. Słodko aż do porzygu. Nim mnie zemdlilo, połowa drogi była już za mną.

Japonia była dziewczyną, która dzień w dzień kursowała obokurym peerelowskim autobusem do szkoły i z powrotem. Każdego ranka przeklinała dzień, w którym zdecydowała się na codzienne dojeżdżanie do miasta X. Wstawała i ponownie zasypiała siedząc na ubikacji,

co było powodem jej ciągłych spóźnień na PKS. Japonia pochodziła z niewielkiej wioski niedaleko Warszawy, a może bliżej już Ostrołęki czy nawet Olsztyna, nie pamiętam. Poznałam ją w takim właśnie pe-kaesie, który sypał się, warczał, skomlał i chrząkał przez całą podróż.

Była dosyć oryginalną dziewczyną, nie wiem nawet jak miała na imię, jej też nie wydało się ważnym przedstawić się. „Japonia” przylgnęło do niej idealnie i na pierwszy rzut oka przypominała drapieżną japońską laleczkę, jakby była wrysowana w rzeczywistość z japońskiej mangi: długie, ciemne włosy spinała w dwa luźne, dyndające wysoko kucyki przewiązane wstążką, gdzieś tam przez czerni jej włosów były widoczne przeblęski różowego zmieszanego z mocną czerwienią. Zaraz pod ciemną linią grzywki sytuowały się czarne, wyraziste oczy, mocno zarysowane konturówką. Na moje pytanie, dość niedelikatnie odpowiedziała, że Kraj Kwitnącej Wiśni w ogóle jej nie interesuje, a jej wygląd pochodzi z wnętrza.

Autobus, stary gruchot, zatrzymał się na małym, zabłoconym przystanku. Ludzie powoli wtoczyli się do jego wnętrza, kupując bilet u kierowcy. Pozostałością po pegeerach podwarszawskich są właśnie te małe, zabłocone przystanki i kupowanie biletów autobusowych u kierowcy. Siedząc z przodu zaraz za kierowcą, miałam idealny widok na tych wszystkich wchodzących i wychodzących, z niemą agresją wpatrując się w tych pierwszych, aż przede mną stanęła niewysoka dziewczyna w glanach, z długimi czarno-czerwonymi włosami i pytającym, lekko naiwnym spojrzeniem. Najpierw pomyślałam, że ta naiwność z jej oczu to oznaka jakieś choroby psychicznej, bo władowała się na siedzenie obok mnie z impetem, niszcząc mój szczelny płaszczowo-szalikowo-czapkowy mur bezpieczeństwa.

– No, w razie wypadku to na tym miejscu są zawsze trupy – przywitała mnie w ten nieoczekiwany sposób, ignorując zuchwale przy tym wszystkie moje pozawerbalne komunikaty odstrasżające. – Ale proszę się nie martwić, teraz to nie wiadomo, gdzie trzeba siedzieć, żeby było bezpiecznie – podciągnęła kolana pod siebie i dodała: – A zwłaszcza w tym rzęchu.

Japonia. To pierwsze, co przyszło mi na myśl. Dzielnice Harajuku i spędy dzieciaków, a nawet studentów kochających colspay. Tak ją nazwałam, dla samej siebie. Bezpardonowość tej dziewczyny zaskoczyła mnie na tyle, że z miną łaskawcy odsunęłam swoje rzeczy na

bok, a kolana podciągnęłam pod brodę, obnażając w tym geście moje skarpetki z różową falbanką, które moja nieoczekiwana towarzyszka nazwała „kawaii”. Zmrużyłam oczy. Stwierdzając, że tym określeniem jednak nie próbowała w żaden sposób mnie obrazić (na wszelki wypadek łaskawie przebaczyłam jej ten nietakt), siebie samą pokajałam za założenie tych idiotycznych skarpet na podróż.

Mówiła bardzo dużo, co chwila chichocząc uroczo, delikatnie potrząsała swoimi dziewczymi kucykami. Wstążeczki falowały hipnotycznie w rytm jej chichotu. Po chwili cała niechęć do współpasażera gdzieś odpłynęła i otworzywszy lekko usta wgapiałam się niezbyt mądrze w te wstążeczki, w te rozchichotane kucyki przebłyskujące różem. Gdy zdjęła kurtkę, okazało się, że jest wyzywająca od stóp aż po te kucyki. Dekolt bluzki miała olbrzymi, a i jego zawartość też nie była jaka; obfity biust wylewał się tu i ówdzie, dodatkowo falował z każdym parsknięciem autobusu. Wgapiałam się więc raz w dziecięce wstążeczki, raz w chlupoczący z rozedrgania biust, myśląc sobie, że gdyby matka natura czy inne równie mocne medium górujące nad naszym losem zadbało o wyposażenie mnie w przynajmniej przeciętne w rozmiarze cycki, nie zazdrościłabym ich teraz innym. A tak chcąc nie chcąc, mój wzrok kierował się za każdym razem w to samo miejsce jakby przyzywany obietnicą, że jak się napatrzę odpowiednio, to może i mnie coś wyrośnie w miejscu, które powszechnie nazywane jest klatką piersiową (choć u mnie przypomina raczej plecy).

Spędziłyśmy razem pół godziny, lecz cały ten czas Japonia wykorzystwała na opowiedzenie historii swojego życia. Nie żałowała mi żadnych szczegółów, jakby przypuszczając, że to nasze spotkanie będzie jednorazowe, że nasza krótkotrwała przyjaźń trwać będzie tylko jedną podróż do X. A może wcale nie planowała opowiedzenia mi tego wszystkiego, a wyszło to tak po prostu, bo nie mogła się powstrzymać i każdemu napotkanemu (który tylko chciał słuchać) wyzalała się? Gdy myślę o tym z perspektywy czasu, zastanawiam się, skąd ta pewność u niej, że chciałam słuchać? Ale stanowczość z jaką weszła w moją samotnie utworzoną na siedzeniu starego pekaesu tak mnie oszołomiła, że zdjęłam słuchawki z uszu i zaczęłam słuchać, aż w końcu sama nie wiedziałam, kiedy jej historia zaciekała mnie tak, jakbym czytała dobre opowiadanie.

Podróżując autobusem Japonia obserwowała ludzi – nie lubiła czytać, zresztą nawet nie miała pojęcia, za co mogłaby się zabrać, od lat

kolekcjonowali w jej domu tylko gazety telewizyjne, a jej młodsza siostra nałogowo kupowała wszystkie czasopisma dla nastolatek. Japonia nie cierpiała swojej mieściny, tej prowincji, jak to nazywała i codziennie dzielnie znosiła poranne wstawanie i niemoralne propozycje od pijanych lub skacowanych brudasów jeżdżących do podrzędnej pracy w większej mieście. Dobrze wiedziała, że jej lolitowaty wygląd, połączenie glanów, krótkiej spódniczki i piaseczocha na nadgarstku będzie dla ludzi tego pokroju okazją do zaczepek i marzyła, by móc wyjechać do większego miasta i żyć własnym życiem, własnym rytmem. Wzrok pasażerów skupiony na jej tyłku nie przeszkadzał jej, a nawet dawał jej poczucie satysfakcji, gdy do któregoś z namolnych staruchów mogła puścić soczystą wiązanke, okręcić mu przed nosem spódniczką i uciec z autobusu z zadziorną miną niepokornej. Po takiej akcji Japonia zawsze miała uczucie, że kiedyś spotka ją kara za złe zachowanie. To pewnie była jeszcze dziecięca świadomość nieuniknionej kary od Pani Bozi.

– Jeszcze trochę – mówiła z przejęciem, a jej oczy migotały blaskiem, dziewczęce kucyki zatrzęsły się w rytmie ruchu autobusu. – Wyjadę do Warszawy. Na stałe. Tam będę mogła robić to co chcę, bo wszyscy tu tak robią? Prawda? Prawda?

W każdym bądź razie X. było zbyt małe dla takich ludzi jak ona. Tego byłam pewna i ja, choć w Warszawie nie spotykałam małych kopii Harajuku. Prędzej smukłych gejów, nadąsanych ludzi w garniturach, nocą rozpitych studentów z Warshaffki, małe galerianki. Ale jej największym marzeniem było spalić wszystkie mosty. O tym tylko myślała.

Japonia była małą czarnulką o naiwnym spojrzeniu i krótkiej mini. Była ordynarna, pyskata i bezpośrednia, jak już zdążyłam zauważyć. Nie bała się, że to, co mi powie, zostanie kiedyś użyte przeciw niej. Nawet z pewną śmiałością mówiła mi o wszystkim, tak bardzo pewna, że gdy odejdzie, to już się nie spotkamy. Czy myślała o tym, że ja będę rozpamiętywała to spotkanie, rozgarniała je, rozgrzebywała i wyluskiwała pewne szczegóły? A te szczegóły, najmniejsze, najdrobniejsze wbiły się we mnie, przeszły do krwioobiegu i osiadły na dnie mego usychającego serca, które zapewne jeszcze gdzieś było, choć nie wiem gdzie. Bo wiele lat temu, ja tak samo spaliłam wszystkie mosty i uciekłam daleko, daleko. I prawie nikt mnie nie szukał, a o tych, co

byli „prawie” wkrótce udało mi się zapomnieć, wspomnienie o nich zasuszając wraz z sercem gdzieś głęboko we mnie.

A tymczasem ona codziennie wstawiała rano i niedospana przeklinała dzień, w którym zdecydowała się jeździć do szkoły do X. Starła się za wszelką cenę uwolnić od całego prowincjonalizmu, którym przesiąkła do głębi, którego zapach czuła na każdym skrawku swojego ubrania i na każdym odcinku swojego ciała. Przyjazdy do X. były chwilowym oderwaniem się od świata, którego nie czuła, gardziła swoją rodzinną wioską i tymi ludźmi. Miała gdzieś to, skąd pochodzi. Odcinała się od korzeni i więdła, przykrywając rozkład bezpardonowym zachowaniem. A smród, który cały czas czuła zalewała wieczorem żel pod prysznic. I nadziejami na lepsze życie w warszawskim rytmie dni i nocy.

Rodzice Japonii nie byli zadowoleni z nowego wizerunku córki. Poculi ogromną ulgę, gdy Japonia oznajmiła im, że nie zamierza już więcej chodzić z nimi do kościoła. Na pytania sąsiadów rodzice uśmiechali się zakłopotani, unosząc ramiona w geście niezrozumienia, aż w końcu machając na to wszystko ręką. Nie mówili nic oprócz pojękiwań matki i przekleństw wąsatego ojca. W domu tolerowali nowy styl dziewczyny, dopóki się dobrze uczyła, dopóty mogła robić to, co chce. Oczywiście, przy każdej możliwej okazji dawali jej do zrozumienia, jak bardzo wstydzą się jej i boją tego, o czym mówią sąsiedzi pod ich adresem. Bo przecież inne dziewczynki w jej wieku, to jej dawne koleżanki, które ubierają się stosownie, co starsza i rozsądniejsza to znalazła sobie jakiegoś miłego chłopaka i się zaręczyła, albo jest tuż przed ślubem. Japonię bolało to, co mówili, co robili, co jej okazywali, dlatego do domu starała się wracać ostatnim autobusem, na docinki i delikatne sugestie rodziny nie reagowała; co oni mogli o tym wiedzieć? Patrzyli tylko na te wszystkie dziewczyny, na tych wszystkich chłopaków, na jej dawne koleżanki i dawnych znajomych przez pryzmat czasów, gdy wszyscy byli niewinnymi dziećmi. Gdyby tylko mogli wiedzieć to, co wiedziała ona, co ona widziała, słyszała i co czuła. Te wszystkie rozsądne dziewczyny, które w tygodniu były miłymi, pomagającymi rodzicom przy gospodarstwie panienkami, bardzo chętnie wyskakiwały z majtek za remizą, gdzie trwała wiejska, tradycyjna potupajka, a w niedzielę wkładały dawną maskę i zmywały mleczkiem do demakijażu kurwki z oczu. Wybierały się wtedy do kościoła, naj-

częściej pod rękę z babcią, która nic nie wiedziała i przecież wcale nie chciała wiedzieć, co się wydarzyło za remizą.

Japonia wiedziała to wszystko i nawet więcej. Czasami tylko, jak powiedziała, boi się, że jej starania pójdą na marne i czy jest sens to wszystko kontynuować? Przecież cały czas będzie musiała być od kogoś zależna; najpierw od rodziców, potem chłopaka, męża. Ona chciała być wolna. Być tu i teraz, żyć według własnego scenariusza. Smutek przedzierał się przez jej słowa, gdy o tym wspominała. Zamilkła wtedy na chwilę, autobus wpadł kołem w dziurę i zatrząsł się; zatrzęsłam się ja, jej wstążeczki i zatrząsł się jej biust. Gdzieś na końcu autobusu ktoś chyba wymiotował. Jęknęłam. W gruncie rzeczy, gdyby nie jej wyjazdy do X. byłaby (prawdopodobnie) jedną z tych rozsądnych panienek, które planują ślub z narzeczonym. Z narzeczonym, dzięki któremu za remizą te wszystkie panienki wyskakują z majtek. A ona byłaby tą jedną jedyną, która wpadła jak śliwka w kompot, która musiałaby szczęśliwa i z miną zwyciężczyni wypisywać zaproszenia ślubne, w nocy nie spać, rozmyślając nad tym wszystkim, co się wydarzyło i czy się jeszcze wydarzy, i że życie tak katastrofalnie się kończy.

ANNA TLĄKA
godło: „mgła wieczorna”

Nagroda Prezydenta Miasta
w dziedzinie poezji



ANNA TLĄKA – specjalistka edukacji wczesnoszkolnej i artystycznej, pedagog-terapeuta. Amatorka śpiewu klasycznego, poezji śpiewanej i nie tylko, chórzystka, autorka wierszy. Od niedawna szczęśliwa mama. Laureatka XIX edycji Krajobrazów Słowa.

WAŃKI-WSTAŃKI

Zabawki tak zwyczajnie powstają z martwych.
Instant liryka – wierna laleczka. Jaki mechanizm wypełnia
jej wnętrze, że staje się źródłem pocieszenia?

Kłaniają się nisko, to świat przedstawiony,
dziecięce modelowanie na wzór, proste elementy złączone
w krajobraz.

Powyjmować je z kartonów, powypychać ze strychów
lub wspomnieć po cichu w czasie poszukiwań, w obronie
przed dosadnością.

RZĘDY

Siedzimy w mroku. Błyśnie światło i ocali nas.
Jego źródłem jest człowiek, stworzony na podobieństwo.
Kto prędzej wystawi twarz, kto ustawi się jako pierwszy?

Różnimy się cieniem, ale wybrzmiewa nasz wspólny głos:
Utul nas ramię, zbaw pluszowy misiu, wańko-uśtańko
– *daj znak*, zastępcze źródła – wierna rzeka.

Impulsy biegną światłowodem, uderzają w oczy, zwierciadło
wygina się. Pomiedzy rzędami przechadza się strach,
a przecież każdy upada tak samo.

VITA EST THEATRUM

Neony nad głowami tworzą aureole. Inicjowanie
wspomnień pro publico – pierwsze zdejmowanie skóry.

Pod nią dziecko cudem wyłowione ze studni,
bez pluszowego przyjaciela, w za dużych rajstopach,
smugach brudu.

Widownia skrapla się w geppertowskim „Nie żałuję”,
podobno najpiękniejsze wiersze powstają z zimna.

PROSCENIUM

Twarze schowane za plecami oczekują na światło.
Czas wyznaczy miejsce dla projekcji, ukażą się marzenia
senne, przedśmionek – zrosną się światy i korzenie.

Wystarczy zrobić krok w przód i dociągnąć resztę,
ciało popłynie, to nagi człowiek – tak widział siebie stwórca –
kobieta rodząca niemowlę, jej odwaga niesiona pasją.

Wychodzą zza pleców, splątani w jeden węzeł, tacy sami,
a jednak inni. Wiją swoje gniazda na oczach widzów,
jesteśmy wszystkimi i każdym z osobna.

BARTOSZ JASTRZĘBSKI
godło: „Jagodzin”



I nagroda w dziedzinie prozy

BARTOSZ JASTRZĘBSKI – wykłada filozofię i etykę w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej WZ we Wrocławiu. Wydał książkę „Poezja przeciw filozofii. Idea wyobraźni i krytyka rozumu w poezji filozoficznej Williama Blake’a” (2006) oraz trzy tomy esejów: „Pająk. Szkice prawie filozoficzne” (2007), „Próżniowy świat” (2008) oraz „Wędrowki po codzienności. Eseje o paru ważnych rzeczach” (2011). W roku 2012 opublikował wraz z Jędrzejem Morawieckim zbiór reportaży o Syberii pt. „Krasnojarsk zero”, za którą to książkę otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak.

PRZYSTANEK NAD SELENGĄ

Płomienna pomarańczowa Słońca wstaje nad roziskrzonym, syberyjskim stepem. Bezkręś uwodzi i przyzywa. Obiecuje niemożliwe. Sólarny blask kładzie się rumieniem na śniegu, mgiełka mrozu i światła rozmywa odległy horyzont. Z maleńkich, przycupniętych wśród pustaki wiosiek, widać spoza śniegu ledwo dachy koślawych, drewnianych chałupek, smużki dymu i psy węszące czujnie na falach stwardniałych zasp. Zaś w ciepłym wnętrzu transsyberyjskiego wagonu, co biegnie przez te ciche ogromy, jak zwykle przecinają się, splatają, łączą na chwilę cierniste ludzkie losy. Wydarza się życie, którego nie zatrzymasz i wstecz nie zawrócisz, które gna – jak ten pociąg – w przód, niepomnie siebie, niewolniczo posłuszne bezlitosnemu nurtowi czasu. Tuż obok staruszka wiezie dokądś syna-pijaka, Jurija, o straszliwie zmęczonej, zdeformowanej od nałogu, porośniętej grubym jak druty, czarnosrebrnym zarostem twarzy. Następnej nocy, pośród cichego, miarowego stukotu kół, zrywa się on i krzyczy. O wódkę błaga każda komórka jego ciała, ból rozrywa na kawałki zabiedzoną i sparciałą tkaninę jego duszy. Stara matka powolnymi ruchami wyciąga spośród tobołów flaszkę i nalewa mu odrobinę – akurat tyle, by nie oszalał, by w przystępie oblędu nie zrobił sobie krzywdy, by nie uciekł w nicłość na najbliższej stacji. Jurij wypija, słabo prosi jeszcze o następny łyk – staruszka spokojnie, lecz stanowczo odmawia. W końcu cichnie, ale nie śpi. W słabym świetle księżycowej łuny przedzierającej się do wnętrza wagonu, błyszczą jego nieruchome, wilgotne źrenice – myśli bezsennie przebiegają zdruzgotane życie, wypatrują może ocalałych iskier wśród oceanu wewnętrznych ruin. Może też Jurij próbuje schwytać myślą ten moment, w którym zatrasnęła się za nim brama losu, w którym jego świat zamienił się już nieodwołalnie w smętne pogorzelisko? Teraz jest sam na sam z pustką, ściskającą niczym imadło nicością, z otchłannym jak kosmos lękiem. Za dnia matka kupuje mu

jedno piwo. Gdzie go wiezie? Do odległego monasteru zgubionego wśród tajgi, w którym w pracy i modlitwie ma znaleźć ocalenie? Do dalekich krewnych? Do pracy w przetwórnicy ryb na Kamczatce, gdzie ciągle brakuje siły roboczej? A może w stare, rodzinne strony, których widok przypomni marnotrawnemu, że przecież kiedyś był innym człowiekiem – żył, kochał, pracował, marzył, ciepła pragnął i potrafił je dawać...? Czy wierzy jeszcze w jego ocalenie? Czy może pogodziła się już z okrutnym losem, patrząc na tę ruinę człowieka, co niegdyś wyszła z jej łona jako drobne, świeże jak wiosna życie? To samo, które chwilę później było rozbieganym, uśmiechniętym i żądnym świata brzdącem, spędzającym całe dni na przeglądaniu barwnych atlasów? Współpasażerowie śledzą tę scenę, tę rozpaczliwą więź, wybija się ona spośród innych minidram, które składają się na podróż w Transsibie. Po cichu, między sobą żalują starej matki, wątpią też w niesłyszalnych szeptach w metanoję Jury-pijaka. Choć któregoś z kolei dnia podróży jedna ze współpasażerek, szczupła pani o krótkich, ciemnych, delikatnie przetykanych siwizną włosach i pogodnym, ciepłym obliczu łamie wymowną ciszę, co wokół Jury niczym wyrok zapadła. Zaczyna mówić z nim o Chrystusie. „Jura, wciąż masz wybór, masz szansę... Musisz w to tylko uwierzyć. Jesteś pijak, jesteś pijak straszny, ale Jezus cię kocha, właśnie takim, jakim teraz jesteś. Nie takim jakim byłeś kiedyś, nie takim jakim będziesz, ale teraz, takiego... Spójrz na swą matkę Jura, ona też cię kocha... Zobacz, jaka jest starutka, popatrz jaka maleńka przy tobie, jaka krucha, ale wciąż wierzy w ciebie i cię kocha. Jezus też cię kocha, o wiele, wiele bardziej...”. „Nie mogę...” wykrztusza on zachrypłym basem. „Potrafisz. Może dla ludzi jesteś nikim, ale nie dla Jezusa. On nie skreśla nikogo. Rozumiesz Jura – nikogo! Walcz! Jezus, tylko on widzi, jakim naprawdę jesteś człowiekiem. Jura, on widzi, że ty jesteś dobry, bardzo dobry... Masz, to Ewangelia, czytaj, czytaj, a uwierzysz. To dla ciebie...”. Pani kładzie na stoliczku obok kieszonkowy, trochę wymięty Nowy Testament w czarnej, skórzanej oprawie. Oczy pijaka zachodzą łzami, drżą mu wargi i dłonie, nieśmiało przytakuje, czasem odwraca głowę i wbija wzrok w przepływający za oknem step. Jednak kolejnej nocy znów krzyczy w delirium. Znów błaga o wódkę. Pisma nie czyta.

* * *

W Nowosybirsku niemal całkowita wymiana pasażerów – odbiega tu od głównej nitki Transsibiu magistrala na południe, do Kazachstanu, Uzbekistanu, Kirgizji. Sytuacja niekomfortowa, bo zdążył się już podróżny do dotychczasowych towarzyszy przyzwyczaić, niemal jak do obłaskawionych współbuciem starych sąsiadów – a z dawnego składu zostaje bodaj tylko Jurij z matką. Wagon pustoszeje na moment, ale tylko po to, by zaraz zostać przejęty przez dużą grupę środkowoazjatyckich, smagłych robotników (nieprawdopodobna ilość tej azjatyckiej biedy przelewa się przez Rosję) w swych charakterystycznych, haftowanych czapczkach. To Uzbegy. Wyruszyli z rodzinnych stron w poszukiwaniu pracy, a teraz, wspólnie, jadą do Buriacji. Dostali tam pracę w cegielni. Są niewysocy, raczej szczupli, niektórzy wręcz drobni, a mimo to sprawiają wrażenie krzepkich i wytrzymałych, obytych z każdą pracą. Twarze i dłonie mają zniszczone od słońca, wiatru, wszelkiej niepogody. Z ciemnych oczu bije jednak jakaś wewnętrzna siła i determinacja. Może to wiara daje im tę moc? Trzymają się razem, pomagają jeden drugiemu dźwigać i upychać na półkach ciężkie jak życie toboły, gramolić się na zbyt wąskie prycze. Mają, nawzajem do siebie szacunek. Taki jego rodzaj, który nie niszczy zażyłości. Wspólnota daje im poczucie bezpieczeństwa: grają w karty lub szachy, wypijają hektolitry herbaty przeciskając się nieustannie do wagonowego samowaru, rozkładają na stolikach i dzielą się płaskim niczym placek pieczywem, kandyzowanymi lub suszonymi owocami – plasterkami pomarańczy, śliwkami, figami – najróżniejszymi orzechami, słodkościami, rodzynekami. Skubią przy czarnej herbacie rozmaite pestki i ziarenka. Alkoholu zaś nie piją wcale. Między legowiskami poczynają snuć się i mieszać z wonią ludzkich ciał delikatnie zapachy Orientu. Uzbegy niemal tak często jak po herbatę udają się na papierosa do mroźnego przedsionka. Pałą zachłannie i szybko, trzęsąc się przy tym jak liście osiki, nieprzyzwyczajeni do tęgich mrozów i zbyt lekko jak na nie odziani. Gaszą niestaránnie niedopałki i szybko wracają do swojej wagonowej diaspory. Ku sobie – bo świat, w którym są, jest im obcy, rodziny, domy i swojskie pejzaże są za daleko. Ja zostaję w przedsionku. Myśli pourywane – niepełne, niecałe – płyną jak strzępki chmur. Ciche i smutne.

Krajobraz zmienia się powoli, niechętnie, nazbyt aż posłuszny prawu inercji. W okolicach Krasnojarska trochę jednak urozmaicenia: pojawiają się niewysokie góry, forpoczty Sajanów, które tam, daleko na

wschodzie, przy granicy buriacko-mongolskiej piąć się będę bez mała trzy i pół kilometra w głąb niebios. Po jakimś czasie znów jednak płasko, brzoźowo, hipnotycznie. Wszystko zatopione w mlecznej poświacie, odbierającej wyraziste kontury rzeczom, i ich cieniom. Słońce здаje się małym, białym krążkiem zagubionym w wielkim, horyzontalnym do bólu świetle. Głodny wzrok wyczekuje tego, co obiecuje mapa – Bajkału. W końcu jest, sławetny i legendarny, „mongolskie morze” jak zwą go tuziemcy, co się półtora kilometra w trzewia ziemi wdziera. W połowie marca wciąż jest całkiem zamrażnięty. Falujące w bezruchu morze śniegowych fałd i bruzd, lodowych spiętrzeń, zasp i torosów. Energia zakłeta w mrozie, miejscami istne topograficzne szaleństwo wiatru, chłodu i fal. Pośród złomów kry wyznaczono tyczkami trasy samochodowe – w oddali majaczy ruchomy punkcik, który okazuje się być uazem sunącym niczym tłusty chrabąszcz, wolno i rozważnie, po tym niepewnym szlaku. A bywa, że brną po nim również autobusy do Irkucka i wyladowane drewnem ciężarówki. Nic dziwnego: jadąc na Przedbajkale od strony Ułan Ude oszczędza się w ten sposób kilkaset kilometrów. W końcu jednak, gdzieś od połowy kwietnia, lód robi się cienki, kruchy, pokryty zdradliwymi rozlewiskami, miejscami miękkimi i chłonny jak kiesel. Ludzie mimo to ryzykują. Niejeden pojazd, także ciężarówka i autobusy, poszedł przez to na dno Bajkału.

Po wschodniej stronie jeziora linia kolejowa przykleja się niemal do samego brzegu. Biegnie mimo zmierzwionej stłoczoną krą taflę do brych kilka godzin. Po lewej od szlaku śnieżne pustkowia po horyzont, po prawej zaokrąglone czuby Sajanów. Niekiedy małe rybackie wioski z błękitnymi domkami, czasem zdarzają się porzewiałe ruiny starych zakładów przemysłowych. Co chwilę natomiast skład przecina mostami lodowe koryta, liczne strumienie i rzeki odprowadzające wodę z górskiej tajgi, która napiera od wschodu na syberyjskie morze. W końcu skręt w prawo i dalej wzdłuż majestatycznie meandrującej wśród gór Selengi – magistrała zostawia za sobą bajkalskie morze. Za którymś z kolei wzgórzem – Ułan Ude.

Otóż i ono – buriacka stolica, rozlana w płytkiej, lecz rozległej kotlinie, w której niewielka rzeka Uda wpada do wijącej się wśród łach żwiru i kamieni Selengi. Przybysza wita porządny, dwukondygnacyjny dworzec z tradycyjnie groszkowymi lampasami i marmurową posadzką. Przed dworcem zmarznięci, przestępujący z nogi na nogę taksówkarze,

przy swoich leciwych Toyotach i Nissanach, zagadują, czy aby niepotrzebny transport. Rysy ich na ogół już mongolskie: sylwetka krępa, lecz silna, policzki szerokie i wydatne, oczy wąskie i ciemne, raczej dobroduszne. Wiodąca do centrum, długa i pustawa ulica Transportnaja niknie w drobnym śnieżku. Ruch przy dworcu mizerny, ledwo co. Nie widać też wysokiej zabudowy, brak mieszkalnych kilkunastopiętrowców, tak charakterystycznych dla pejzażu całej ruskiej Federacji. Dostrzec za to można niskie bloki, za nimi, jakby wstydliwie skryte, resztki starej, drewnianej zabudowy ze smolnych bali i desek, przy nich zaś stosy śmieci kielkujące odważnie spod zwałów szarego śniegu. Przy drodze szpaler lichych, bezlistnych drzewek, za nimi betonowy płot opasujący bezludne, lecz najeżone gąszczem trakcji, tereny kolejowe. Od razu widać, że skromniejsza to liga i bardziej zaciszna okolica niż znaczne syberyjskie metropolie: Nowosybirsk, Krasnojarsk czy Irkuck. Z sinej ćmy wyłaniają się łagodne pagóry pokryte mizerną sośniną, szczególnie – choć nie klaustrofobicznie – opasujące miasto nad Selenką, by rozchylić się nieco jedynie ku południowi, w stronę Iwołgińska i tamtejszego klasztoru, w którym spoczywa święte, niepsujące się ciało łamy Itigielowa. Marsz ku centrum skutecznie rozgrzewa członki. Miasto pokazuje w końcu swych ludzi, swój ruch: marszrutki, pradawne niczym dinozaury tramwaje, śmigające odważnie po oblodzonych ulicach „japończyki” i rzęzące starczo ciężarówky, zabiegani opatuleni ludzie... Zalecają się światła i neony sklepów, restauracji i punktów telefonii komórkowej. U wylotu ulicy Gagarina ku Prospektowi Pięćdziesięciolecia Października onieśmielają ultanowoczesny, przypominający nieco stację międzyplanetarną, dom handlowy i potężny wieżowiec hotelu Sagaan Morin – „Biały Korń” – od którego kosmiczna galeria wzięła swą nazwę. W przejściu podziemnym, u zbiegu arterii, kłębi się życie drobnego handlu i usług. W solidnej, lecz nazbyt przewiewnej ochronie, jaką daje betonowy tunel cisną się kioski, kramy, sklepiki z drobnicą, punkty naprawy „mobilników”, obuwia i ubrań, trafiki z papierosami, stoiska z bielizną, chińskimi zabawkami i pirackimi płytami CD. Skracając za przejściem w prawo, schodzimy w dół, pod wiadukt, i dochodzimy do ulicy Borosojewa, później zaś po łuku znów w prawo i docieramy do placu Suche Batora – mongolskiego rewolucjonisty i mistrza jeździeckiego, co w pył miał rozbić ultrabiałą gwardię szalonego barona Ungern-Sternberga, w której nasz włóczykij i polityczny awanturnik

mimo woli, Ossendowski także przeciw Bolszewii służył. Tu, na rewolucyjnym majdanie, sławetna, największa w świecie, ciemnokamienna i zastygła w zapatrzeniu głowa Lenina spoczywa na postumencie godnie i spokojnie, niepomna dziejowych zmian, co w międzyczasie zaszły. Plac odśnieżony, czysty, uporządkowany, przed Głową wciąż złodowaciałe rabaty krzewinek. Po rogach kręcą się leniwie milicjanci. Na wschodniej pierzei zaś ruch większy – przystanek marszrutek, a obok też taksówek. Oczekujący kłębią się i przemieszczają chaotycznie, by nie przegapić w zamieszaniu swojego numeru, o co nietrudno, bo busy lądują gromadnie niczym bombowce przed akcją i ani myślą czekać na ociężałych i zdeorientowanych. Naprzeciw tego rejuwachu przeszklony biurowiec Bajkał Banku, który przytulił do siebie na parterze handlowy plankton: sieć komórkową Megafon, kasę biletów lotniczych i kolejowych, punkt fotograficzny, kwaciarnię. Spoza biurowca wychyla się sztandarowe dla miejskiego pejzażu gmaszysko hotelu „Buriatia”, zaś u jego zwieńczenia potężny transparent: „Rosja, Buriacja.... Razem poprzez czas. 350 lat”. Nad napisem schematyczny rysunek uśmiechniętych od ucha do ucha, tańczących wesoło pod rękę, skośnookiego Buriata i płowowłosego Rosjanina. Obaj w strojach ludowych: Buriat w mongolskim chałacie, zebrany szerokim pasem, Rosjanin w rozchełstanej koszuli, obszytej kolorowym haftem przy szyi. Oto zbliża się bowiem piękna, okrągła rocznica pokojowego przyłączenia Buriacji do wielkiej matuszki Rosji. „Tak zwane «dobrowolne» przyłączenie Buriacji nie zawsze i nie całkiem było dobrowolne” – wyjaśniać będzie później Bair Gombojew, Buriat z krwi, kości, naukowiec z historią swego narodu obeznany. W ciepłej stolówce, przy buriackich specjałach: herbacie z dużą ilością mleka i cukru i pysznych, gotowanych na parze pozach z baraniny obłożonych obficie najostrejszą musztardą, Bair, z nostalgicznym westchnieniem i zadumą tłumaczy: „Przyłączenie spowodowało wielką migrację. Ważne rody buriackie przemieszczały się do Mongolii. Przemieszczając się, przenosili tam i rozpowszechniali lokalne, buriackie tradycje. Buriaci chronili się w Mongolii, dzięki czemu ocalili wiele elementów kultury tradycyjnej. Na przykład sztukę oprawiania i dzielenia barana i temu podobne... Kultura i język buriacki zachowały się głównie w Mongolii. A znowu na Przedbajkału, w obecnym Okręgu Irkuckim nawet imiona i nazwiska pozamieniali Buriatom na rosyjskie, przymusowo ich ochrztili. Na Zabajkału zachowaliśmy chociaż buriac-

kie imiona...”. Przestrzeń publiczna jednak słabo się nadaje do rozstrzygania historycznych wątpliwości i żali. Tu wszystko musi być jasne. Radośnie nam tedy razem w dziejach – i szlus. Na placu Suche Batora, tuż za głową Lenina, pyszni się budynek rządu Buriacji, na prawo od niego zaś, pałac prezydencki, a obok, wcale nie mniejszy, gmach Zarządu Federalnego z oddziałem Federalnej Służby Bezpieczeństwa – była siedziba miejscowego NKWD. Choć nad urbanistyczną całością – przyznać trzeba – powiewa godnie trójkolorowa flaga Buriacji: od góry pasy granatowy, biały i żółty. Pierwszy symbolizuje wielkie niebo – siedzibę najwyższych bogów i duchów – które tu, na syberyjskim dalekim wschodzie, zdaje się bardziej jeszcze przepastne i nieogarnialne niż gdzie indziej. Drugi, biały pas to czystość – czystość serc, dusz i intencji tutejszych surowych, po mongolsku twardych i nieskłonnych do łzawego sentymentalizmu mieszkańców. Trzeci kolor wreszcie, żółty, to znak wieczności, barwa czapek buddyjskich mnichów, zmierzających, pośród zgrzytliwych obrotów koła sansary i turkotania młynków modlitewnych do pełnej kojącego blasku pustki nirwany. Piękna to i metafizycznie rozmarzona symbolika. W lewym, górnym rogu flagi znajduje się jeszcze mongolski znak sojombo, ten sam, który zdobi również flagę południowego sąsiada Buriatów. Jest to żółty okrąg, moszczący się w półksiężycu, a zwieńczeniem jego trójjęzyczny płomień. Oto symbol niepodległości ludów mongolskich, płomień zaś przyzywać mają pomyślność i rozkwit. Buriacja to kraina buddyzmu i unosi się nad nią, jak ta flaga, jego duch – jego odwiecznie brzmiąca nauka o cierpieniu. „A to jest, o mnisi, szlachetna prawda o cierpieniu: cierpieniem są narodziny, cierpieniem jest starość, cierpieniem jest choroba, cierpieniem jest śmierć, cierpieniem jest obcowanie z tym, kogo nie miłujemy, cierpieniem jest rozłąka z tym, kogo miłujemy, cierpieniem jest niespełnienie życzeń; słowem cierpieniem jest pięć kategorii elementów zasilających żądzę bytowania. A to jest, o mnisi, szlachetna prawda o powstawaniu cierpienia: źródłem cierpienia jest pragnienie, które stwarza nowe wcielenia, któremu towarzyszy rozkosz i namiętność, które zaspokojone bywa to tu, to tam – pragnienie uciech, pragnienie istnienia i pragnienie nieistnienia” – oto słowa Buddy¹.

¹ H. O l d e n b e r g, *Życie, nauczanie i wspólnota Buddy*, przeł. I. Kania, Kraków 1994, s. 130–131.

Od placu Suche Batora skręcamy w lewo, w dół. Mijamy tryumfalny łuk, upamiętniający narodziny miasta – niegdyś, do 1934 roku zwane-
go Wierchnieudińsk – a bardziej może jeszcze wizytę w tym mieście
późniejszego cara Mikołaja II w 1891 roku. Pierwszą osadę założyli tu
w 1666 roku wędrowni Kozacy, włóczący się w poszukiwaniu przygo-
dy i zarobku na niespokojnym pograniczu mongolskich pustaci i ciem-
nej syberyjskiej tajgi. Wnet okazało się, że osadę trzeba przekształcić
w twierdzę – bo Mongołowie biją okrutnie i bez pardonu. Gdy zaś już
ta powstała pojawili się rosyjscy osadnicy, pewni odtąd swojego bez-
pieczeństwa. Jak to w Imperium bywało, szczególnie licznie ściągnęli
religijni odszczepieńcy – staroobrzędowcy, bezpopowcy – szukający
na krańcach znanego świata wolności od prześladowań i przestrzeni
sprzyjającej medytacyjnemu skupieniu. Ale też myśliwi, bezrolni chłopi,
zubożałe kozactwo szwendające się po Imperium, kupcy marzą-
cy o bogactwach płynących z handlu skórkami, potem rzemieślnicy,
urzędnicy, w końcu zaś – jak zwykle zesłańcy...

Za łukiem zwieńczonym carskim, dwugłowym orłem, już ulica Le-
nina – „Arbat”, jak powiadają tutejsi – zamknięta soczystym błękitem
dachów Soboru Hodegetrii (najstarszej murowanej budowli w Buria-
cji, czterdzieści cztery lata wznoszonej), a dalej horyzontem śnieżnych
wzgórz pokrytych szarą szczeciną rzadkiego, półstepowego lasu. To
najbardziej reprezentacyjna część miasta, w dolnym swym fragmencie
przekształcona nawet w deptak, co w rosyjskich miastach nie zdarza
się często. W istocie, przyjemna to arteria obustronnie obsadzona stary-
mi, klasycystycznymi na modłę rosyjską, niewysokimi kamieniczkami –
niegdyś domami miejscowych notabli: kupców, zamożnych mieszczan,
wyższych rangą wojskowych. Pamiątki architektury zachowały się –
ponieważ były murowane. W roku 1908 zakazano bowiem na ulicy
Wielkiej (bo tak się wówczas ów „Arbat” nazywał) wznoszenia budowli
drewnianych, by nie podzielił Wierchnieudińsk losu wielu miast i mia-
steczek syberyjskich regularnie unicestwianych przez pożary. On sam
spłonął przecież niemal doszczętnie w 1878 roku, a niewiele wcześniej,
dwukrotnie, w 1830 i 1862 został również w znacznej mierze zniszczo-
ny na skutek trzęsień ziemi. Miasto było jednak uporczywie odbudo-
wywane. Dziś jest tu wszystko, co w przestrzeni miejskiej niezbędne:
mrowie sklepów najróżniejszych, banki tłuste i bogate w najlepszych,
odrestaurowanych kamienicach, dom handlowy, kioski, księgarnie, re-

stauracje, pizzerie, sushi-bary, punkty z pamiątkową tandetą. Sklepy z odzieżą i obuwiem, tak z pierwszej, jak i z drugiej ręki. Jest też irlandzki pub i ukraińska karczma. Ze znacniejszych obiektów – Muzeum Historii Naturalnej, do którego zresztą chętnie zachodzę, zawsze ciekaw, co miejscowa ziemia jawnie rodzi, co zaś zazdrośnie chowa w swym wnętrzu. Oprowadza mnie młody, bardzo szczupły Buriat o smutnych oczach. Z zapalem opowiada o ojczyźnie, skubiąc nerwowo i tak już postrzępione rękawy swego za dużego, jasnobrązowego swetra. Pokazuje skały, minerały, całe wypchane słomą bestarium, na czele z ginącym dziś syberyjskim tygrysem. Opowiada o fokach bajkalskich, rosomakach, wilkach tępionych okrutnie – jeszcze do całkiem niedawna państwo płaciło pięćset rubli od jednej ubitej sztuki. Kiedyś wszędzie ich było pełno, dziesiątki tysięcy, teraz trudno je spotkać – wyniosły się na bezludną północ republiki bądź wysokie, niedostępne góry mongolskiego pogranicza. Mówi o ostatnich na świecie trzystu sobolach żyjących w nadbajkalskim rezerwacie i o czarnym, tłustym dymie z miejskiej elektrociepłowni ścielącym węglowym waporem nieckę, w której miasto się usadowiło. W końcu rozmowa odpływa z rewirów historii naturalnej ku obszarom bliższym i bardziej ludzkim. Chłopak, ledwo co po geograficznych studiach jak się okazuje, miast opowiadać sam pyta, dając upust wzbierającej ciekawości: a kto? a skąd tu? a dokąd i po co? Pyta o Moskwę, w której nigdy nie był i nawet nie może sobie wyobrazić miasta, które ma kilkanaście milionów mieszkańców. Ułan Ude miało ich kiedyś ponad milion, ale dziś najwyżej 950 tysięcy – młodzi wyjeżdżają za pracą, rozrywką, lepszym życiem. On jednak wyjeżdżać nie chce. Chciałby tylko zobaczyć kawałek świata, wielkie miasta Rosji, Ułan Bator, Chiny, może też Europę, jakby się dało. I trochę lepiej zarabiać. Ma wprawdzie gdzie mieszkać – mieszka z dziadkiem, tym staruszką, który sprzedaje bilety do muzeum – ale gdyby chciał założyć rodzinę... „Ale co tam – na razie nie mam nawet dziewczyny” – kończy. Chłopak odprowadza mnie do wyjścia, zagaduje po buriacku swego dziadka z bileterni wpatrzonego akurat intensywnie w ekran telewizora i wraca do miniaturowej komórki na piętrze. Píše tam doktorat. Dziadek przedzwoni, gdy ktoś jeszcze zechce skorzystać z usług przewodnika.

Wracam w miejską przestrzeń. Obserwuję ludzi. Optycznie przeważają wprawdzie Buriaci, jednak statystyki wskazują, że zdecydowaną

większość w mieście stanowią Rosjanie. Podobnie jest w całej republice: proporcje 68 do 28 procent na niekorzyść Buriatów. A jednak dominują ciemnowłosi i skośnoocy jego mieszkańcy, choć u bardzo wielu z nich faktycznie widać mniej lub bardziej wyraźną domieszkę „europejskiej” krwi. Być może statystyki osobliwą jakąś przyjęły metodologię, a może owi liczni pół- i ćwierć Buriaci przyjęli jako własną rosyjską, bardziej atrakcyjną wedle nich, tożsamość? Może lepiej czuć się im potomkami Dostojewskiego i Tolstoja, Czechowa i Turgieniewa niż Czyngis-chana i Kubilaja? Lepiej o Moskwie i Pitrze marzyć niż o zagubionym na pylnych, żółtawych pustaciach Ułan Bator czy chińskim Charbinie? Tak czy inaczej raczej bym odwrócił statystykę, bo mongolski panuje tu żywioł: zazwyczaj niscy, choć nierzadko atletycznie krzepcy mężczyźni o ogorzałych, śniadych twarzach i znacznie drobniejsze na ogół kobiety, często szczupłuśne, iż „nieledwie stepowy wiatr ich nie porywa” – jak ładnie to ujęła pani Maria z Domu Polskiego „Nadzieja”. „Przecież Buriaci są raczej mocnej kości – rozwija myśl pani Maria – Co też te dziewczątka muszą robić, by stać się jak te łodyżki na wietrze, jak te listki brzoźowe...”. Efekt w każdym razie taki: kruczoczarne długie włosy spięte na ogół w „koński ogon”, wysokie obcasy – obowiązkowo – w zgodzie z rosyjską modą, podobnie jak i reszta ubioru: kuse spódniczki, kurteczki, futerka... Wszystko – minimalne, rosyjski sznyt w całej krasie, kobiecość lśniąca jak neony. Makijaż pełny, oczy wyraziste, pociągnięte tak, by z mongolskiego w kaukaski, najmodniejszy wpadać typ. Powab ponad wszystko, ponad każdą izotermę.

Idąc dalej w kierunku rynku, po lewej stronie, przy samym „Arbacie” znajdziemy niewielkie Muzeum Miejskie, pomieszczone w staroruskim, parterowym domu, oblanym głęboką zielenią. Wnętrze jednak rozczarowuje. Niewiele tu eksponatów, jeszcze mniej przyczynków do poznawczej ekscytacji. Zbiory zdają się cokolwiek przypadkowe: stare, singerowskie maszyny do szycia, znaczki pocztowe z Gwinei, wystawa fotografii z Tybetu, socrealistyczne miniatury z lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku – „Wszystko dla frontu! Wszystko dla zwycięstwa!” – na których kosmate wielbłądy ciągną sanie załadowane bronią przez zaśnieżony step. I dalej w tym duchu: buriacki weteran niemożliwie obwieszony wielkimi medalami, „Czerwona Jurta”, w której – na tle przypiętej do wojłokowej ściany podobizny Lenina

– nauczyciel likwiduje analfabetyzm autochtonów. Prócz tego drobiazgi ongsiejszego życia codziennego: stare wagi sklepowe z komplectami starannie wytoczonych odważników, mydelniczki, maselniczki, opakowania po mące i soli... Jedyne co na dłużej przykuwa uwagę to dwie sepiowe panoramy miasta z roku 1905. Rozległe, otoczone pagórami *plateau* porośnięte niskimi domkami, spośród których wystrzelają dumnie w górę jedynie budowle Soboru Hodegetrii i cerkwi Świętej Trójcy. Ulice proste, szerokie, pozbawione bruku, poznaczone bruzdami kolein. Przechodniów niewielu, głównie Buriaci w chałatach i czapeczkach z charakterystycznym szpicem, gdzieś dalej jednokonnny zaprzęg z krępy mongsolskim konikiem. W tle Selenga, a na niej podłużne transportowe łodzie – jedna z nich przekracza właśnie rzekę, flisak odpycha się drągiem od dna. Obraz melancholijny, tchnący jednak jakimś monochromatycznym, bezwietrznym spokojem, wciągający w swoją dal i zastygły w niespiesznym rytmie życia dawnych mieszkańców.

Muzealną triadę kończę w niewielkim Muzeum Kultury i Sztuki Buriacji. Znajduje się ono w zabytkowym, położonym przy śródmiejskiej skarpie, drewnianym budynku, nieco na północ od centrum. Ma on wykusz i obszerny balkon z widokiem na miasto. Na parterze rząd wysokich okien z malowanymi na zielono okiennicami, obramowanych rzeźbionymi w deseczkach, ludowymi motywami. Zwiedzający nie zaglądną tu jednak zbyt często, bo przy metalowych drzwiach dzwonek, pod nim zaś prośba, by go użyć, gdy jest zamknięte – dzwonię więc. Otwiera Buriat, nie będący w stanie ukryć swego zaskoczenia. Miast więc opowiadać, sam pytania zadaje. Gdy mówię, że jestem z Polski jeszcze bardziej się ożywia, uśmiecha szeroko, rozjaśniając słonecznie szeroką twarz. „Mam polskie korzenie, całkiem nieodległe – oświadczam z nieukrywaną dumą – mój dziadek nazywał się Piątkowski. Był potomkiem zesłańców, ułanów, którzy pilnowali mongsolskiej granicy”. Od razu zastrzega też: „Zbiory nie są tu zbyt bogate. To filia muzeum w Kiachcie, eksponaty w większości poświęcone są wszystkiemu, co związane jest z herbatą, bo przez Kiachtę i Ułan Ude od wieków biegł szlak z Chin, którym transportowano ogromne jej ilości, na czym zresztą miasta te się bogaciły. Ot sam ten budynek. Piękny, prawda? Ma sto osiemdziesiąt lat... A był to tylko dom dla służby przy wielkiej kupieckiej siedzibie, która niestety nie ocalała”. Rzeczywiście, w dwu niewiel-

kich muzealnych pomieszczeniach przeważają utensylia herbaciane: czarki, czajniczki, filiżanki. Prócz tego dawna chińszczyzna: zdobione, drewniane miseczki do ryżu, inkrustowane masą perłową pałeczki, jest też stara księga rachunkowa szczelnie pokryta nieczytelnymi znakami chińskiego alfabetu. Na ścianach współczesne, trochę kiczowate miniatury, a w drugim pomieszczeniu wystawa rysunków dziecięcych. „Jest jeszcze taka mała ekspozycja na piętrze...” – bez przekonania jakby informuje gospodarz. Wchodzimy po wąskich schodach do niewielkiego pomieszczenia z przeszklonymi gablotami. I oto, w spokojne południe buriackiej stolicy wlewa się autentyczna, tak biologiczna, że wręcz metafizyczna, makabra: w gablotach umieszczono znalezione na tych terenach i zakonserwowane zwierzęta-mutanty. Jest tedy cielątko z sześcioma nogami, wilczek (wilczki?) z dwiema głowami, owieczki zrosnięte brzuchami, pies, któremu z boku wyrasta drugi, niedokończony jakby pysk... Wszystko łypie martwo szklanymi, nieruchomymi oczyma. Niektóre eksponaty dyndają na przezroczystych żyłkach dla ich lepszego oglądu. „Taka to wystawa... – potomek Piątkowskiego jest wyraźnie zmieszany, nie bardzo wie co powiedzieć – No, takie tu po prostu zwierzęta znaleziono...”. Dziękuję, żegnam się, wychodzę przygnieciony ponurymi rozmyślaniami o bezduszości natury i przyrodzonym demonizmie wszelkich w ogóle praw naturalnych. Mutanty jako drwina z przypadkowości wszelkich ziemskich form, wszelkich kształtów i piękna, które jakimś cudem, mimowiednie w tym kosmosie powstało. Mogą one do reszty wytrącić z kruchej równowagi, zburzyć z trudem podtrzymywany metafizyczny rozejm ze światem.

Po chwili, mijając postument z legendarnym T-34, z lufą przypadkowo zapewne skierowaną na jedyny bodaj nowoczesny biurowiec w tym mieście, schodzę przez okragły, trochę smętny na przedwiośniu skwer, z powrotem do centrum, na plac ratuszowy. Tam zaś ni mniej, ni więcej jak demonstracja przeciw aktualnej władzy, przeciw Putinowi. Demonstrantów jest dokładnie czterech, cztery wznoszą transparenty i tyłuż ochrania ich milicjantów. „Nie ma wyborów, nie ma narodu!”, „Putin – honorowy milicjant Rosyjskiej Federacji”, „Putina nie wybieraliśmy! Mera nie wybieraliśmy! Jesteśmy niewolnikami?”. Jedno z haseł bardziej hermetyczne: „Gorsowiet Ułan Ude – putinowska szóstka!”. Jest spokojnie, nikt nie zwraca uwagi na miniaturowy wiec – a przynajmniej uwagi tej nie okazuje. Demonstracja przebiega bez

zakłóceń czy incydentów, milicja nie reaguje, czujniej spozierając na otoczenie niż na protestujących. Komunikat zdaje się wyraźny: w Rosyjskiej Federacji jest demokracja i okazywać niezadowolenie można. Przynajmniej tu można, kilka tysięcy kilometrów od Moskwy – to w końcu Buriacja, sfederowana, ale autonomiczna republika. Głowy bym jednak nie dał, czy uszłoby zastrzeżenia tak poważne pod adresem władzy i jej koteryjności zgłaszać również na placu Czerwonym.

W dolnej części miasta, w okolicach dworca autobusowego, pobliskiej hali targowej i prześwieczonego soboru, architektoniczny pejzaż się zmienia. Zaczynają dominować domy parterowe, coraz częściej drewniane, z podwórkami przesłoniętymi wysokimi parkanami bez żadnych prześwitów. W większości budynki są w nie najlepszym stanie, choć tu i ówdzie zachowują jeszcze swój malowniczy, staroruski koloryt. Przetrwwały zatem gdzieś przyokienne misterne zdobienia i gzymsy rzeźbione w tradycyjne wzory. Niektóre domy obłożone są – niczym drewnianą, pięciokątną łuską – ściennym gontem ze smolnych klepek. Okolica uboższa, lecz bardziej zaciszna od ruchliwego centrum – nasuwa skojarzenia z zabudową małomiasteczkową raczej niż stołeczną. Przy dworcu autobusowym zaś obszerna knajpa z maszynowymi stołami z litych brusek, w której spoczywam utrudzony długim spacerem, objuczony wrażeniami i nieco zziębnięty. Zamawiam i zachłannie spożywam nieprześcigniony w smaku i prostocie zestaw podróżny: podwójne pielmieni ze śmietaną i stopkę dobrze schłodzonej, lecz rozgrzewającej, lekkiej jak piórko wódki Żurawli. Atlasowe ciepło rozlewa się po członkach, rozkulbaczone myśli hasają przyjemnie po zachowanych w umyśle obrazach, refleksach, powidokach. Szukają tropów i sekretnych powiązań, próbują rzeczy i wydarzenia podporządkować jakiemuś wzorowi, co sympatycznym atramentem od zarania być może wpisany jest niewidzialnie w rzeczywistość. Włóczę się za legendami, mitami, dziwnymi opowieściami w tajemniczy sposób wiążącymi świat i nadającymi mu sens. W autarkicznej przestrzeni wewnętrznej trwa nieustanna praca wznoszenia i burzenia myślowych konstrukcji. Zawsze są one bowiem niepełne, niecałkowite, przez ich pory i nieszczelności nieuchronnie wlewa się to, co je gna i popędza ku zmianom, co je też w końcu rozsadza i unicestwia.

Nagle strumień rozmyślań przegrodzony zostaje niczym służą zaproszeniem do wspólnej biesiady. Dwóch młodych Buriatów, nie po-

wstrzymało ciekawości, nie wytrzymało w towarzyskiej powściągliwości – zapraszają do stołu. Karafka z okowitą ląduje na lakierowanym blacie (zaraz za nią soljanka i bliny) i wnet rozwiązuje języki. Najpierw pytają o Smoleńsk, po chwili w ogóle o Polskę. Niewiele o niej wiedzą. Widzieli, rzecz jasna, „Czterech pancernych i psa”, jeden z nich też „Stawkę większą niż życie”. Poza tym oglądali dokumentalne filmy historyczne, w których przedwojenną Polskę przedstawiano jak zły kraj umęczonych niesprawiedliwością i biedą ludzi. Drapieżny kraj burżujów, papierowych inteligentów i aroganckich, postszlacheckich panków. Co mogę wyjaśniam, koryguję, bronię Starej Polski, minionej dawno chwały Ojczyzny, jednak dyskusja nagle przepływa na uniwersalny i ponadczasowy temat zarobków i dalej, na całkiem ahistoryczne sprawy codziennego życia. Obaj pracują w handlu. Jeden jest wciąż poszukujący, drugi ma żonę i półtorarocznego synka. Ustawili się jakoś – choć łatwo nie było – i nie chcą już wyjeżdżać z Ułan Ude. Jeden jest buddystą (nie medytuje, ale obchodzi święta, wszystkie należne składa ofiary), drugi, niereligijny, za nic ma wszelką metafizykę. Ateusz twierdzi, że dobrze zrobiło Buriacji przyłączenie do Rosji, buddysta – że niedobrze. Obaj są zgodni, że buriacki prezydent to figurant i szuja, bo drenuje kraj z resztek pieniędzy, by budować sobie luksusową willę pod Moskwą. Obaj są przyjaźni, po kolejnych stopkach stają się wręcz wylewni. Na odchodnym ostrzegają przed przestępczością, przed łobuzami, którzy lubią się kręcić właśnie tu, w okolicach dworca, w tych sennie wyglądających, półwiejskich uliczkach. Ale i gdzie indziej: „Buriaci dużo piją. Ale co się dziwić – bieda, bezrobocie. Trzeba uważać, nie chodzić ciemnymi uliczkami, ot co”.

Miejscowy Arbat szybko pustoszeje. Ludzie znikają w zaciszach swych domostw, nie ma komu i po co włóczyć się po mieście. Śnieżne kryształki lśnią w światłach latarni, grupka chłopców deliberuje jeszcze przy ławeczce przestępując z nogi na nogę. Kończy się kolejny dzień życia mieszkańców miasta – i mój. Dla mnie niecodzienny, podróżny, dla nich – w większości – całkiem swojski, niknący niemal w swej zwyczajności. Jeszcze rozchodniaczek z samym sobą w głęboko skrytej w piwnicach „Zakąskowej” i czas do hotelu. I tu jednak przyjaźni Buriaci nie dają szans na wyciszenie – w barze gwarno i ludnie, wódka spod stołu leje się strumieniami przy jawnej akceptacji obsługi. Coraz to kolejne talerze parujących pozów wędrują na stoły, ruskie balla-

dy w wersji disco odpędzają senność i wszelką depresję. Tym razem do stolika zaprasza sympatyczna parka. Po chwili wiadomo jednak, że to nie para a rodzeństwo. Długo mieszkali w Jakucji, dziewczyna studiowała tam chirurgię ogólną, on nie studiował nic. Teraz ma ona dwadzieścia pięć lat, jest już po magisterium, robi specjalizację, szuka pracy. Nie chce być Azjatką, Sybiraczką, Buriatką. Marzy o Europie, o Petersburgu. O karierze, o ciekawych ludziach, o zabawach po białe ranki i dobrych zarobkach. O bogatych i przystojnych mężczyznach. O pięknych strojach, o ciepłych wieczorach. Gdy opowiada ciemne źrenice wąziutkich oczu odpływają w marzenie, w nierzeczywistość. Młodszy o trzy lata brat spuszcza głowę, popada w milczenie i pije za dwóch. Pośród rozsuniętych ław zaczynają się tańce. Do stołu dołącza niepewnym krokiem krzepki robotnik o twardych, sękatych dłoniach. Opowiada o swojej babce, która podczas Wielkiej Ojczyźnianej zaginęła w Warszawie. Była w kobiecych oddziałach pomocniczych. „Ot, co – wyzwoliła miasto i przepadła w nim. Nikt już później o niej nie słyszał. Dzieci zostawiła... Zabili albo... nie chciała wrócić, chciała zniknąć. Któż wie? Kto to dziś rozwikła?...”.

Dochodzi północ. Do hotelu „Odon” wlewają się na miękkich nogach hałaśliwi, kompletnie pijani chińscy robotnicy. To ich hotel, tani hotel kontraktowych. Taksówkami zajeżdżają też „dziewczynki”. Za nimi wlewam się w końcu do środka i ja. Znający dobrze życie portier pyta, czy nie potrzeba pani do towarzystwa. Nie potrzeba. Chłopaczek też się znajdzie. Nie trzeba. Spacer skończony, dzień skończony, trzeba tylko snu.

PIOTR MIKULSKI
godło: „United”

II nagroda w dziedzinie prozy



PIOTR MIKULSKI – jest absolwentem kulturoznawstwa (specjalność filmoznawcza) na Uniwersytecie Łódzkim. Pracował m.in. w burtowni książek, muzeum sztuki, recepcji biurowca, ochronie.

ANIMAL PLANET

Dygocząc z podniecenia, chwycił leżące na biurku okulary i ruchem, który przypominał zamaszysty forhend, wcisnął je sobie na czaszkę. Wziął ode mnie puszkę fasoli, kilkukrotnie obrócił ją w dłoni, aż odnalazł na etykiecie tabelę wartości odżywczych i pogrążył się w lekturze.

– Toć to szok! – ryknął po chwili. – Prawie pięćset kalorii, w tym... – ponownie spojrzął na puszkę, pomruczał trochę pod nosem, być może na wzór telefonicznych melodii umilających oczekiwanie, obliczył to, co trzeba i dokończył: – Prawie dwadzieścia gramów białka! Dwadzieścia gramów! I mówisz, że dwa złote dałeś?

– Dokładnie złoty dziewięćdziesiąt dziewięć. Jest chyba w każdym Tesco – odparłem.

– No to się opłaca, że szok – podsumował, spoglądając na mnie z zadowoleniem.

Dzień wcześniej dobrą godzinę spędziłem w supermarkecie, sunąc z wózkiem pomiędzy regałami, biorąc do ręki przeróżne groszki, kukurydze, fasole, pulpeciki w słoikach, i próbując odnaleźć produkt, który za najmniejszą cenę dostarczy najwięcej kalorii. Zależało mi, aby sprawić Chochli przyjemność, pokazać, że zrozumiałem co nieco z jego nauk. Pojęcie **z ł o t ó w k o - k a l o r i i** było fundamentalne w filozofii życiowej Chochli. Za dziesięć złotych, zwykle z bułki, ryżu, serdelka, sardynek, cebuli i czosnku, potrafi skomponować całodzienne menu, które zapewniało odpowiednią dawkę energii, białka, węglowodanów i witamin. O pracy i wiedzy, jakich wymagało przygotowywanie posiłków, wyrażał się jak o najszlachetniejszej rzeczy na świecie. Nie wiedziałem, czy w rzeczywistości wstydził się tego czy nie. Być może lata życia w nędzy wykształciły w nim doskonały system samooszukiwania; nauczył się wypierać ze swojej wielkiej jak piłka lekarska głowy prostą prawdę, że musi zaspokajać wilczy ape-

tyt, napęniać nienaturalnie aktywny żołądek, zarabiając niecały tysiąc złotych miesięcznie.

Na kuchence elektrycznej, która dawała niewiele więcej ciepła niż samochodowa zapalniczka, postawiliśmy garnek z fasolą. Czekając aż pomidorowy sos z białymi ziarnami zacznie bulgotać, chodziłem w tę i z powrotem po stróżówce.

Budynek składał się z trzech pomieszczeń oraz miniaturowej kuchni i ubikacji. Pracownicy obiektu nie mogli wejść na posesję inaczej niż od strony zachodniej. Robili tylko dwa kroki od bramy wejściowej i już znajdowali się w pierwszym pomieszczeniu stróżówki: portierni. Za dnia było to królestwo jednej z czterech kobiet – równie niesympatycznych, władczych i męczących. Na szczęście właściwie tylko się z nimi mijałem. Kiedy placówka kończyła swoje urzędowanie – wszystkie klucze wracały na odpowiednie haczyki, każda rubryka w książce wejścia i wyjścia została uzupełniona – panie poprawiały piórka, czerwieniły dzióbki i nerwowo oczekiwały nocnych wartowników. Z portierni przedostawało się na teren lub wchodziło do pokoju ochrony: potężne, przykryte pękniętą w paru miejscach szybą, biurko, na którym zwykle stało radio lub telewizorek, stół z czajnikiem i parę krzeseł. Na wprost pokoju znajdowała się wnęka z kuchenką i toaleta, po lewej szatnia: rząd metalowych szafek i fotel – zdezelowane, cuchnące i poplamione (nie wiem, potem, wymiocinami, moczem) legowisko, na którym zwijało się w kłębek i przespiało kilka godzin.

Mimo że zbliżała się połowa maja, w budynku wciąż działało ogrzewanie. Rury biegły pod posadzką, więc podłoga była niemiłosiernie rozgrzana. Po paru minutach nieprzerwanego chodzenia podeszwy butów zaczęły palić mnie w stopy. Zdjąłem tenisówki, po chwili także skarpetki, i niczym pierwotny mieszkaniec Fidżi lub Hawajów sunąłem boso po żarze. Przystawałem przy gablocie z kluczami, setny raz odszyfrowując przeznaczenia wielkich pęków żelastwa, udawałem, że sprawdzam grafik, wertowałem dziennik służby – robiłem wszystko, aby Chochła nie wyłowił mnie wzrokiem, jak bezbronną rybkę, i nie przyszpilił jedną ze swoich szalonych opowieści.

Nocną służbę pełniło się od osiemnastej do szóstej rano, zawsze we dwóch: jeden z licencją, drugi bez. W sumie było nas sześciu: trzech licencjonowanych, trzech nie. Nikt nie miał na stałe przydzielonego kompana, pary często się zmieniały. Chochła przypadał mi jednak

znacznie częściej niż w jednej trzeciej przypadków. Potrafił doprowadzić mnie do szału swoim gadulstwem. Choć nigdy nie był w wojsku, mówił głosem dowodzącego pułkiem oficera. Podeksycytowany, podskakujący, wymachując ogromnymi łapami, wdzierał się ze swoim barytonem w każdy możliwy kąt. Nie zniechęcało go, że nie podnosił głowy znad książki, że pogłasniał radio, mówił niestrudzenie. Aż w końcu łamał mój opór. Patrzył z uśmiechem, jak składałem książkę na kolanach, podnoszę głowę i uruchamiam proces uprzejmego przytakiwania. Jedzenie, niezliczone prace, które podejmował, kulturystyka to była zasadnicza lista jego tematów. Nie umiałem się doliczyć, ile zawodów wykonywał, nim pod koniec lat dziewięćdziesiątych przywiodło go w końcu do ochrony. Pracował w całej Europie, na czarno, zwykle mając jakiś kontakt z żarciem. Nie zabawiał długo w jednym miejscu – góra dwa lub trzy miesiące. Czasami sam się zwalniał, częściej jednak wywalano go na zbity pysk. Starał się, ale prześladował go pech. Opowiadał na przykład:

– W Holandii to był szok! Wypieprzyli nas z ciężarówki przed szklarnią. Długie to na kilometr, w środku same ogórki. Każdemu w łapę wiaderko i jakiś porąbany scyzoryk. Męcę się z tym głównem, próbuje otworzyć, bo to nie taki składany, tylko jakiś sprężynowiec z blokadą, a te Polaczki już równo zapierdalają, no mówię Ci, jak wreszcie ta kosa mi wystrzeliła i chciałem zacząć, to już prawie ogórków nie było. Szok!

Denerwowało mnie, że mi przeszkadza, nie mogłem jednak odmówić mu talentu do gaworzenia i zdarzało się, że całkiem chętnie słuchałem o niemieckich rzeźniach, angielskich fabrykach chipsów czy bułgarskich sadach. Miał trochę ponad czterdzieści lat, blisko dwa metry wzrostu i sto czterdzieści kilogramów wagi, ale twarz o dziecinnej ekspresji. Szukał wiedzy, ale zapamiętywał bardzo mało. Nic właściwie nie potrafił. Przechwalał się wynikami na siłowni, ale wiedziałem, że nie jest zdolny nawet, aby obić komuś mordę. W jego anegdotach nie było opisów relacji, jakie miał z innymi; zazwyczaj pojawiał się tylko jakiś szef-skurwysyn i współpracownik-cwaniak. Miał brata, ale ten nie utrzymywał z nim kontaktu, o innej rodzinie lub przyjaciółach nigdy nie wspominał. Nieudolny, nieprzystosowany, był odrzuconym przez stado osobnikiem. Choć powołany do życia w gromadzie, musiał radzić sobie sam.

– Fasola jest dobra. Bierz miskę i wcinamy – zawołał, wciąż energicznie obracając łyżką w garnku.

Sięgnąłem do plecaka po chusteczki nasączone cytrynowym pachnidłem i żel do odkażenia rąk, ale wtedy przypomniałem sobie o sto-
pach – bosych i umorusanych, wzruszyłem więc ramionami i ograni-
czyłem się do chusteczek, którymi przemyłem stół, niwelując odrobinę
duszący, stajenny odór stale panujący w stróżówce. Wyjąłem z szafki
talerz, postawiłem go na blacie obok naczynia Chochli, przysunąłem
krzesła i usiadłem. Chochla z doskonałą precyzją podzielił danie: dwie-
ście pięćdziesiąt kalorii na głowę. Jadł dokładnie w taki sam sposób,
jak robił wszystko inne, jakby próbował z całych sił grzmotnąć w nie-
widzialną piłkę. Byłem raptem w połowie, kiedy on już kończył. Zlizał
resztkę sosu z brzegu talerza i rozpoczął nadawanie:

– Cholernie dobre, meksykańskie takie. Fasola to jest potęga, że
szok. Dziki Zachód na niej zbudowano.

– Tak, naprawdę dobre – powiedziałem szczerze, bo jedzenie rze-
czywiście mi smakowało.

– Na westernach nie jedzą nic innego. Ostatnio ściągnąłem dobry,
z tym Polakiem, kurwa, jak to szło...

Domyślałem się, że chodzi mu Charlesa Bronsona, ale milczałem,
pozwalając, aby mówił dalej:

– Facet przez pół filmu tylko grał na harmonijce, a potem poroz-
pieprzał wszystkich. Szok! Ale to był chyba Włoski. Włosi w chuj tego
narobili w latach sześćdziesiątych. To musi być niezły kraj, tam jeszcze
Chochli nie było – zaśmiał się głośno, ale po chwili wyraźnie posmut-
niał. – Ale w sumie nie myślę teraz o Włoszech, tylko o tej pieprzonej
Anglii, wiesz, to CV, co razem kleciliśmy?

– Pewnie, pamiętam. Odpisali ci coś? – zapytałem, unosząc głowę
znad talerza, autentycznie zaintrygowany.

– Wczoraj przysłali jakieś papiery. Od tych ciuli, co pośredniczą,
to jest normalnie, po polsku, ale tam, z Brighton, to już wszystko po
angielsku, prawie nic nie rozumiem.

– Przynies następny razem. Może będę potrafił skumać, o co cho-
dzi – zaoferowałem.

Propozycja ucieszyła go mniej niż zakładałem. Przez chwilę popa-
trzył mi w oczy, co robił w sumie bardzo rzadko, po czym kontynu-
ował:

– Przy robocie na lotnisku to cholernie sprawdzają, czy nie byłeś karany. W dupie mają, że startujesz na bagażowego, jak siedziałeś, nie masz szans. Szok. Wypłynię to bankowo. Chuj, że po prostu mnie deportowali, nie było wyroku, nic w sumie, tylko dwa miesiące z Arabami i jazda do Polski, no ale siedziałem i się dopierdolać jak nic. Zresztą, kurwa, pieprzę te ich funty, wcale mi się nie pali, żeby jechać. Stoisz jak kolek, kiwasz tylko tym łbem, a wszyscy się śmieją, bo nic nie rozumiesz. Gównu tu zarabiam, ale daję radę, to nie o to chodzi. Tylko, tu nikt mi nie da umowy, nikt kurwa! Prawie trzydzieści lat gdzieś robię i tylko raz za mnie ZUS płacili. Jak mnie coś pierdolnie albo strzeli w bani, to pięciu groszy nie dostanę. Jesteś jak pies albo koń, coś ci się stanie, to zdychaj, weźmie się kogo innego.

Gdyby w tamtym momencie był trochę mniej zaafierowany własnymi słowami i przyjrzał mi się uważniej, zobaczyłby, jak rzadnie mi mina i czerwienieję na twarzy. Spojrzałem na zegarek, zbliżała się dwudziesta druga trzydzieści.

– Dobra, spadam na obchód! – krzyknąłem, podrywając się z krzesła.

Założyłem skarpetki i buty, wyjąłem z szuflady latarkę i obchodówkę – małe elektroniczne urządzenie, które przykładane do rozmieszczonych na trasie obchodu punktów kontrolnych, tworzy rejestr odbytych „spacerów” – z plecaka wygrzebałem dwa jabłka i sięgnąłem po, dyndającą na gwoździu, firmową bluzę. Była to przystrojona w szare moro ohydna kurtka; jedna na sześciu mężczyzn – początkowo zakładałem ją ze sporym obrzydzeniem, obecnie nie zawracałem już sobie głowy takimi odruchami. Na lewym ramieniu widniało logo: ostro pikujący w dół drapieżny ptak. Zarzuciłem tę szmatę na ramiona. Jestem jastrzębiem, pomyślałem, śmiejąc się w duchu, nocnym jastrzębiem, i wyszedłem prosto w mrok.

Ogród zoologiczny zajmował powierzchnię trzydziestu siedmiu hektarów; widziany z lotu ptaka, byłby prawie regularnym kwadratem. Powstał na początku dwudziestego wieku – na terenie, który pokrywał gęsty, liściasty las. Pawilony budowano w taki sposób, aby ocalić jak najwięcej drzew. Wewnątrz ogrodu, nie licząc dwóch lamp przy toaletach, nie było żadnego źródła światła. Trochę blasku padało od strony okalających ogród ulic, ale zgodnie z oszczędnościową polityką miasta, latarnie gaszono o dwudziestej drugiej.

Pod koniec każdego roku dyrekcja zoo ogłaszała przetarg na ochronę obiektu. Za każdym razem wygrywała inna firma ochroniarska, bo ta, która dotąd sprawowała tę funkcję, na nadchodzący rok proponowała ogrodowi taką samą stawkę, jaką dotychczas otrzymywała, a zawsze znajdował się ktoś, kto godził się na mniej. I tak płace dla nocnych wartowników regularnie spadały, aż w dwutysięcznym dwunastym roku zatrzymały się na poziomie czterech złotych i trzydziestu groszy netto za godzinę. Obiekt nie posiadał monitoringu. Właściwie jedynym obowiązkiem ochrony było regularne okrażanie całego przybytku. Administracja zoo wymagała pełnej rundy co trzy godziny. Rozmieszczone w czterech rogach „kwadratu” punkty kontrolne były gwarantem, że obchody się odbywają i nikt nie skraca sobie spaceru. Wyglądało to tak, że jeden szedł w teren, drugi zostawał w stróżówce, a później role się odwracały. Całą trasę pokonywało się w czasie od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu minut. Wymogi dyrekcji pozostawiała pewną swobodę interpretacyjną, bo nie było powiedziane, czy trzygodzinne odstępy należy liczyć od momentu wyjścia z wartowni czy powrotu. Wariant, w którym należy liczyć od momentu powrotu, jednogłośnie zwyciężał w wewnętrznym głosowaniu zatrudnionych. Do odbębnienia były zatem cztery obchody: po dwa na głowę. I już. To wszystko. Być może uczciwiej byłoby robić o jeden obchód więcej, ale właściwie, co by to zmieniało?

Zatrzasnąłem za sobą drzwi, zapaliłem latarkę i odetchnąłem z ulgą. Z sześćciosobowej ekipy tylko ja miałem umowę o pracę. Nikt o tym nie wiedział, nikt nie mógł się dowiedzieć. Dzierżyłem w dłoniach życiowe marzenie Chochli i bardzo mi było z tego powodu wstyd. Tak się jednak składało, że mnie także stado wypchnęło poza margines. Różnica polegała na tym, że ja otrzymałem świadectwo tego wykluczenia: grupę inwalidzką – jedyną drogę do etatu w tym fachu.

Znajdowałem się w północno-zachodnim narożniku. Zwykle wołałem poruszać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, obrałem więc trasę na wschód, w kierunku pierwszego punktu meldunkowego. Alejki ogrodu nie były liniami prostymi, tylko dziwacznie powyginanymi zawijasami. Czasami biegly prawie równolegle do potężnego, betowego płotu, czasami mogłem nie trzymać się ich ściśle, lecz swobodnie sunąć między zabudowaniami, zwykle jednak kluczyłem zygzakami.

Akumulatory w latarce wyraźnie się wyczerpywały: snop bladego światła sięgał nie więcej niż na dwadzieścia metrów, ale nie specjalnie mnie to martwiło – mogłem śmiało obejść się bez latarki.

Kiedy pięć miesięcy wcześniej podejmowałem tę pracę, było to nie do pomyślenia. Wychodziłem z budynku i, w zależności od tego, czy noc była księżycowa czy też nie, nie widziałem prawie nic albo zupełnie nic. Zapalenie latarki poprawiało oczywiście sprawę, ale rodziło też uczucie przeciskania się przez ciasny tunel: przede mną wąski cylinder światła, a wokół niego całkiem czarne, ciężkie, półokrągłe sklepienie. Czas robił jednak swoje. Tydzień po tygodniu, widziałem więcej i dalej. Być może oczy powoli przyzwyczajały się do nowych warunków pracy, ale ważniejsze było chyba to, że coraz lepiej znałem teren, po którym się poruszałem. Ciemne, nieprzeniknione plamy z każdym kolejnym obchodem nabierały trochę wyrazistości. Gdzieś w połowie lutego z mrocznych płaszczyzn zaczęły wyłaniać się konkretne kształty: wybiegu, pawilonu, woliery. W marcu już prawie żaden cień nie budził moich wątpliwości. Podobnie było ze słuchem. Przedzierałem się przez najprawdziwszą dżunglę. Piski, skrzeki, ryki i wrzaski atakowały mnie i osaczały. Ale w tej kwestii także wszystko powoli się systematyzowało. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy już nieźle widziałem, potrafiłem większości dźwięków przyporządkować odpowiednie źródło: to jelenie z wybiegu przy parku linowym, to żubr nacierający na pień, to bocian z sadzawki przy fokach, i tak dalej.

Po przejściu jakichś dwustu metrów, dotarłem do pawilonu dla małych małp. Wsunąłem latarkę w oczko siatki ogradzającej zewnętrzną część wybiegu makaka wanderu. Od jakiegoś czasu podglądałem tego małego gnojka. Miał zwyczaj wspinać się na najwyższy pień, jaki ustawiono mu dla rozrywki, siadać na nim łysym zadkiem, krzyżować po turecku tylnie łapki, przednie opierać na kolanach, i zastygać w pozycji jogina na długie godziny. Patrzył na mnie z wyraźną pogardą, najwyraźniej nie dostrzegając w mojej głębie godnego siebie reprezentanta ssaków naczelnych. Tym razem jednak nie udało mi się przylapać go na medytacji, musiał spać w głębi pawilonu.

Dalej odbiłem nieco na północ i przemknąłem wzdłuż długiego ciągu ptasich woliery. Najokazalsza, wznosząca się wiele metrów powyżej innych, była klatka sępów płowych. Jeden opierzony typek w szcze-

gółności nie przepadał za świecącymi po nocy natrętami. Siedząc na wysoko umocowanej gałęzi, rozpościerał swoje szeroki na trzy metry skrzydła, i sfruwał na ziemię jak na lotni, bez nawet jednego trzepotu. Kiedy tylko dotykał gruntu, naprężał się cały, rozwierał dziób i syczał straszliwie, próbując odegnać intruza. Teraz także odegrał tę scenę. Zaświeciłem mu prosto w oczy, aby wiedział, że zrozumiałem jego pozdrowienie.

Zszedłem z alejki na niezagospodarowany, gęsto porośnięty skrawek ziemi. Oslaniając twarz rękoma, przedarłem się przez ostre gałęzie i inne chaszcze. Skracalem w ten sposób drogę i zaoszczędzałem trochę czasu. Z zarośli wyłoniłem się w północno-wschodnim narożniku. Tutaj, tuż przy głównym wejściu do zoo, obok drzwi do kantorku kasjerek, była mała, czarna skrzynka – przystawiłem do niej obchodówkę i odczekałem kilka sekund. Nim skierowałem się na południe, przyjrzałem się przez moment bramie, którą codziennie wmaszerowywali do zoo odwiedzający – w liczbie zawsze wprost proporcjonalnej do panującej w mieście temperatury: od kilku pasjonatów w styczniu, po wielotysięczne tłumy w miesiącach letnich. Bramę wieńczył u góry, umieszczony na wysokości około pięciu metrów, napis: MIEJSKI OGRÓD ZOOLOGICZNY. Stalowe litery ułożono w kształt delikatnej fali, z wybrzuszeniem na środku. Kiepski pomysł, skwitowałem w duchu.

Wschodni odcinek pokonywałem zwykle bardzo szybko. Uliczka była tu szeroka i biegła całkiem prosto. Zatrzymałem się przy zagrodzie owiec czterorogich. Kudłate tobołki zaczęły po kolei wyściubiać mordki z położonej w głębi zagrody stajni, ale żadna nie odważyła się zbliżyć. Czekałem spokojnie, próbując zgadnąć, która wykona dzisiaj pierwszy krok. Wyglądało to zawsze tak samo: kiedy tylko jedna zebrała się na odwagę, całe stado leciało bezmyślnie za nią. Stałem tak dwie lub trzy minuty, aż w końcu, wyraźnie odcinająca się bielą od ciemnego tła, hałaśliwa chmurka przylgnęła do siatki ogrodzenia. Owce wciskały nosy w szczeliny między drutami, domagając się dotyku mojej ręki. Nie mogłem żadnej pominąć. Dzieci, które muszą dostawać zawsze to samo, co koledzy.

Ruszyłem dalej. Dobra, za moment mną poderwie, przez chwile nieprzyjemny prąd przepłynie mi od stóp do głowy, a potem spokój, pomyślałem. Trzy dziecięce bujaki – ruchome maszyny imitujące he-

likopter, samochód i konia – przysparzały najwięcej strachu podczas obchodu.

Nie boisz się, tak łązić tam samemu po nocy? – pytali mnie często znajomi. W pierwszych dniach stycznia, na trwającym godzinę szkoleniu, emerytowany policjant wyłuszczył przed nami, świeżym narybkiem, wszystkie możliwe zagrożenia, z jakimi możemy zostać skonfrontowani. Znudzony, zmęczony życiem starzec mechanicznie, punkt po punkcie, odczytał pięciostronicowy dokument, a następnie podsunął go nam do podpisania. Teoretycznie mogło wydarzyć się wiele: włamanie, pożar, ucieczka zwierzęcia, a nawet atak terrorystyczny. W rzeczywistości jednak wszyscy (włącznie z autorem formularza), na mocy cichego porozumienia, traktowali tę listę niebezpieczeństw jako stek bzdur; formalny papierek, który należy automatycznie podpisać. Funkcjonowanie firm ochroniarskich, wiedziałem o tym dobrze, nim zdecydowałem się na tę pracę, opiera się na paradoksie: możliwe jest wszystko, ale nie zdarza się nigdy nic. Chyba każdy, kto pracuje w branży, bez względu na wiek i wykształcenie, przyjmuje tę meta-przesłankę. Inaczej po prostu się nie da. Nie czułem podczas obchodów, abym był narażony na realne niebezpieczeństwo, nie znaczyło to jednak wcale, że w ogóle się nie bałem.

Czytałem kiedyś książkę, w której autor ukuł pojęcie *q u a s i - s t r a c h u*. Był to lęk, jaki odczuwa widz podczas oglądania filmów grozy – lęk najzupełniej prawdziwy, ale jednocześnie powiązany ze świadomością, że wywołały go fikcyjne obiekty i zdarzenia. To, czego doświadczałem, to był właśnie taki *q u a s i - s t r a c h*. Mimo iż świetnie orientowałem się w terenie, zdarzało się (zwłaszcza w czasie ostatniego obchodu podczas zmiany, kiedy morzyła mnie senność), że oczy płały mi figle: krzak przy alei stawał się tygrysem, drzewo żubrem, który sforsował fosę. Wiedziałem, że to złudzenia, ale i tak przystawałem na moment, całkiem sparaliżowany.

Szedłem szybkim krokiem, od piekielnych wehikułów – durnej rozrywki, na którą dzieci naciągają obecnie rodziców równie chętnie, jak wtedy, kiedy sam byłem mały – dzieliło mnie maksymalnie pięć metrów. No dawajcie, sukinkoty, pomyślałem. Zrobiłem jeszcze dwa kroki, i bujaki, jeden po drugi, gwałtownie wystartowały – maszyny latające wznosiły się i opadały, koń galopował; z zachrypniętych głosników wylała się muzyka i niezidentyfikowane piski, a migoczące za-

rówieczki raziły czerwienią, błękitem i żółcią. Po kilkunastu sekundach wszystko z powrotem zamarło. Co za cholerstwo, powiedziałem wcale nie do siebie.

Od połowy kwietnia zabawki były stale podłączone do prądu. Za sprawą fotokomórki, kiedy ktoś obok nich przechodził, uruchamiały się na chwilę i prezentowały swoje możliwości. Nigdy nie było wiadomo, w którym dokładnie momencie się włączą. Nerwowe wyczekiwanie i nagła eksplozja bodźców wprawiały w rozdygotanie. Najgorsze fundowała jednak wyobraźnia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby dzielić się z Chochłą swoimi wrażeniami ze spotkań z maszynami, on także długo nic nie mówił, aż którejś nocy nie wytrzymał:

– Kurwa, dlaczego oni nie wyłączą na noc tego dziadostwa?

– Jakiego dziadostwa? – odparłem, czując jak zło bierze mnie we władanie.

– Tych całych helikopterów, kucyków tych. Po co to się uruchamia?

– Mnie tam się nic nie uruchamia.

– Jak to nie? Musi się uruchamiać, czujka tam jest.

– Może i jest, ale przecież kabel nie jest podłączony.

– Musi być – odpowiedział, pewny siebie.

– Nie jest. Leży zwinięty przy samolociku.

– Nie pierdol! – krzyknął, już trochę mniej pewny swego.

– Serio. Samo na pewno się włącza.

Chciałem podroczyć się w ten sposób jeszcze przez moment, ale zdradził mnie wybuch długo zduszanego śmiechu.

Kilkukrotnie głębiej zaczerpnąłem powietrza, niczym kurz strząsnąłem z siebie te podłe doznania, i ruszyłem do drugiej „czarnej kostki”. Magnetyczny impuls przemknął do urządzenia. Kilkadziesiąt pierwszych metrów w drodze na zachód przeszedłem bez używania latarki, starając się stąpać jak najciszej. Nigdy jej nie widziałem, ale jej wzrok czułem na sobie za każdym razem, kiedy mijalem nowy, rozległy wybieg, do którego niedawno się wprowadziła. Pracownicy zoo dołożyli wszelkich starań, żeby czuła się tutaj jak u siebie: gęsta roślinność, wzniesienia, sadzawki, liczne kryjówki wiernie odwzorowywały górski las. Samica rysia miała jednak to wszystko za nic. Była niespokojna, agresywna, nie jadła i nie piła. Nie chciałem przysparzać jej dodatkowego stresu. Wiedziałem, że jak każda kobieta, potrzebuje czasu i spo-

koju, aby z nowej przestani uczynić swój dom. Powoli będzie wila sobie i swoim przyszlým dzieciom bezpieczne, przytulne gniazdko.

Do południowo-zachodniego narożnika prowadził slalom między wybiegami dla niedźwiedzi. Nie lubiłem tego miejsca; szedłem zwykle tędy żwawo i rzadko zaglądałem na dno betonowych, okolonych grubymi zwojami drutu pod napięciem, niecek. Tym razem przystanę na moment przy niedźwiedziu brunatnym. Dopiero parę dni wcześniej przebudził się z zimowego snu i zaczął wychodzić z nory na otwartą część wybiegu. Leżał teraz na brzuchu z głową opartą o pień. Ostro zapach moczu drażnił mi nozdrza. W brudnym, wyliniałym futrze, drzemiąc na starym, popękany bruks nie różnił się wiele od kłosa śpiącego na dworcu kolejowym. Odwróciłem głowę od tego przykrego widoku i pomaszerowałem dalej.

Pięć minut później mogłem wykonać zwrot ku ostatniej prostej. Żyrafarnia – otynkowany na biało drapacz chmur – widoczna była z daleka. Jej wrota, wąskie, ale wysokie na sześć metrów, stworzone były jakby dla mitycznego olbrzyma. Kiedy przeszedłem koło nich, przypomniałem sobie bolesne wydarzenia sprzed paru tygodni.

Opiekunowie żyraf od kilku dni nieustannie dyżurowali przy Klarze – starzejącej się samicy, której trwająca od piętnastu miesięcy ciąża zbliżała się do rozwiązania. Którejś nocy pod koniec kwietnia jeden z nich wpadł zdyszany do stróżówki, krzycząc, że potrzeba więcej siły, by pomóc młodemu, które właśnie przyszło na świat. Pobiegłem z nim do żyrafarni. Żyrafy rodzą w pozycji stojącej, zwykle przez kilka godzin. Młode, ważące około sześćdziesięciu kilogramów, upada z wysokości dwóch metrów, ale już po chwili samodzielnie wstaje na nogi i zaczyna szukać matczynego wymiona. Tym razem jednak wszystko szło nie tak, jak powinno. Poród trwał za długo, a młode było zbyt słabe, aby się podnieść. Próbowaliśmy wraz z opiekunem i weterynarzem podtrzymać je trochę i podprowadzić do matki, żeby zaczęło ssać. Kiedy okazało się to niewykonalne, staraliśmy się chociaż unieść mu głowę w ten sposób, by mógł upić z butelki odrobinę specjalnie przygotowanego mleka. Młode nie potrafiło jednak przełykać. Weterynarz podał mu kroplówkę. Klara stała spokojnie, obserwując lekarzy ratujących jej dziecko. Czułem, że kochała tę kruszynę, ale z pokorą godziła się na to, co musiało się stać. Żyrafka przeżyła tylko kilka godzin.

Powoli zmierzałem do końca obchodu. Wyjąłem z kieszeni bojówek dwa jabłka i przeskoczyłem nad niskim płotkiem, do którego przyćpione były tabliczki: NIE KARMIĆ ZWIERZĄT! i UWAGA! WIELBŁĄDY GRYŻĄ. Częstowanie Marceli i Michała, pary dromaderów, różnymi smakołykami było najprzyjemniejszą chwilą w czasie nocnej wędrówki. Pierwszy podbiegł do mnie Michał, w chwilę za nim Marcela. Wyciągnąłem przed siebie ręce z owocami. Zwierzęta jadły powoli, bez łapczywości, smakując i dokładnie przeżuując każdy kęs. Były przy tym niezmiernie delikatne: nigdy nie zahaczały mnie zębami, a musnięcia ich warg przypominały pocałunki. Na dowidzenia poklepałem je czule po nosach.

Ostatni punkt kontrolny, tuż koło, pogrążonych w ciągłym transie, osłów, kilka zakrętów między budynkami gospodarczymi, i żółte światło stróżówki pojawiło się na horyzoncie. Domknąłem swój ostatni tej zmiany okrąg. Przede mną było kilka godzin płytkiego, przerywanego snu i powrót do domu o świcie.

Dzień, o którym opowiadam, mógł być poniedziałkiem lub wtorkiem. Po nim miałem trochę wolnego – kolejna służba wypadła w sobotę.

Nim zacząłem szykować się do pracy, spojrzałem na miesięczny grafik. Tej nocy, wyjątkowo, partnerować miał mi Biedak. Zakląłem w duchu. Wiedziałem, że nie dostanę szansy choćby na chwilę snu, bo ten staruch, zgodnie ze swoim zwyczajem, obskoczy szybko jeden obchód, a potem zaśnie tak mocno, że na pewno go nie obudzę. Zdecydowałem, że wezmę do pracy laptop. Kiedy przygotowywałem sobie kanapki, zadzwonił telefon. Biedak.

- Wyszedłeś już z domu – zaczął, fałszywie przymilnym tonem.
- Nie, jeszcze nie, ale zaraz wychodzę, a co?
- Kupiłbyś mi jakieś piwko po drodze?
- Nie ma sprawy – odparłem.

Tak naprawdę to s p r a w a jednak była. Przymykałem oko na to, że popija w pracy (wyjaśnił mi kiedyś, że bez tego nie potrafi zasnąć), przeszkadzało mi, że podobnie jak za kilka poprzednich, nigdy nie odzyskam za to piwo nawet złamanego gorsza.

Dotarłem do zoo trochę spóźniony. Biedak siedział przy biurku, wpatrzony w ekran małego, czarnobiałego telewizorka. Nie zauważył nawet, kiedy wszedłem. Mimo przeszło siedemdziesięciu lat, ze

swoją mocną szczęką, regularnymi rysami, siwymi, ale gęstymi i zawsze ułożonymi włosami, mógł uchodzić za przystojnego. Raziły tylko jego ślepią: przepite, lubieżne i chytre. Przeskakiwał nimi z jednego obiektu na drugi, szybko oceniając każdą napotkaną rzecz pod kątem korzyści, jakiej mogła mu ona przysporzyć. Do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego Biedak był funkcjonariuszem SB. W połowie lat sześćdziesiątych, w specjalnym trybie, uzyskał stopień oficera, przebrnął przez kilka szkoleń w Moskwie, aktywnie uczestniczył w wydarzeniach grudnia siedemdziesiątego i czerwca siedemdziesiątego szóstego – wierzył w komunizm i czuł się królem tego systemu. Długo mieszkał wraz z żoną w małej miejscowości pod miastem. Często chwalił się przede mną niezliczonymi romansami, jakie wówczas przeżywał. Wraz z nadejściem zmian ustrojowych jego świat legł jednak w gruzach – nie przeszedł weryfikacji, opuściła go żona. W krótkim czasie z samca alfa stał się samcem omega. Był starzejącym się osobnikiem, który przegrał rywalizację z tym, co młode i nowe. Boleśniej niż utratę pozycji społecznej odczuł chyba spadek zainteresowania ze strony kobiet. Otoczony zawsze wianuszkami wiejskich piękności, nagle, obarczony niesłabnącym popędem, skazany został na pornografię lub prostytutki. Do pracy w zoo przychodził zwykle godzinę przed czasem, aby choć przez chwilę cieszyć się kobiecym towarzystwem. Nie wiem, czy wśród czterech portierek miał jakąś swoją ulubienicę. Było mu chyba wszystko jedno, przed którą będzie odgrywał swój teatrzyk umizgiwania. O ile mi wiadomo, portierki chętnie wysłuchiwały jego komplementów, ale między sobą szydziły z niego i nigdy nie dały się na nic namówić.

Kiedy przeszedłem przez portiernię i z wyciągniętą na przywitanie ręką zbliżyłem się do niego, poderwał się gwałtownie z fotela. Szyderczy uśmiech wykrzywił mu twarz. Wyraźnie nie mógł się doczekać, aż podzieli się ze mną jakąś nowiną.

– Chochła się zesrał! – krzyknął, śmiejąc się chrypliwie i uderzając dłońmi o uda.

– Co zrobił? – odparłem idiotycznie.

– Zesrał się w majtki, wczoraj na obchodzie. Nażał się pewnie jakiegoś tego swojego świństwa, dopadła go sraka, jak lazał w nocy po terenie, i nie doniósł do kibla. Ufajdał się równo, mówię ci – wyjaśnił, nie przestając parskać śmiechem.

Nie potrafiłem się powstrzymać i zacząłem śmiać się wraz z nim, ale natychmiast zrobiło mi się wstyd. Biedak i Chochla widzieli się tylko raz, podczas szkolenia w styczniu; obaj byli licencjonowanymi ochroniarzami, zgodnie z polityką firmy, nie byli więc nigdy przydzielani sobie w parze do nocnych wart w zoo – nie przeszkadzało im to jednak szczerze się nienawidzić. Informacje o sobie nawzajem czerpali pośrednio – od kolegów, z którymi pełnili służbę, pracowników bez licencji, jak ja. Dla Chochli Biedak był pieprzonym komuchem, dla Biedaka Chochla – pierdołą i śmierdzielem. Zawsze jeden bezlitośnie plotkował o drugim. Oczywiście ani ja, ani dwaj pozostali, którzy im partnerowali, nie byliśmy w tym konflikcie bez winy, zawsze wszystko przekazując, zawsze opowiadając się po stronie tego, z którym danej nocy się pracowało. Zarzewiem ich kłótni było jakieś tajemnicze zastępstwo, które raz jeden wziął za drugiego, a za które nie mogli rozliczyć. Myślę, że w rzeczywistości była to jednak walka o panowanie w zoo.

Wiele razy przyłapywałem Biedaka na kłamstwach i ubarwianiu różnych historii. Nie wiedziałem, czy przykry wypadek Chochli był jego wymysłem czy nie. Jeśli rzecz, o której mówił, miała miejsce poprzedniej nocy, to było mało prawdopodobne, aby ten, kto miał z Chochlą dyżur, zdążył donieść Biedakowi. Nie widzieli się, a telefon w tej sprawie byłby chyba przesadą. Pozostawała portierka, która przysłała o szóstej rano, zwalniając Chochlę i drugiego do domu, a z którą Biedak przesiedział dziś godzinę. Ale jak ona by się o tym dowiedziała?

Kiedy Biedak, wciąż rozradowany, wyszedł na pierwszy w trakcie naszej zmiany obchód, sięgnąłem do szuflady biurka po miesięczny grafik zmian. Chochla był w nocy z Bartkiem – miłym chłopakiem, pracującym na co dzień w drukarni, a tu dorabiającym tylko dwa, trzy razy w tygodniu. Odnalazłem jego nazwisko w służbowym telefonie.

– Hej, zoo z tej strony. Nie przeszkadzam? – zacząłem.

– Hej, poznaję. Nie, spoko. Co tam się urodziło? – odpowiedział mocno zaspanym głosem.

Dopiero wtedy przeszło mi przez myśl, że po nocy w zoo prawdopodobnie poszedł prosto do pracy w drukarni i pewnie niedawno położył się spać. Zrobiło mi się głupio, że go budzę, dzwoniąc z taką głupotą.

– Nic ważnego. Chciałem się tylko dowiedzieć, co to się tu w nocy stało? Biedak niezłą rewelację rozpowiada – zapytałem bez zbędnej gadaniny.

– He, dla skubańca to faktycznie wiadomość marzenie. Chochła jest w zoo spalony, nie ma szans.

– Jak to było?

– Przed obchodem, o drugiej, wrąbał ze trzy puszki jakiegoś czerwonego paskudztwa. Przycisnęło go przy niedźwiedziach, zaczął biec, i stało się. Miał cholernego pecha. Wiesz, ja bym nic nikomu nie powiedział. Każdemu się mogło przytrafić. Ale postanowił sobie wyprać majty i spodnie w umywalce, a potem, zanim poszedł spać, rozłożył je, żeby szybko wyschły, na tej rozgrzanej jak piec podłodze. Najgorętsza była zaraz przy wejściu do budynku. Polazłem przed szóstą na obchód, Chochła zasnął trochę, no i przylazła portierka. Władowała się prosto na te jego wielkie majtasy z brązową plamą pośrodku i podniosła raban. To była ta suka, sucha i skrzecząca jak ptaszysko, więc na pewno cały dzień o tym gadała. Tyle.

– Kumam. Przykra sprawa, naprawdę. No, ale nie przeszkadzam już. Wyśpij się.

– Spoko. Trzymaj się. Na razie.

– Na razie. Cześć. – Rozłączyłem się.

Usiadłem na krześle. Po cholere ja mu tę fasolę pokazywałem, pomyślałem. Nie mogłem powstrzymać chichotu, ale jednocześnie żałowałem Chochli, przeklinałem portierkę, Biedaka i całe to cholerne zoo. Nie było wątpliwości, że Biedak wygrał batalię o władzę na tym terytorium. Miałem nadzieję, że Chochła już nigdy nie przyjdzie do zoo i nie da nikomu szansy, by z niego drwił. Gorąco pragnąłem, aby dostał tę pracę na lotnisku. Aby choć raz dopisało mu szczęście.

Po powrocie z obchodu, Biedak wciąż rozwodził się nad wydarzeniami z poprzedniej nocy. Nie miałem ochoty go słuchać. Dotąd bawiły mnie ich wzajemne docinki, czasem nawet ich podjudzałem, w tamtym momencie pragnąłem jednak być lojalnym wobec Chochli. Wyjąłem z plecaka piwo i zachęciłem Biedaka, by pokimał sobie trochę. Szczęśliwie, nie musiałem go długo ku temu nakłaniać.

Kiedy z szatni zaczęło dobiegać chrapanie, rozłożyłem na biurku swój laptop. *Rozstanie* – długi i zapewne nudny film jakiegoś irańskiego reżysera – wydawało się dobrą dla mnie pokutą. Dzieło naprawdę mnie wciągnęło. Byłem tuż przed finałem, kiedy zorientowałem się, że dochodzi dwudziesta trzecia. Złożyłem ekran komputera, pędem skompletowałem potrzebny osprzęt i wyszedłem.

Rundę, równie nic nieznaczącą, jak wszystkie poprzednie, wykonałem bardzo szybko. Zdyszany dopadłem do laptopa. Rozgrywała się właśnie najważniejsza scena – okazuje się, że śmierć nienarodzonego dziecka bohaterki nastąpiła w zupełnie innych okolicznościach, niż wszyscy sądzili, a widz dostaje przestrożę przed ferowaniem pochopnych sądów i wskazywaniem winnych – kiedy tuż koło mnie pojawił się Biedak.

– Masz tu jakieś panienki – zagadnął, zaspany, wskazując palcem na ekran – bo wiesz, jak pójdziesz potem, o drugiej, to mógłbyś mi coś włączyć, ja bym sobie pooglądał, trochę się rozerwał, tak jak to facet, nie muszę ci mówić, nie?

Zrobiło mi się niedobrze. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem i powiedziałem:

– Nie mam żadnych panienek, tylko normalne filmy. Sam zobacz.

Otworzyłem folder z filmami.

– Szkoda – powiedział, wyraźnie rozczarowany.

– Tak, szkoda – odparłem.

Biedak odszedł ode mnie ze spuszczoną głową. Posiedział chwilę w toalecie i wrócił do szatni, na czerwony, obskurny fotel. Obejrzałem ostatnie minuty filmu i zapragnąłem się przewietrzyć. Noc była ciepła i wyjątkowo jasna. Można by ten jeden raz zrobić dodatkowy obchód, powiedziałem do siebie.

Szedłem stałą trasą, nie przyświecając sobie latarką. Słyszałem to, co zawsze: zwierzęta kręcące się po wybiegach, a od czasu do czasu – szum wiatru w koronach drzew.

Gdy byłem w połowie południowego odcinka, koło niedźwiedzi, tam, gdzie musiał się zacząć dramat Chochli, dotarł do mnie jakiś zabłąkany sms. Przystanąłem i, gapiąc się na drewniany drogowskaz, wskazujący trasę do felidarium, myślałem, co odpisać.

Musiałem to widzieć od dobrych kilku minut, ale w moim mózgu – zajęтым biednym Chochlą, napalonym Biedakiem, filmem i smsem – nie było dla tego spostrzeżenia miejsca. Patrzyłem się i długo nic, zupełnie nic. Powoli jednak pośrodku drewnianej tablicy zaczął pojawiać się czarny, okrągły kształt. Z każdą sekundą robił się wyraźniejszy, aż w pewnym momencie stał się dziurą wybitą przez ludzką pięść. Kiedy ten szczegół dotarł do mojej świadomości, po kolei, jak po sznurku, zaczęły docierać następne: przewracane kosze na śmieci, wyrwana

ławka, połamane makiety zwierząt. W zoo ktoś jest!, zabrzmiało mi w głowie.

Następnego dnia o tym, co się ze mną przez kolejną godzinę działo, potrafiłem powiedzieć tylko tyle, że nic, że po prostu stałem. Dopiero w poniedziałek przypomniałem sobie, o czym wtedy myślałem. Neuron z wiadomością, „w zoo ktoś jest”, odkręcił w moich bebeczach zawór z gazem. Czułem, jak coś wypełnia mnie od środka, napiera na skórę i wszystkie organy, ale to coś nie było strachem, było pustką, powietrzem. Nadąłem się tym jak balon i stałem, niezdolny, by zrobić krok. Sądzę, że konkretne myśli zaczęły pojawiać się nie wcześniej niż po piętnastu minutach. Wszystkie obrazy, jakie migały mi przed oczami, miały charakter spokojnych, racjonalnych konstatacji: Zaraz poczuję łupnięcie w głowę i zrobi się po prostu trochę ciemniej, tak, jak było tu w styczniu. Najgorszy będzie upadek na dno betonowego wybiegu dla tygrysów, potem w ustach Tycjana i Teresy rozplynę się delikatnie, niczym plasterek tłuszczutkiej szynki. Kara należy mi się słusznie – czułem się lepszy od innych, bo coś tam studiowałem, dostałem grupę i pomyślałem, że będę taki cwany, że kupię sobie tutaj trochę czasu, że poczytam, może napiszę powieść. Co za głupota. Co za naiwność. Nic nie ma za darmo, kolego, nic. Zwierzęta powinny być w lasach, dżunglach, na stepach i pustyniach, nie w centrum miasta, a ludzie powinni w nocy spać, wszyscy, bez wyjątku. Zwierzęta to wcale nie są zwierzęta, a ludzie to wcale nie są ludzie. Wyobrażenia przepływały powoli, aż w którymś momencie poczułem, że z balonu uszło trochę powietrza i mogę oderwać stopę od ziemi. Odrywałem tak stopę raz za razem – wsłuchując się w otoczenie z maksymalnym skupieniem – aż powoli doczłapałem do stróżówki. Nim obudziłem Biedaka i zadzwoniłem po grupę interwencyjną, z całych sił trzasnąłem dłonią w szybę na biurku. Stróżka krwi popłynęła mi po rękę. Była to jedyna prawdziwa krew rozlana tej nocy.

O tym, co się wydarzyło w zoo w ciągu następnego tygodnia, trąbiły wszystkie gazety, i nie ma sensu, bym szerzej się nad tym rozwodził. Trzy daniele mezopotamskie – zwierzęta delikatne, bojaźliwe, zagrożone całkowitym wyginięciem – przypląciły nocną wizytę wandali życiu. Bezpośrednich sprawców nie złapano, pośrednią winą obarczono ochronę.

W poniedziałek wziąłem od lekarza dwa tygodnie zwolnienia. W pierwszym tygodniu łudziłem się jeszcze, że wrócę do ochrony, w drugim wiedziałem już, że nie. Bez słowa wyjaśnienia porzuciłem tę pracę.

Na początku września, kierowany uczuciem, którego nie umiałem sprecyzować, pod wieczór, wykupiłem w kasie ulgowy bilet i jako zwykły odwiedzający wszedłem do zoo. Niedaleko wejścia, przy małpiarni, zauważyłem starszego pana w bluzie z napisem: OCHRONA. Jego twarz nic mi nie mówiła. Przechodząc koło niego bliżej, spostrzegłem, że na ramieniu nie ma jastrzębia, ale wijącą się kobrę. Zeszliśmy na ziemię, to dobrze, pomyślałem trochę bez sensu. Spacerowałem wolnym krokiem alejami, które teraz, za dnia, wydawały mi się całkiem nowe. Wchodziłem do pawilonów, na co nie miałem szansy nocą. W budynku zamieszkałym kiedyś przez nosorożce rezydowały tapiry. Na ścianie odnalazłem małą tabliczkę: W TYM MIEJSCU PRZEZ 46 LAT MIESZKAŁ NOSOROŻEC O IMIENIU KRUSZYŃKA. PADŁ 7 LIPCA 2008 ROKU. Moją uwagę przykuło słowo p a d ł. Domyśliłem się, że opiekunowie za bardzo kochali to zwierzę, aby napisać: z d e c h ł, a określenie zmarł mogło urazić niektórych odwiedzających. Wybrano więc p a d ł. Padł, czyli tyle co przewrócił się i już nie wstał. Któregoś ranka po prostu się nie podniósł. P a d ł było idealne. P a d ł trafiało w sam środek.

GENOWEFA ŚWIATŁOŃ
godło: „Samuela M.”

III nagroda w dziedzinie prozy



GENOWEFA ŚWIATŁOŃ – emerytowana nauczycielka. Otrzymała dwukrotnie wyróżnienie w Konkursie „O pióro Reymonta”, wyróżnienie w konkursie organizowanym przez Muzeum w Mysłenicach pt. „Ja i historia” oraz w Konkursie Małych Form Prozatorskich organizowanym przez Muzeum Stefana Żeromskiego w Nałęczowie. Jej artykuły publikowane były w prasie, m.in. w miesięczniku „Śląsk”.

DZIWOKI ZNAD RZEKI

Wiele dziwnego było w jej fizjonomii bardziej właściwego zwierzętom niż ludziom. Niekiedy jej twarz przybierała wygląd dziecięcy, to znów demoniczny. Zmiany uwidaczniały się w czasie pełni księżyca, gdy nie sypiała po nocach, buszując wśród składu niezliczonych tobołków.

Cokolwiek przywiezione zostało na plac, natychmiast było przez nią *znaczone*. Handzia z nieukrywaniem zadowoleniem wychodziła z izby z jakąś onucką, zapaską czy starym żakietem i zawieszała na tym, co jako nowe pojawiało się na *jej* terenie. Cieszyła ją wszystko, co powiększało stertę. Czy nie ma cech atawistycznych, zapytał ktoś znienacka. Gdy w czasie choroby wypadło mi jej doglądać, zobaczyłam, że spod paznokci u jej nóg wyrastają jakby drugie, zakrzywione. Była niska. Chodziła w dużych, szerokich butach, zawsze z przodu pełnych. Mimo że mała, dużo i dziwnie jadła! *Wrzucając* do ust spore kęsy i połykając bez przegryzania, mogła spałaszować tyle, ile widziała przed sobą. Ale też dużo potrafiła udźwignąć. No i to jej umiłowanie lasu. Jeden z sąsiadów mawiał o niej *Leśny Ludzik* i ta nazwa do niej przylgnęła. Przecież w lesie zdrowiała.

Las to siedlisko zwierząt, a żywiciel ludzi. Kto przy lesie, tego bieda nie przygniecie. To jakby się komu byk celił albo kogut znosił jajka, mawiali starzy w tej wsi. Więc Handzia cały rok dorabiała sobie, zbierając latem i jesienią owoce runa leśnego, a zimą i wiosną gałązki na wianki i stroiki. Czasem jakieś kobiety prosiły, by zaprowadziła je na porośnięte borowiną polany. Te wyprawy szybko się kończyły, bo wiodła je tam, gdzie swoje siedlisko miały węże. Więc rezygnowały ze zbierania, a ona zostawała w lesie. *Śpij se ta śpij*, mówiła wężom, *a ja se pozbiyrom*. Nie boisz się, Handziu – pytano. *Co się to boć, wąż se leży, ja se zbiyrom. Gadzinę też Pan Bóg stworzył*. Zmęczona, przespała się na pozostawionych przez drwali gałęziach sosnowych, by znów

powrócić do zbierania lub układania gałązek do coraz większego tobołka. Na choinie *nojlipse sponie*, mówiła wracając.

W lesie była panią. Ale w chacie gubiła się i zapominała. Od dziecka lubiła wpatrywać się w ogień. *Sty, jak to piyknie skoce*, mówiła, gdy ogarek wypadł z otwartych zawsze u niej drzwi piecyka. Nie była ostrożniejsza, nawet gdy spaliła się jej chałupa, a potem spłonął drugi dom, w którym miała dach nad głową. *O, co się tak pyto, łód cegło się spolóto. Łód łognia się spolóto, łód łognia się poli* – odpowiadała niezadowolona. W czasie pożaru zapłakała, ale machnęła ręką, *było i się zbyło*, rzekła i pojechała do miasta, by stamtąd przywozić na nowo toboły. Po powrocie poszła na pogorzelisko, wygrzebała spod stert niedopalone resztki, zapakowała w pudła, owinęła folią i poskładała na stertę. Po pewnym czasie znów wróciła na pogorzelisko i zaczęła wybierać grube polana. Przywlokła osmalone żagwie do drugiej części wsi przed dom, w którym udzielono jej schronienia. Widząc ją usmołoną i dziwnie radosną, przerazili się. Wleczesz nieszczęście! Odnies z powrotem. *Nie rusoj*, wrzasnęła. *Zeby mi tegło nik nie rusot* – przykazała. Za niedługo spalił się i ten dom.

Po każdym pożarze jakby zaczynała życie na nowo. Lubiała ogień, bicie dzwonów kościelnych, dźwięk sygnałów wozów strażackich. Po tem szła od wsi do wsi swoimi leśnymi szlakami, a wracała po kilku dniach obładowana tym, co dostała, znalazła, kupiła. Czasem dźwigała toboły większe i cięższe niż ona sama.

Użyczone jej – jako chwilowe lokum – pomieszczenie szybko zamieniło się w skład betów. Zagraciwszy je, kimała skulona w sieni na pudłach i worach. Mieli jej to za złe, ale nic nie mogli nakazać. Żyła po swojemu. Jak komu Pon Bóg *doł więcy* rozumu, to *gło bedzie wedle tegło sądził surowo*, czyniła aluzje pod adresem tych, którzy chcieli ją ograniczać. *Mnie doł tolent do śpiywonio*. I śpiewała, idąc z tobołami. Czasem, widząc ją obładowaną, ktoś zatrzymywał konie, by ją podwieźć. Krzysiek Ciapac, chłop nie ułomek, aż stęknął pod ciężarem, który prawie o połowę od niego niższa Handzia niosła na plecach i do rytmu wyśpiewywała jakąś piosenkę. *Muse nosić ciężkie, bom letko, by mną wiater nie poniewiyrót*, powiedziała, sadowiąc się na wozie obok niego.

Jednym z mieszkańców wspólnego domu był profesor. Sprowadził się do gajówki jako ostatni. Cieszył się szacunkiem wszystkich, bo wychował trzy pokolenia leśników. Był znany jako myśliwy, który zgro-

madził bogatą i ciekawą kolekcję trofeów łowieckich. Sporo od niego młodszy byliśmy trochę speszeni, przebywając w jego towarzystwie. Miał przedwojenne maniery, ale wszystkich trzymał na dystans. Nie przyszłoby nam do głowy z nim się spoufalać. Tylko Handzia nie czuła respektu. Swojego terenu strzegła, na *profesorski* bez problemów wkraczała.

Profesor wysiadywał w lesie, prowadząc obserwacje. Handzia podpatrzyła jak – zwłaszcza zimą – dokarmiał zwierzęta. Zaczęła go naśladować. Nazbierawszy kopyate wiadra odpadków, szła *naposać*. Te wyprawy urządzała tuż po tym, gdy profesor szedł na ambonę, by kontemplować *w leśnej świątyni*. Niczym markietanka za wojskiem – ciągnęła za nim, po drodze gawędząc ze sobą. W lesie bądź cicho, upominaliśmy. *A z kim miałabym godać?* I odchodziła ze swoimi wiadrami, nucąc lub mówiąc cały czas: *dobryś* – do spotkanego grzyba, *tożrelałyście* – pytała jagód, ale *mos ktorole piykne* – chwaliła jarzębinę, *tołbleciałyście* – zagadywała do liści. I tak aż doszła pod sosnę, gdzie na ambonie przebywał akurat profesor. Dochodząc, kontynuowała swój dialog, teraz dla odmiany z niewidoczną zwierzyną: *Gdzie to jeżeście? Bedziecie jeś? Mocie, jydzie! Nie kcecie?* Wysypywała to, co było we wiadrach i wracała wielce rada z siebie.

Wiedzieliśmy, że zaraz wróci profesor, bo nic z jego zasiadki. Wkrótce pojawił się i było widać, jak zwykle opanowany, ledwo panuje nad sobą. *Czemu pani spleśniałe obierki wynosi do lasu* – pytał z wymówką. Pleśń szkodzi zwierzętom. *Jakże skłodzi, jak z pleśni robią zostrzyki* – odrzekła niespieszona. *Wielki myśliwy, a po miysso jeździ do sklepu* – komentowała. *Tatusz ni miał strzelby, a jak żył, to dzicyzna nie wychodziła u nos z gorcka*. Jak to?

To ojciec polował? Miał broń? – dopytywano się. Ale Handzia przedstawiała słyszeć. Wyłączała się zupełnie, jakby świadomość odcięła część zmysłów. Trzeba ją zresetować, dowiecipkowano.

Milczała, pytana o przyczyną pożarów, które miały miejsce tam, gdzie pomieszkiwała, jakby rada z kłopotów innych, bo jej widzenie problemów ograniczało się do zawężonego wycinka jej świata. *Spolóło się, bło wos Pon Bóg skorot, za to zescie mi pudła zabierali i polili. Co wos łobchodzi, co jo robie. Jo się do wos nie wtroncom, to wy się tyz nie wtrącajcie. Jo tu jezem nojstarso, teroz jo jezem tu namiestnickom*. Ten wyraz przyswoiła sobie, zapamiętała jak wiele innych, których prawdziwość nie stosowała, a brzmiała – w jej mniemaniu – uczenie.

Dziwny ludzik, który miał być chwilowym lokatorem, zaanektował nowy teren i przebywał już kolejny rok, nie myśląc o wyprowadzce. W dodatku uważał się za *namiestniczkę*. *Negatywne wychowanie* – odparowała, gdy ktoś z młodszych zwrócił jej uwagę, że rządzi się jak szara gęś po niebie.

Zdarzają się w naturze osobniki patologiczne. Nadmiernie chronione paskudzą. Taka kuna czy łaska dla zaspokojenia głodu potrzebuje niewiele, ale instynkt sprawia, że musi mieć dużo. Zwierzęca zdolność gromadzenia niekiedy cechuje ludzi. Jak gatunki synantropijne żyją, wykorzystując warunki otoczenia. Zawsze znajdują miejsce do bytowania; rzucił kiedyś w rozmowie profesor. Czy to była aluzja, czy wywód serio? Zaczęto dociekać, czy Handzia była niezaradna, czy żerowała na naiwności otoczenia? Czemu miała drugie paznokcie u nóg, które wyglądały jak pazury. Skąd u kobiety ciemna i gruba skóra pokryta meszkiem? Dlaczego kolejne mieszkanie zapelnione od podłogi po sufit, niewietrzone, z oknami zasłoniętymi burymi kocami, zamienia w ciemną norę? Czemu nie może mieszkać jak człowiek?

Urodziła się normalna, ale odmienił ją przestraszenie.

Tego dnia była jesienna słota, więc dziecko zostało w domu, gdy dorośli poszli kopać ziemniaki. Wyczekując ich powrotu, kilkuletnia dziewczynka usłyszała stukanie, a w okienku zobaczyła brzydką postać i jakieś drzewo, które wydawało się ogromne i potworne, jak owa istota, która to drzewo trzymała. Czy to było drzewo, czy z drzewa wydłabaniał się karzeł i nieprzyjemnym, chrapliwym głosem pytał: *Jes matka?* Uzmysłowiła sobie, że jest sama i jeszcze bardziej się przeraziła. Czy to jabłoń mówiła głosem karła, czy karzeł ukrył się za jabłonią. Może zamienił się w drzewo. Czemu gałęzie biły o szybę? Machały. Chciały rozmawiać z matką.

Nikt nie wiedział o tej wizycie. Nie rozumieli, czemu w snach dziewczynka krzyczała: *Okno. Drzewo. Michoł. Idź. Nie chcę, nie!!*

Gdy podrosła, bała się go nadal. Każdy człowiek niewysoki i krępy w jej wyobraźni to ten, który się obnażał i pokazywał przyrodzenie. Wielokrotnie po skończeniu roboty w kuźni, pasąc bydło – wystawiał swe *męskie klejnoty* i obleśnie uśmiechał się na jej widok.

Widował go sołtys, nauczyciel, inni. Nie reagowali. Może tak uwalniali się od swej lubieżności? O czym rozmawiali, będąc z nim sam na sam w kuźni, gdy czekali na zrobienie podkowy, wyklepanie obręczy

do koła, czy podkładu do pługa? Odmieńce, rzekła kiedyś babka. Ale jak Pan Bóg takiego dziwoląga stworzy, to nie da mu zginąć. Coś umie, to z drugiej strony doda. Michałowi dał talent do kowalstwa, ale nie dał rozumu na miarę. Gdy we wsi nie było jeszcze elektryczności, a choinkę oświetlano świeczkami, Michał podumał, podumał, poszedł do odległego o sześć kilometrów miasteczka, nakupił *ceglósik*, tak długo *majstrował* aż elektryczne lampki na choince rozświeciły zadymioną izdebkę. Przychodzili do jego kurnej chaty oglądać te cudowności, kiwali głowami nad zmyślnością tego mężczyzny przypominającego karła. Dziwili się jego mądrości i temu, że chyba ostatni w tej wsi mieszka w chacie bez komina. Wychodząc od niego chłopci pogadywali do siebie: *taki zmyślny, młogby se chłocióz kłomin wymurować, a nie siedzieć w smrodzie! Śmierdzi jak twórz.*

Handzia dostała od Boga więcej: umiała więc wianki i śpiewać. Śpiew to modlitwa, mawiała i mocnym głosem intonowała w kościele, gdy nie było organisty. Śpiewem zdobyła szacunek ludzi. Odśpiewali jej, gdy umarła.

Nie pasowało, by trumnę z Handzią wiózł karawan z miasta. Wsiowa była, najmowała *konie* do roboty, naposała, to i konie *musą ją łodwiyż*. Przyjechali po trumnę półkoszkiem. Musieli poczekać, bo pies jej pilnował, gdy – ozdobiona bukszpanem i mirtem – leżała w trumnie. W blasku świec wydawała się młodsza niż była. Przychodzili sąsiedzi, kiwali głowami; *młogła płozyc, młogła. Ale kazdemu taki kłonec* pogadywali przed różańcem. *Weźcie tegło psa łod niej.* Ale pies wyszczerzył ostro zęby; wstał, przednie łapy oparł o trumnę i zaczął lizać Handzine ręce splecione różańcem. *Weźcie tegło psa*, powtórzył ktoś, ale pies znów warknął, zjeżył sierść, napiął ogon. Dali spokój. Gdy ustał monotonny rytm różańca, pies siadł koło trumny. Wtedy zobaczyli, że z oczu płyną mu łzy. Baby zaczęły mu wtórować; *zuiyrze łepse niż człowiek. Pies mo serce. Pies i kłoni.*

Gdy podeszli zamknąć trumnę, pies już nie bronił, ale zawył przerażliwie i wył cały czas, gdy chłopcy w czterech stanęli w drzwiach i powiedzieli: *płozegnoj się Handziu, zebys się stomtąd nie wracała, nie thukła się pło chałpie.* I stuknęli trumną o próg, odliczając równo: *roz, dwa, trzy.*

Łostań w chałpie, powiedział do psa Stasek Smłok. Pies umilkł i położył się koło stolka, na którym przed piecykiem siadywała Handzia.

Potem włożyli ją w półkoszki. Gienek furmanił, bo to sąsiad, pasowało mu, a do pary wziął *Gniadego* od Łapaca.

Tego Karolcia karmiła, poila, gdy Łapac był pijany, a gadzina tłuka łbami o puste żłoby. Teraz konie zaczęły grzebać nogami, cofać się, rozglądać na boki. *Gienek, ni mos to bata*, powiedział któryś. *Dziśka nie trza*, odrzekł i poszedł do stodoły przynieść garść siana. *Teroz będzie naposoł* – przyganiła jedna z bab. *Ne furmanis, nie znoś się*, odciął się Gienek. Podszedł do trumny, dotknął sianem wieka, *cosi poseptoł*, wrócił do koni, dał po trochę do pyska, poklepał po łbach. *Cemu nie jedzie*, zaczęły znów szeptać baby: ksiądz *ceko*. *Powiydzie Smlłokowi, niek prowadzi*. Gienek wziął lejce, rzucił: *wio*. Konie ruszyły. Stasek Smlłok przepowiadał na nowo części różańca, a pomiędzy nimi modlitwę za zmarłych lub intonował pieśń, którą podejmowali idący za trumną. W rytmie żałobnego modlenia doszli już do mostu. Skręcali w prawo, by wejść na główną drogę, wtedy znów odezwał się żalosny skowyt psa, aż ciarki przeszły po plecach, a konie zastrzygły uszami. Gdy przechodzili koło Stasinej chałupy, psu zawtórowały indyki. Ptasi lament rozległ się ponad wsią, wzbudzając trwogę. *Jak to ptoki wiedzą, kłogło wiezo! Przecie tona żena im pokrzywy*, szeptały baby i popłakiwały głośniej w coraz liczniejszym orszaku. Z daleka zobaczyli księdza z ministrantami i krzyżem. *To i ksiądz wyseł! Pasuje, zolatorka, prowadziła pogrzeby. A i na Kalwaryję tys chodzała. Prowda! Ale cemus tyle chołp spoliła? Skóranie Błoskie*.

Ludzie winni. Postawili domy na korycie rzeki. Wodzie zabrali miejsce. Woda i ogień chodzą w parze. Woda ogniem karała. Nie Handzia.

Woda może powrócić, jak powraca Michoł. Bo to Michoł, zmarły wiele lat przed Handzią, tłucze się od czasu do czasu po pustej kuźni. Słysząc jak od północy do pierwszego kura wali młotem. Nie pomaga kropienie wodą święconą. Nie pomogły odprowadzane msze święte. Może to i kara za to, że nie karcili go za życia? Czy teraz jego dusza karci tych, którzy – milcząc – udawali, że nie widzą jego lubieżności? Nie są bez winy: przyzwalał na nieprzyzwoitość.

Świat, w którym żyła Handzia, odchodzi bezpowrotnie. Lęki pozostają.

JOLANTA KAPICA
godło: „Jotka”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



JOLANTA KAPICA – pracuje z dziećmi i młodzieżą od 25 lat. Otrzymała wyróżnienia w IX Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Lalkowych i Żywego Planu za autorskie przedstawienie „Kartki z kalendarza” oraz w ogólnopolskim konkursie na reportaż „Niepowtarzalny mój świat”. Zajęła 1. miejsce w Powiatowym Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych – występ kabaretowy oraz 3. miejsce w Powiatowym Konkursie Literackim „Słowem zapisane”. Proza „Bo mi tak ciągle ręce latają” jest jej debiutem.

BO MI TAK CIĄGLE RĘCE LATAJĄ

Często przychodził w zarośla pod wiaduktem. Miał tam swój ulubiony gąszcz zwichrzonych traw, w których chronił swoją płową czuprynę przed codziennością. Odwiedzały go mrówki i biedronki, traktował je jak przyjaciół. Jego ulubionym zajęciem po pokonaniu drogi ze szkoły było oglądanie nieba. To był dobry punkt. Samoloty przelatywały z częstotliwością pięciu, siedmiu minut, rysując niebo białymi ogonami. „Porozumiewają się ze mną” – myślał. Był przekonany, że chcą mu coś przekazać. Wielokrotnie zastanawiał się, jakie to znaki..., ale... Jeszcze nie czas. Szare komórki potrzebują zdecydowanie więcej czasu i wiedzy, by porozumieć się z niebem.

Ulubionym kolorem jego tajemnicy była zieleń. Soczysta. Świeża, intensywna, przełamana delikatnym słońcem. Drżące trawy laskotały go w ucho, ale on odczytywał to jak łagodną pieszczotę czyichś dłoni pełnych troski i ciepła. Czasami sam żdźbłem trawy wymachiwał sobie przed nosem, po nosie, pod nosem, by poczuć dotyk delikatnego meszku.

Był świadkiem kłótni dwóch kretów, które weszły sobie w drogę, widział jak z pobliskich mokradeł spacerowało w jego pobliże stadko żab, nie podeszły za blisko, suche liście nie są ich pierwotnym środowiskiem. Zauważył również małą jaszczurkę – wystraszył się, ale ona chyba też była wielce zdziwiona widokiem wielkich fiołkowych oczu, które co rusz zmieniały kąt spojrzenia, by zobaczyć ją z każdej perspektywy.

Nie chciało się wracać do domu, ale musiał. Mama nie będzie zachwycona, gdy minie 17.00. Wtedy zawsze wychodzi z jego małą siostrzyczką na spacer, gdy dni są ciepłe. Mama też ma swój kolor. To brzoskwinia. Pokryta krótkim włoskiem, delikatna w dotyku, krągłych kształtów z przyjemnym miąższem wewnątrz, który oblewa palce podczas jedzenia. W domu nie ma miejsca, a nie może wychodzić wcześniej, bo opiekuje się schorowaną babcią. A potem wraca ojczym.

Wraca i kolor domu zmienia się. Granatowo drży powietrze, od czasu do czasu przecina je błyskawica ostrych słów.

Cicho. To dobrze. Otwiera powoli stare, odrapane przez sukę, wypaczone przez deszcz i śnieg drzwi. Słyszy, jak babcia pochrapuje cicho, więc by jej nie obudzić na palcach przechodzi do małej kuchni i sięga po kromkę chleba. Już dawno zapomniał, co jadł na obiad w szkolnej stołówce. Wszedł do pokoju. Położył plecak w swoim kącie i zauważył siostrę, która ślęczała nad książkami. Ich oczy spotkały się na chwilę. Położyła palec na ustach, który oznaczał zachowanie ciszy. Na tapczanie po przeciwległej stronie spał ojczym. Już po smaku powietrza w dusznym, choć obszernym pokoju poznał, co „jadł” na obiad. Lepiej go nie obudzić. Nie pozostało mu nic innego, jak wyjść jeszcze na dwór i skorzystać z łagodności jesiennej aury.

„Nie będzie dobrze, jak mama dowie się, co stało się w szkole” – pomyślał. Ale to nie do końca jego wina. Nikt nie będzie mówił do niego „debilu”, nawet gówniarz z trzeciej klasy. Ręka sama mu poszybowała w stronę twarzy skrzywionej w drwiącym uśmiechu. I o co tyle hałasu? Tyle powtarzają o szacunku wobec siebie, że powinni go zrozumieć. Powinni, a nie rozumieją. I z nikim nie można na ten temat pogadać..., wracam „do siebie”.

Skierował się w stronę wiaduktu. Kolor powietrza nabrał rumieńców i owiewany przez jeszcze ciepły wiatr położył się, by znów rozszyfrowywać płaczące się dymy samolotów.

Nie minęło może pięć minut, gdy usłyszał jakieś kroki i ściszone głosy. Nie wychylał się by zobaczyć, kto to taki. Jeszcze mocniej przytulił się do ziemi. Poczul jej brunatny oddech. Wiedział, że jest bezpieczny.

– Tu nikt nas nie zobaczy.

– Jesteś pewien?

– Już obczaiłem. Nikt tu nie przychodzi. Za duże zarośla, za dużo robaków.

Głosy ucichły i usłyszał uderzenie butelek. Potem charakterystyczny „psyk”, który zwiastuje boski napój ochlapusów spod sklepu. Krótkie gul.

– Dobrze, że nie chciał od nas dowodu.

– Następnym razem musimy kogoś zbajerzyć, by nam kupił, bo w końcu ktoś nas przyłapie.

– Nie pękaj, to nie koniec świata! Dwa piwa...

– Niby nie...

Rozróżnił głosy. On – starszy, bo głos był basem, pewny i zdecydowany. Ona – młodzieńka, bo pobrzmiwał w głosie niepokój. Bał się zidentyfikować postacie, by samemu nie zostać zauważonym. Przychodzili przez kilka dni. On przekonywał ją, że nie robią nic złego. Ona nie do końca była o tym przekonana. Chyba nawet się całowali, bo słyszał ciche mlaśnięcia i przyspieszone oddechy. Nie potrafił zidentyfikować koloru. Nie znał go. Tylko raz przez przypadek dotknął ustami twarzy dziewczyny, gdy podczas przepychanek z kolegami wylądował wśród koleżanek. Śmiali się potem z niego przez resztę dnia, że zakochał się w Julce. Ona się złościła, a jemu to nawet pasowało. Dziewczyna miała jasną, usłaną piegami cerę i błyszczące brązowe oczy. Ale jego nie lubiła. Był klasowym urwipółciem, przez którego cała grupa rówieśników wiecznie miała przerąbane. Bo jemu tak ciągle te ręce latały... Nie pamiętał, skąd to się wzięło. Urodził się chyba z tym. Jak tylko sięgał pamięcią, to mówiono na niego „czyste srebro”. Że niby taki ładny, szlachetny, błyszczący? Błyszczał – agresorem w swoich oczach. Wielu zastanawiało się, że taki ładny jak dziewczynka, oczka duże, a złośliwy taki..., to było silniejsze od niego. Widział ciągle grożący palec matki, krzyczącego ojca (jakoś potem po awanturze z pobitym kotem szybko zniknął), zdenerwowaną babcię. Kochał ich.

Mama czasami, dawniej, dawała mu buzi. Na dobranoc. On rękawem piżamy mocno się potem wycierał, ale nie dlatego, żeby zrobić mamie przykrość, nie lubił wilgoci na twarzy. Mama chyba zrozumiała, bo potem tylko głaskała go na dobranoc, a w efekcie nawet tego nie robiła, bo urodził się brat, a potem siostra, a potem to on już miał 10 lat, więc to obciach, by mama głaskała.

Tym razem w domu nie było cicho. Siostra prowadziła z mamą głośną rozmowę:

– Ja potrzebuję tych 20 złotych. Cała klasa jedzie do kina, a ja znów mam zostać? I tak już wszyscy wiedzą, że biedni jesteśmy.

– Nie mam córciu – usprawiedliwiała się matka. – Jak tato przyniesie wypłatę to ci dam, może masz od kogo pożyczyć?

– Znowu?

Wszedł do pokoju.

– Buty! – krzyknęła siostra. – Myłam przed chwilą!

Zdjął posłusznie i przysiadł na krześle przy stole. Nie wiedział, co robić. Uczyc się? Bez sensu. Czytać? Po co? Może uda mu się choć trochę wejść w internet, by pograć. Siostra dostała w nagrodę w jakimś konkursie matematycznym. Ale chyba nie było szans. Ojczym rozejrzał się wokół i szturchnąwszy wózek z malenką od razu zajął miejsce zwolnione przez siostrę.

– Węgiel trzeba zwalić do piwnicy – przypomniała mama, zwracając twarz w stronę mężczyzny.

– Młody się nudzi. Ja tu zarabiam pieniądze.

Młody nie czekał dłużej. Wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Zbliżał się wieczór. Wieś na końcu świata pogrążała się w błogim odpoczynku. Słyszał szczekanie psów, miauczenie kotów, ale najbardziej fascynowały go kolory, które głaskały szczyty niewielkich pagórków wokół. Żółty – podobny do kwiatów pęczniejącego słonecznika, czerwony horyzont płonący ze wstydu na myśl o tym, że przyjmuje pocałunki gasnącego słońca i bładoniebieski – dywan, na którym rozpościera się droga gwiazd.

Usiadł przy bramce na boisku i wpatrywał się w gasnący dzień. Zamknął oczy. „O, ręce mi nie latają” – ucieszył się. Samemu jest dobrze. Cicho. Mama jeszcze nie wie o awanturze w szkole. Może wychowawca zapomni. Ale on nie zapomina..., niestety. Fajny jest. Jeszcze takiego nie mieli. Młody chłop. Chyba jeszcze nie ma żony. Uczy plastyki. Mówi o sztuce, o artystach, którzy zmienili świat... on chciałby zmienić świat. Ale jak nabroi, to twarz zwykle pogodnego nauczyciela nie jest miłą. Krzyczy.

Kiedyś sam powiedział do niego, żeby tak nie wrzeszczał, ale wysłuchał, co ma do powiedzenia, bo nie zna sprawy z jego strony. Nie chciał słuchać, więc wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Tamten wybiegł za nim i postawił go pod ścianą. Wysłuchał. Od tej pory rozmawia z nim. Nikt inny, tylko on. Inni krzyczą. Pokazał mu program do grafiki komputerowej. Spodobało mu się. Chciałby coś w ten sposób porysować, ale nie ma jak. Szkoda mu tego nauczyciela, bo on nic na to nie może, że mu się agresor włącza. Ktoś puknął go w ramię. Siostra. Poszli do domu.

Śpi na „piętrze”. To znaczy jego brat na dole, a on do góry, bo starszy, a mały ciągle jeszcze ma owsiki w dupie, jak mawia babcia i jak wiatrak śpi w nocy. Strach, by nie spadł. W nocy budzi go brzęk

tluczonego szkła. Odgłosy dochodzą z kuchni. Nie słysząc słów, tylko posapywania i jęki. Jakiś „plask”. Jeszcze tylko „kurwa” i cisza. Odgłos czajnika z gotującą się wodą. Zasnął.

Dowiedziała się. I znów: „Dlaczego mi to robisz, dlaczego ja się za ciebie muszę wstydzić, mam tego dosyć, jak można kolegi głowę walić w parapet...”. Próbował coś tłumaczyć, ale zniecierpliwiona przerwała:

– Zawsze mi coś obiecujesz i nic z tego nie ma. Skończysz jako łopaciarz. Dlaczego twoja siostra może dobrze się uczyć, stara się, a tobie tylko awantury i bijatyki w głowie? Co ja mam z tobą zrobić? Wiem, że się nie przelewa, ale głodny nie chodzisz. Obdarty nie jesteś. Co do cholery ciężkiej mam zrobić, żebyś się zmienił?

Nie chciał jej słuchać. Nudził się. Przewracał oczami, co jeszcze bardziej wyprowadzało ją z równowagi. W końcu dostał z liścia. Nie pozostał jej dłużny. Wybiegł, trzasnąwszy drzwiami.

Kiedyś taki nie był wobec matki. Bał się. Ale ona się tylko zawsze rozplakała i nie ponosił za to żadnych konsekwencji. A ojczym nawet uśmiechał się pod nosem, jak on tak na nią wrzeszczał. Ręce mu nie latały, ale coś w środku drżało, jak podnosiła na niego głos. Nie pamiętał, dlaczego tak się czuł. Ale wiedział, że to drżenie towarzyszy mu od dawna. Zauważył, że czasami zmienia się w wewnętrzny krzyk. Z twarzy odpływa mu krew, staje się potwornie blady i mimo twarzy cherubinka wszyscy wiedzą, że wtedy lepiej mu nie wchodzić w drogę. A jak słyszy, że znów czegoś nie umie, to rzuca, czym popadnie.

Jak dobrze wcześniej rano pospacerować. Przegrzebać nogą liście i podrzucać je czubkami butów. Patrzą w jego stronę, pokazują palcami. Przyzwyczaił się. Już wie, że nie ma się co zastanawiać – co ludzie powiedzą. Babcia zawsze mówiła – ludzie ci jeść nie dadzą. A dali. To jak to jest? Dbać o ich opinię, czy nie? Nie rozumieli go. Nie znali. Nie chcieli poznać. A on ma w środku paletę barw. I może wielu ludziom wiele dobrego dać. I zwierzakom też.

Po epizodzie z kotem, kiedy go z kolegą podpalili i zadyma była, już teraz inaczej traktuje zwierzęta. I nie, żeby zrozumiał. Nie zrozumiał. Kiedyś pewien żul, który po sklepiem delektował się szczynami prosto z butelki wziął go za bety, bo nie pozwolił sobie ubliżyć. Musiał z nim iść. Miał 7 lat, był chudy jak przecinak, a tamten złapał go za koszulę na karku i zaniósł do swojej piwnicy. Tam zrobił mu pranie

mózgu. Że zwierzęta to przyjaciele człowieka i takie tam. Ale nie to poruszyło w nim emocje. Wychodząc od starego spoznał na psa, któremu ten dawał jeść. I popatrzył w oczy zwierzęcia. Nie do uwierzenia! One mówiły. O potrzebie bycia z kimś. O pragnieniu opieki. O przywiązaniu. Nigdy już potem nie widział takich oczu u zwierzęcia, ale pamiętał cały czas ten kolor „mania” siebie.

Bo czym jesteśmy sami? Otacza nas cisza, owszem zbawienna, kiedy wracamy z rozkrzyczanego świata. Jednak kiedy pełen rozmaitych emocji świat dawno opuściliśmy to pozostaje nam odbicie w lustrze. Nie ma to jak pozostawać w inteligentnym towarzystwie..., ale czasami... brakuje... dotyku. Kto go dotykał? Mama..., dawno temu... tata jak konsekwentnie czynił go mężczyzną w wieku 3 lat... kumple... silniejsi..., a potem już nikt. Od kiedy? Od kiedy te nieszczęsne ręce nie trzymały się tułowia?

Jego azyl był zajęty. Znowu przez tę parę. Było już ciemno. Przycisnął się pod wiaduktem. Cekał. Może sobie pójść? Nie zamierzali. Nagle usłyszał krzyk. Krótki. Minęły może 3 minuty i ukazała się sylwetka chłopaka, który rozglądając się, uciekł.

Podejść? Zobaczyć? Bił się z myślami. Ale był ciekawy, co stało się z dziewczyną. Zainteresowanie przeważało. Gdy ją zobaczył już wiedział. Mama czasami tak wyglądała, gdy przez przypadek w nocy wszedł do kuchni i zaspany szukał czegoś do picia. Najbardziej dziwiło go to, że były siniaki na twarzy, dużo łez i bezsilność. Dlaczego? Słyszał, że seks jest przyjemny. W filmach inaczej to wyglądało. Próbował umieścić te emocje w kolorach. Czerwony – nie, zbyt pozytywny, czarny... w ogóle nie pasował..., lilaróż..., ze względu na kolor siniaków?

Wstała i powoli ogarnęła swoje ubranie. Poglaskała rozmierzwione włosy drżącą ręką, jej palce zdawały się być sine i ledwie pociągnięte skórą, która lada moment mogła się rozerwać jak lichy papier. Obserwował jej usta, uchylone, wilgotne, rozerwane prawdopodobnie od uderzenia, były nabrzmiałe jak dojrzała brzoskwinia. Nektaryna. Bo twarde. Odeszła. Wrócił zapach brunatnej ziemi i kolor zasypiającego nieba. Było tak cicho. Jak to jest? Mężczyzna i kobieta. Podobno polówki jabłka. Adam i Ewa. Gdzie ten raj? Przerzekamowany?

Babcia opowiadała o dziadku, że był od niej o 20 lat starszy. Dlaczego za niego wyszła? Rodzina kazała. Czas wojny. Służba w Niem-

czech. W domu bida z nędzą, więc ojce zdecydowały, że wyjdzie za Stacha, który miał ziemię i dom, wtedy to burżuizmo było. Babcia stała się własnością dziadka. Robił co chciał, w wolnych chwilach nawet cerował..., żart taki. Ćwiczył żonę ile wlało, a że przy okazji smakowało mu to, co zgubiło czerwonoskórych obywateli Ameryki, szybko się chłop uwinął na tamten świat. Babci zostało powiedzenie: chłopu dasz wszystko masz i uprzedzenie do ludzi, którzy nigdy jej nie pomogli. Wyglądała jak mama w kuchni? Jak ta dziewczyna?

Kiedyś podsłuchał, jak płakała, rozmawiając z mamą. Nic z życia nie miała oprócz roboty. Ominęło ją szczęście, które zostawiła w Niemczech. Chciał się z nią żenić jakiś Niemiec. Ale... co rodzina by na to powiedziała?! Z wrogiem narodu? Zdrada! Czasy takie były. A silna psychicznie nie była. Z biedy na służbę, nauczona harowania robiła nad siły i w domu i u bauera, żeby zarobić jak najwięcej. Jedyne co się jej udało to to, iż gospodarz jej nie zgwałcił. Wszystkie z nim szły. Dostawały potem prezenty, a ona nie chciała prezentów i nie chciała dupy dawać. Wiedziała, że to skarb być dziewczyną.

Lubił takie opowieści. Ale babcia mówiła, że za młody jeszcze jest na zboreństwo.

– Sierściuch z ciebie! Do książek, a wartko! – machała zniecierpliwiona, gdy ją nagabywał.

Tłumaczyli jej, że dojrzeła, że trzeba z nim „o tym” porozmawiać... i na tym się kończyło. Identyfikował kolor tego uczucia. Żaden mu nie pasował. Nie poruszał się w wyrafinowanych barwach. Wiedział, że są barwy podstawowe i pochodne. Te pierwsze to czerwony, żółty i niebieski, a pochodne powstają w wyniku ich połączenia: żółty i czerwony dają pomarańczowy, żółty i niebieski – zielony, a czerwony i niebieski to fiolet. Kojarzył z owocami i innymi elementami natury. Było mu łatwiej: cytryna i jabłko to pomarańcza, cytryna i niebo to trawa, a jabłko i niebo to bliżej nieokreślony fiolet. I ten kolor mu się nie podobał. To kolor siniaków mamy, to kolor, który pobrzmiwał w opowieściach babci, to zapach zakrzepłej krwi. Budził w nim emocje, które marszczyły mu brwi i powodowały, że miał stalowe oczy. Oczy, w których błyszczały sztylety. Uciekał wtedy od siebie. Nie lubił tego uczucia.

Pierwszy raz poczuł smak krwi, gdy ojczym przećwiczył mu ucho i policzył wszystkie mięśnie kablem od żelazka. Obudził się na podło-

dze, a krew spłynęła mu do ust. Cierpko. Gęsto. Ciemno. Od tamtego wieczoru spał z zaciśniętymi pięściami. Tak na wszelki wypadek.

– Chodź do mnie na chatę – zaproponował Daniel zniecierpliwiony.

Dziwnie było w jego domu. Nagrobki na podłodze, drzewa na ścianach, zapach skóry w garażu, sokowirówka... uwielbiał smak soku z ziemniaków. Nie wiedział, że taki sok jest. Któregoś dnia mama Daniela zaproponowała im całą gamę soków. Spróbował wszystkich. Dziwnie na niego potem patrzeli, może miał czerwone wąsy od buraczków? Ale sok z ziemniaków to smak żywej oddychającej trawy, zbożem i kwiatami ziemi, która przytuli, gdy trzeba się ewakuować z domu. Kolor siny. Taki jak zielone kluski. To znaczy pyzy, ale takie inne, nie tylko z gotowanych ziemniaków. Są tam też starte kartofle i jajko, i mąka, dwa rodzaje nawet. Kiedyś pomagał babci je kulać, jak jeszcze babcia coś potrafiła zrobić. Były smaczne z sosem grzybowym. Zbierał kurki. Tylko te grzyby były dla niego pewne. Pycha.

Ale tym razem nie było w domu Dawida nikogo i na sok nie było szansy. Pooglądał nową grę kolegi i nowe plakaty. Jakiś wampir, kropła krwi na wystających kłach – banal. Kto wierzy w takie stwory? Kiedyś oglądał horrory, ale przestały go zajmować, gdy zauważył, że ciągle ten sam schemat: dobro walczy ze złem i dobro zwycięża. Jakoś tak trafił. Dobro zwycięża?

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Smak soku z ziemniaków już dawno przepadł w pamięci. Pojawiło się wewnętrzne drżenie i świat zrobił się granatowy. To nie były chmury. To była jego aura. Do domu biegł. Zdyszany pchnął wypaczone drzwi i wpadł do pokoju. Do babci przyjechało pogotowie i ojczym wrzeszczał do mamy, żeby ta stara już wykitowała, bo zabiera mu powietrze i przestrzeń do życia. Jaką? 30 metrów kwadratowych? Mama oczywiście bez sensu krzyczała do niego stereo, więc nikt nikogo nie słuchał. Siostra wyszła, biorąc malarstwo kwilące w łóżeczku, bo się obudziło. On sam też nie chciał zostawać. Zresztą ojczym wrzasnął do niego:

– Won mi stąd!

Kiedy miał wrócić, nie powiedział. Wyszedł, ale zastanawiał się, jak mama sobie poradzi. Bardzo schudła. Mało się uśmiechała. Była bardzo niecierpliwa i nigdy nie chciała z nim porozmawiać.

W azylu przesiedział do późna. Wrócił, jak wszyscy spali. Powietrze było ciężkie i duszne. Zasnął w opakowaniu. Obudziło go nagle szarp-

nięcie. Pochylała się nad nim czerwona twarz zaspanego i przepitego mężczyzny – tego samego, który ćwiczył jego matkę. Wrócił cierpki smak krwi.

Wziął go ze sobą, bo samemu nie chciało mu się pójść po papierosy do CPN-u. Zobaczył tam tę samą dziewczynę, która upokorzona w jego azylu uciekła od świata. Stała z plecakiem, paliła papierosa i mizdrzyła się do faceta w samochodzie z niemiecką rejestracją. Ten jedynie patrzył na jej młode jędrne uda, które skąpo przykryte spódnica kusily młodością. Pojedzie z nim? Dlaczego nie?

Po powrocie nie mógł zasnąć. W kuchni tłukła się obudzona mama, maleństwo i kopący skurwiel. Trzaskały mu palce, które ścisnął pod koldrą. Nie opuszczało go granatowe ciężkie powietrze. Teraz to chciałby nawet, by go mama pocałowała. Nie wycierałby się koldrą. Ani rękawem. Brzoskwinia jest smaczna, jej skórka tak aksamitna. Trzask. Co to było? Siostra otworzyła oczy i zaspana ogląda się po pokoju. Trzask. Wyjść? Zostać pod koldrą? Trzask. Wytrzymał. Jeszcze raz.

Rano nie zjadł śniadania. Babcia poprosiła go, by poszedł po zakupy, bo źle się czuła, a chciała pomóc mamie, bo maleństwo niedomagało. Siaty nie były mu obce, ale dogadał się z kumplami, że spędzą sobotę, kopząc i klnąc. Może coś skubną na niedzielę... Pomamrotał coś o „dupie” i „pierdołach”, i poszedł po zwyczajną na bigos. To jego ulubione żarcie, babcia wiedziała o tym, gdy podawała mu 20 złotych, bo miękko dotknęła jego dłoni, wkładając mu banknot. Reszta była jego, ale jak to zrobić? Żaden majątek, a ta baba w sklepie patrzy mu na ręce od czasu, gdy zawinął wagon cygaret. A zaczęło się od jabłek. Następnie pojedyncze małe produkty, a potem to już tak się ośmielił, że patrzył jej prosto w oczy, a ręką zawsze po coś sięgał. W końcu go przyłapała. Założyła monitoring i... szlus. Policja, krzyki, sąd, krzyki, dom, rżnięcie. Na dupie też kolory. Od szaro-granatowych po żółte, jak mijał czas. E tam. Nie ćwiczył tylko wtedy na wuefie, bo pręgi były widoczne na nogach, gdy zakładał krótkie spodenki, a dresów nie miał. Dostał ochrzan, że pali. Mama wyczuje, mimo że ojczym też pali.

– Nie za twoje, odczep się – odburknął.

– Niewdzięczny, niedobry, opryskliwy, nie dba o rodzinę, nie zajmuje się rodzeństwem – użalała się pod nosem.

Jak ma się zajmować, skoro zawsze coś spieprzy. Poszedł z sierściuchem na boisko, mały złamał rękę. W skórę dostał „opiekun”.

W sumie nieważne, że się gówniarz pobił z takim jednym, co go od niemrawych wyzywał. Większy był i silniejszy. Wziął maleństwo na spacer. Wyglądał śmiesznie, koledzy pokazywali go palcami i nawalali się, ale on tylko wzruszył ramionami. Stał przy piaskownicy z wózkiem i bujał, bo wrzeszczało. Tak bujał, że mała wyleciała buzią do piasku. Chwycił ją na ręce. Zanosił się i myślał w pewnym momencie, że nie oddycha. Tak mocno ją przytulił, że poczuł zapach mleka i niewinności, bezradności i potrzeby opieki, zapach siostry, dotyk nowego kocyka. Pobiegł na plebanie, było najbliżej. Ksiądz włożył małej palca do buzi, wyciągnął piasek i dziewczynka odzyskała oddech, dał jej też mleka, by resztę piasku usunąć, ale mamie musiał powiedzieć. „Opiekun” dostał w skórę. Nie dostawał więc już takich zadań specjalnych. Miał inne. Rozwalał mandarynki na ścianie w szkole. Fajnie leciały i rozbryzgiwały się na świeżo pomalowanej ścianie. Teraz już uważa i broi tam, gdzie nie sięgają kamery. Śmiechu było co niemiara. Oczywiście podejrzewali go, ale nie mogli udowodnić. Że jedzeniem rzuca, że nie szanuje. No i co. Dobry pocisk wart rzutu i efektu. Smutno było na półpiętrze. Banany też się przydały. Wyglądały na ścianach i korytarzu jakby ktoś porzygał dookoła. Myny tych od szczotek..., warto było. Posprzątał, bo było za dużo świadków, ale zapchanego skórkami kibla już mu nie udowodnili.

Słuchał kiedyś takiej pogadanki: złe łatwe, dobre trudne. Nie był przekonany, czy to prawda. Przecież niewiele go kosztuje, by dać psu jeść, a to chyba czynność ta z tych dobrych. Jeden z pierwszaków chciał wejść na parapet to mu pomógł i co? Znowu kazanie, bo mały mógł spaść i zrobić sobie krzywdę, a on jest na tyle starszy, że powinien wiedzieć o konsekwencjach. Wiedział, ale mały chciał i nawet kopnął go, gdy ten nie chciał, co było robić?

Bigos super. Zjadłby więcej, ale potem śnił mu się koszmary. Lubił w nim grzebać. Wkurzało to tego od kasy, ale on w ten sposób delektował się daniem. Każdy kawałek mięsa żuł długo i dokładnie, by został smak w ustach, a kiszona kapusta jeszcze zwiększała jego apetyt, gdy babcia dołożyła jak do pieca pomidorowego sosu. Mógł to nawet jeszcze polać keczupem. Ten czerwony kolor to sytość i błogość.

Siostra znowu wygrała jakiś konkurs. Jak ona to robi? Chce jej się? Co prawda stoczyła wojnę z „zarabiającym pieniądze” o prawo do komputera, bo warunkiem uczestnictwa była prezentacja na jakiś tam

temat, a ten jak na złość przez tydzień wpieprzał zupę chmielową i wydawało mu się, że komputer to też jego zasługa. Siora się popłakała, ale w końcu pierwszy raz od wieku mama stanęła po jej stronie. Przewalczyły, za to w nocy kuchnia znów była pełna kałuż.

Siora miała nawet chłopaka. Sama nie była śliczna, ale jej duże czarne okrągłe oczy z szerokim daszkiem rzęs spodobały się Maćkowi, klasowemu kujonowi. Rok młodszy, ale bardzo ambitny. Odprowadzał ją do domu, a potem to nawet kiedyś widział, jak trzymali się za ręce. Nie zaprosiła go do domu, nigdy nie wpuściła za próg. Dlaczego? Jego koledzy wchodzili i dziwili się, że na takiej powierzchni można mieszkać. A co.

Ale Maciek inny był. Kiedyś do domu przyszedł i przyniósł siostrze bukiet stokrotek. Nie mogła się tym nacieszyć. Babcia go zaprosiła do stołu. Pogawędziła z inteligentem o czasach drugiej wojny światowej. Poopowiadała, jak to tylko 4 klasy podstawówki skończyła, a we wsi robiła za najmądrzejszą z tematu rabatek kwiatowych. Uwielbiała malwy i słoneczniki. Nieraz dostawał w skórę, kiedy to, pamiętając jej opowieści, nie pozwolił im dojrzeć tylko zerwał na bukiet i przyniósł babci. A ta w nagrodę ścierała przez głowę.

Teraz śmiał się z tego, ale chyba miał coś z babci. Jego rogata dusza była kolorowa. Nawet uczulenia na pszczoły nie miał. Siostra musiała dbać o to, by ją nie ugryzły, a jemu babcia nawet stawiała pszczoły tzn. łapała i specjalnie przystawiała w bolące miejsce. Ból przechodził. Potem pokazywał to kolegom. Nawet starsi byli bardzo zdziwieni, że to wytrzymuje i nic mu nie jest. A on opowiadał, że jak pszczoła ukłuje, to żądło wsysa się w skórę i zostawia dobroczynny jad, który niweluje uciążliwy ból. Potem odpada, choć czasami trzeba pomóc.

Był też świadkiem, jak babci stawiano pijawki. Siostra uciekła. On przyglądał się od początku do końca. Chude jak zapalki przystawiano do skóry, one chwytaly swoją „paszczą” i już nie puszczały. Po jakimś czasie robiły się grube i odpadały. Nawet nie trzeba im było pomagać. Zostawiały w ciele chorego człowieka substancję wzmacniającą. Pomogły babci? Może trochę. Na drugi dzień zrobiła placki ziemniaczane. Pycha! Najpierw pomógł jej uszkrobać kartofli, potem trzeć, a nawet ubabrany w tłuszczu pomagał piec. Potem ucza. Leje się tłuszcz po rękach, cukier chrzęści w zębach, chrupie skórka. Babcia wie, co dobre. Ona jedna umiała z nim rozmawiać. Choć czasami zastanawiał się, czy

go słyszy. Kiwała głową, że rozumie, ale nie komentowała. Nie opowiadał jej o kradzieżach i bójkach, ale o głupich nauczycielach, którzy mu nie wierzą i będąc na czarnej liście, łapie za to, co zrobił i za to, co zrobili inni, bo idzie na jego konto.

Siora umówiła się z Maćkiem i pojechali razem do kina. Popołudnie pachniało maciejką. Posadzona w ogródku dawała, że hej! Jakaś komedia romantyczna. A że miał dzień dobry dla zwierząt, grał z sierściuchem młodszym w piłkę na podwórku.

Wakacje miały być dłuższe. Za dużo jedynek, więc stwierdził, że pójdzie zarabiać kasę, bo jak tak dalej pójdzie to do poprawczaka go zamkną. Za dużo chowa pod bluzą, za często objaja tych, co to mu się stawiają. Ten, co zarabia pieniądze zniknął gdzieś na 3 dni. Przyszli dziwni faceci wypytwać o niego, ale mama nie wpuściła ich za próg domu. Pogrozili, że niech go tylko dorwą... o jakichś długach usłyszał. Potem wszystkie trzy – najstarsze kobiety z domu, najmłodsza najlepiej doila mleko, do gadki jej było jeszcze daleko, debatowały, o co kaman. Oczywiście wiedział. Ojczym brał wódę na kredyt na CPN-ie, a na dodatek ktoś pokazał mu łatwy pieniądz z kart.

Praca przy budowie nie była łatwa, ale majster, ich sąsiad z naprzeciwka, zatrudnił go do rozrabiania cementu, przesypywania piachu, bądź palenia pod kotłem ze smołą. Znał go od małego i wiedział, że jak chce to potrafi. Młodego co prawda kusił zgromadzony złom, ale jak tylko oczy mu się zaświeciły na widok kupy żelastwa, majster wziął go za bety:

– Młody, nawet nie próbuj. Mam na ciebie oko. Oby twoje nie stało się wkleśnięte.

Wiedział, jak smakuje jego pięść. Jak jeszcze w pampersie latał – taka metafora wieku przedszkolnego – to z kumplami mu psa kamieniami obrzucał. Nie miał litości, jak ich upolował, a po przekazaniu na łono rodziny iskry sypały się z oczu mamy i zdefiniował pierwszy raz kabel od żelazka. Była ona nadzwyczaj wyczerpująca. Ta definicja. I kolory też wtedy poznawał, rodzaj dotyku się utrwalił. Same plusy.

Przychodził wcześniej rano, jak jeszcze było chłodno, bo czerwiec dawał słońcem i zaczynał od porozkładania narzędzi. Remontowali starą salę OSP. Towarzyszył im zapach benzyny, oleju i brudnych szmat. Dodatkowo pogorzeliśka. Nikt do tej pory nie dowiedział się,

kto skutecznił największy fojer we wsi. Czuł się odpowiedzialny. On i Damian. Dlatego stwierdzili, że muszą pomóc.

Wtedy, w czwartek, nie poszli do szkoły, bo matka była, a facet czepiał się graniastosłupów. Stwierdzili, że niech sam na nie wchodzi i poszli po cygarety. To był maj, równie gorący. Za nim była noc w azylu, bo w domu nie można było zmrużyć oka. Zmęczony, z jedną kromką chleba zawinął się do szkoły. Czuł wewnętrzny niepokój, wszystko go drażniło, o mało nie dał kopa łebkowi z trzeciej klasy, bo ten coś wrzeszczał o jego mamie. Ale Damian popędzał go, by jak najprędzej zejść z granicy wzroku belfrów.

Papierosy smakowały jak nigdy. Zwinęli jakieś droższe to i smaczek był. W głowie zapanował chaos, przez chwilę odpłynął w błogość, bo głodny i niewyspany. Poklachali głupoty o dziewczynach i właściwie nie wie, co się stało. Ktoś go złapał za pasek i targał w stronę bocznego wyjścia. Nic nie było widać.

Obudził się nad rzeką, z dala od dymiącej rzeczywistości, ale syreny już słyszał. Dobrze, że było ciepło. Wykąpał się w rzece i wrócił do domu. Siora z przejściem opowiadała, jak to się budynek stary palił, a on tylko zakręcał na palec lok, spływający mu na czoło i patrzył w ścianę. Nikt nie zauważył jego przytępienia. Zawsze taki był, wrócił o przyzwoitej porze, ciekawe, jak to się stało. Babcia tylko dziwnie na niego spojrzała.

– Nic nie wiesz? Przecież to twój rewir, wiecznie cię goni te samochody oglądać – nie dowierzała, że to nie jego brocha.

Dlatego że ona też te kolory w sobie ma. To tak jak z bratnimi duszami. Niby masz na kogoś focha, niby nic cię nie obchodzi, co ten ktoś myśli, a tu nagle słyszysz swoje wnętrze i twój żółty pasuje do jego żółtego, a blu jest bardzo podobne w odcieniu. I stajesz, i wiesz – on, ona mnie rozumie, skąd? Nie wiem, ale kuma czaczę. Z babcią było tak samo. Bigos bigosem, ale odnajdywała jego sekrety i nie miała pojęcia jak to robiła.

Opowiadała kiedyś o bauerze z Niemiec, jak to sobie teorię utkał na temat kłamców. Że w lewo patrz, albo w niebo oczy wywracają i on zawsze wie, kiedy cyganią. Babcia spryściuła z Kongresówki zawsze prosto w oczy patrzyła spod płowej grzywki i on nigdy jej o kłamstwo nie posądził. Harda, uparta, dumna, ale pracowita, rzetelna i silna jak koń – nie chciał się pozbyć takiej pary rąk. Nawet kiedyś dziadkowi

dupę uratowała. Głodni jak psy wzięli z wędzarni jeden boczek i na dwudziestu podzielili do samogonu po robocie. Jak na byka kartofel to było, ale sztuki brakowało. Wszystkich, co w wędzarni pracowali pod ścianę wziął i spowiadać się kazała, wyrzuceniem z roboty każąc. A gdzie tu potem grosz dla rodziny zdobyć. A że babcia spostrzegawcza była to wykombinowała, że syn bauera, który zajmował się psami, w tym dniu pijany jak bela chodził i psy samopas puścił w nocy. Więc się odezwiała w obronie pracujących, że widziała, jak się psy o kawałek mięsa w nocy pożarły. Żaden kawałek słoniny. O kość się chamrały, bo wiecznie głodne chodziły, ale że widać było na nich ślady krwi – gospodarz uwierzył. Jednak z uwagą na babcię spojrzął i jej grzywkę ręką z czoła odgarnął. Długo patrzyli sobie prosto w oczy. Jakby czas stanął w miejscu. Co zyskała uparta Polka? Jej rodak utrzymał stały zarobek dla matki i pięciorga rodzeństwa, ona zyskała jego wdzięczność i miłość dozgonną, pełną paletę barw różnorodnych uczących współodczuwania, nienawiści, podległości, bezradności, rozpacz, przywiązania, przyzwyczajenia... wreszcie ulgi. Po jego śmierci.

On – gospodarz, poczuł, że ma przed sobą bojowniczkę o „wolność i demokrację” w miejscu, gdzie to w ogóle nie wchodziło w krajobraz wojennych zamieszek. Szwarcbaba – tak o niej mówił i tak zostało do końca.

Babcia miała czuja, tak mówiła mama, która nigdy nie mogła babci skłamać. Zawsze dostawała w skórę, gdy zaczynała kręcić. Tak jakby na czole pojawiał się napis: „Łże jak pies”.

Tak samo było z nim. Przyjmowała wszystko ze stoickim spokojem, ale nie dawała sobie wmówić dziecka w brzuch. Gdy ich wzrok się napotkał, to mimo jej choroby, chłostała nim niemiłosiernie. Cieszył się, że słabo chodzi, siły nie ma, bo pamięta, jak mama o swoich karach opowiadała. Kabel od żelazka, gruba podeszwa kozaka, liść... co było pod ręką. Teraz mama krzyczy tylko, jest większy od niej, nie podnosi na niego ręki, choć z liścia parę razy o mało by nie oberwał. Uchylił się, a co. Spryciarz.

OSP w remoncie. Chłopaki jak te mróweczki zaangażowane na maksa. Majster zadowolony, jeszcze nic nie zginęło, chłopaki zadowolone, resztki piwa z butelek starszych sączą i wsjo gra. Fajnie byłoby, ale koniec roku bliski i przerąbane. Kolejna repeta. Do ośrodka chcą go wysłać. Nawtykał nauczycielowi, bo się czepiał, i wielkie mi mecyje.

Naubliżał mu, to nie pozwolił sobie. Uczeń ma obowiązki, ale i prawa, tak samo nauczyciel. Statutu nie umie czytać? Niech sobie konstytucję poczyta. „Ty kretynie” nikt do niego nie będzie mówił. Nie chce się uczyć to jego sprawa, ale won mi od mojego debilizmu. Nikt tak do niego nie mówił i nie powie więcej. „Pojebany typ” – usłyszał nauczyciel w odpowiedzi i tyle go zobaczył. Po drodze zwinął kosz z piętra, przyda się sierściuchowi na zabawki, nowy był, a potem petardę z nienawiści do belfrów i gówniarzy, którzy na niego kablują, odpalił.

Policja. Fajne babeczki. Młode. Stanowcze. Sympatyczne. Pokiwał głową, że rozumie, przecież dyskutować z nimi sensu nie ma. Postraszyły Psycholem. Już tam był. Dali leki, nawet mili byli, ale co z tego. Ostatnio wyrzucili go, bo się pobił z kolegą, a oni bandziorów trzymać nie będą. I oki. Jemu to nawet na rękę było. Aura tam taka ponura, gęsta, granatowa. Każdy ze swoim bagażem, każdy ze swoim światem. Wszystko w powietrzu na nitkach. I zdawałoby się, że kolorowo powinno być, ale tam to stał dominowała, zimna, ostra, świszcząca... przecinała myśli, uczucia, dzień, zabieg, rozmowę. Komfort był tylko w kiblu, a i to tylko w nocy.

W azylu cichutko, ale znać czyjeś ślady, pety, kapsle, butelek brak, deficytowy towar, każdy dba o swoje. Zawsze to parę groszy. Teraz każdy chytry. Nie może nadziwić się mamie, że trzyma tego, co to niby kasę robi, a przecież nie robi. Więc darmożjad. On też, kurde, darmożjad, nie zdaje z klasy do klasy, problemów całe wiadro, ale on to syn, a tamten to jakiś przymulas. Co z tego, że dziecko mama z nim ma. Tylko je zrobił. Ile czasu mu poświęca? Nic. Bo jak nie zmęczony to napity, jak trzeźwy to wkurwiony, jak spokojny to tumiwisizm. I tak nie ma czasu, i tak. Jak się nie obrócisz – dupa z tyłu. Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Gdy się obudził zobaczył nad sobą głębę jakiegoś typu, cuchnęło mu z gęby, czosnkiem i cebulą.

Chciał się ruszyć, ale nie mógł. Za ręce trzymało go dwóch kolejnych. Tułów gęby pochylającej się nad nim stał na jego nogach. Zaczął się wyrwać, ale nic mu to nie dało. Poczul tępy ból w boku. Liniowy go kopnął, oddać się nie dało. Przeszperali mu kieszenie, zabrali faje i kopnęli parę razy w brzuch, dostał też piąchą w nos, aby za szybko się nie ruszył.

Mama już spała. Nie wszczyniała alarmu, że go nie ma. Często znikał na noc, ale zawsze wracał. Nie zdarzyło się, żeby na drugi dzień go

nie było. Wszedł do łazienki i popatrzył na siebie. Rozcięta wargą i łuk brwiowy, spuchnięty policzek, zakrwawione włosy. Podniósł koszulę, a tam nie dość, że siniak to ból nie do wytrzymania. Żebra pękły, czy co? Po cichutku chciał wyjść, ale kopnął wiadro. Do łazienki zajrzała siostra. Pokiwała głową, już nieraz była świadkiem takiego widoku. Różne odcienie czerwieni i postępujących siniaków przerabiali od małego. Oboje wyczekiwali w szopie, jak ojciec wracał z pracy.

Siostra któregoś dnia przybiegła bardzo zdenerwowana. Wskoczyła do łazienki i długo leciała woda. Nie chciała rozmawiać z zaniepokojoną mamą. Potem nie widział Maćka, ale kręcili się jacyś namolni faceci i pokazywali ją palcem. Nie patrzyła na nich, ale kiedy pojawiali się w zasięgu jej wzroku, odwracała się i przyspieszała. Coś było nie tak. Granatowa chmura, która zwisała nad siostrą wcale mu się nie podobala.

– Daj jej spokój! – krzyknęła na gościa zarabiającego pieniądze matka. – Czego jej dokuczasz? Nie widzisz, że się uczy i stara się skupić? Uparte bydlę... – szepnęła pod nosem, ale ten usłyszał. Porzucił w stronę mamy, czym się dało i trzasnąwszy drzwiami wyszedł, że niby w tym bajzlu nie ma co robić.

Poszedł za nim. Dobrze, że było ciemno. W powietrzu unosił się zapach palonych pęcin ziemniaczanych. Lubił to. Znak, że jesień pełną gębą. Pełną miał też ojczym, który dopadł się do siusiek zwanych piwem i wytrząsał na swoją rodzinę, która nie daje mu żyć w trzy pary uszu moczymordów podobnych do niego.

– Ale pasierbicę to masz całkiem niezłą – odezwał się jeden z ospą na twarzy. – Mój chłopak opowiadał, że świetnie całuje, z języczkiem.

Staremu zawrzało pod czachą. Porwał się z krzesła i pędem pobiegł do domu. Nie wchodził. Słyszał tylko wrzaski:

- Ty mała kurwo! Z kim się obściskujesz?!
- Czego od niej chcesz? O co chodzi?!
- Niech ci sama powie, co o niej mówią?
- Kto mówi? Przecież dziewczyna dobrze się uczy...
- Dobrze się nauczyła! Dupy dawać!
- Co ty pierdolisz? Jakiej dupy? Kto ci bzdur naopowiadał?!
- Niech ci sama powie!

Ale nie powiedziała. Chlipała w kącie i tak się zaparła, że żadne klaskanie po twarzy jej nie zmusiło do przemówienia.

Wrócił bardzo późno. Zastanawiał się, czy nie iść do Maćka zapytać, co się stało, ale jego od paru dni nie było w szkole. W końcu zdecydował się na azyl. W szopie miał starą watówkę, wziął więc ją pod pachę i pomaszerował.

Cisza jak zawsze. Dymy z ognisk przygasały, miał w ustach smak pieczonego kartofla. Ojciec zawsze piekł z nim, gdy obrabiali pole na kartoflisku. Gówniarz był z niego, ale pamięta. Rękami znosił to, co pozostało po wykopkach, chętnie rozpląszczał pozostałe stonki i miał nieziemską radochę, gdy skwierczały w ogniu. Nigdy nie chciał wracać do domu, ale wtedy brał go pod pachę i nim doszli zasypiał pod upoconym ramieniem. Brunatna ziemia jest przyjacielem wszystkich. Daje schronienie kretom, dżdżownicom, robaczkom wszelakim, nawet takim jak on sam. Paluchem robił dziurę w ziemi. Twarda i zbita. Twarda jak tyłek, w którego wiecznie się dostaje za winy rodziców i zbita, bo spięta na samą myśl o tych pieściznach. Ale pachnie życiem, nawet takim życiem... smutnym.

Dlaczego babcia jeszcze nie umarła? Męczy się okrutnie, cierpi strasznie, ale żyje... opowiadała kiedyś, jak jako nastolatka schroniła się w kopcu na kartofle, bo szli bolszewicy. Mama ją tam wsadziła i przykryła ziemią. Robaki chodziły jej po całym ciele, gnijące ziemniaki poprzyklepiały się do rąk i do twarzy, ale pies nie wyczuł zapachu człowieka. Uratowała się. Do tej pory pamięta ten zapach, gdy struże kartofle. Pamięta zapach nowego życia, mimo że gnijące – do tej pory wspomina prababkę i płacze.

Pociągnął mocniej nosem przyklepionym do ziemi, gdy nagle poczuł na plecach ciężki buciór, który nie pozwolił mu się ruszyć.

– Idiota, zagląda do dziury w ziemi.

– Mówiłem ci, że jest porąbany. Wszyscy mówią, że ma nierówno pod sufitem. Nada się?

– No nie wiem, gówniarz, może stchórzyć.

– E tam, niejedno już skubnął. Stary doi rodzinę, nie mają kasy, na pewno będzie chciał zarobić.

– Gówniarz. Potrzebujemy jednego na czaty.

Bucior ustąpił i powoli odwróciwszy twarz zobaczył tego, który puszczał w stronę jego siostry niewybredne żarty. Łysy i chudy śmierdział zapchlona knajpą, z gęby mu cuchnęło. Nie żeby on sam był

czyścioszkiem. Nieraz zasnął w azylu i sam woniał, ale zaraz potem jajka mył. Ten na pewno miał mendi.

– Jutro mamy robotę. Chcesz zarobić? Kumpłowi psy najechali na ogon i posiedzi parę miesięcy.

Jak się nie zgodzi obiją go, jak się zgodzi, znów będzie jatką w domu, bo prędzej, czy później wyjdzie to na jaw. Zgodził się.

– Szczegóły jutro o 22. Tu. Ale wiesz?

Wiedział. Pary z gęby. O to nie było trudno.

Siora leżała w łóżku. Miała gorączkę. Obita twarz miała kolor dojrzalej śliwki. Powietrze w domu miało gęstość oleju bez tłoczenia. Ten od zarabiania kasy wiecznie do niej rzucał „dziwka” i pluł na podłogę. Się święty Franciszek znalazł. Dlaczego Franciszek? Na polskim jakieś „Kwiatki” jego autorstwa omawiali. Banię dostał, bo zaczął o bratkach i stokrotkach opowiadać, gdy babka od polskiego zapytała go, o jakie kwiatki chodzi. W sumie to nie miała racji. Gdyby się temu przyjrzeć, to stokrotki są zajebiaszcze i święty taki był, bratki zaś wskazują na to, iż jak kumpel dzieli się piwem to odmawiać nie można, a przecież się nie odmawiał kontaktów z innymi, nawet wilka przekabacił. Ale nie bardzo jej to do gustu przemówiło.

Po kantorze dostał dwie stówki. Oki, całkiem, całkiem, jak na czaty. Poklepali go po plecach i klapsnęli w gębę. To mi wyróżnienie.

Babcia trafiła do szpitala. Nie było pieniędzy na leki. Mama z opieki dostawała niewiele, gąb do wyżywienia siedem. Dobrze, że siostra dostała stypendium naukowe, to chociaż ona sobie swoimi gospodarzyła. Ale stary ją któregoś dnia okradł. Gdy mu wyrzygała w twarz, że jest skurwysynem i złodziejem, to tak ją walnął, że straciła przytomność. Matka ocuciła ją, ale awantura trwała. Późno w nocy dopiero się uspokoiło.

Siora nie opowiadała nikomu, dlaczego nad jej głową rozpostarła się granatowa chmura. Przez przypadek dorwał jej pamiętnik. „Maciek chciał mnie bronić, ale skopali go bardzo. Zaciągnęli mnie pod wiadukt. Tam rzucili na kupę śmierdzących szmat i... pamiętam tylko, że zabolalo. Obudziłam się w nocy i nie mogłam się ruszyć. Było mi potwornie zimno i bolał mnie każdy kawałek ciała”.

Już wiedział.

Szedł w stronę azylu jak koń, nie patrząc na ścieżkę, na pamięć, ciągle mając szeroko otwarte oczy. Był jak we mgle. Odgłosy rzeczy-

wistości docierały do niego w zwolnionym tempie i przygłuszone, jakby przez chustkę zarzuconą na usta. Dopiero cichy krzyk go otrzeźwił. W azylu siedział dziewczyna, którą ostatnio widział na CPN-ie. Obmywała się jakąś szmatą. Ciało miał posiniaczone i zakrwawione, usta spuchnięte, włosy potargane. Patrzyła na niego wystraszonymi oczyma i próbowała się wycofać w wyższe trawy.

Usiadł bez słowa. Przez chwilę patrzyli na siebie. Ona drżąc, on z uwagą. Nie wiedział, jak zachować się w takiej sytuacji. Przed chwilą od niej uciekł. Nie wiedział, co powiedzieć. Z siostrą mało rozmawiał. Raczej się kłócił. Nić porozumienia zawiązywała się tylko podczas batalii z moczymordą zarabiającym na pieniądze? Ale raczej porozumiewali się bez słów.

Położył się. Niebo przecinały jasne punkciki niczym spadające gwiazdy. Najpierw dwa. Minęły się, potem patrzył, pod jakim kątem fruną kolejne i czekał na ten moment, kiedy się zetkną i niebo zabłyśnie feerią jarzących się kropeczek. Ale rozczarował się. Światelka miały się zawsze perfekcyjnie poruszając się po swoim torze.

Już wiedział. Rozumiał już te sygnały. Nie puszyste ogony wypisywały sentencję. One mu pokazywały teraz, w ciemności, że każdy jest sam. Jego, jak mówili, debilny mózg, kretyńskie rozumowanie piętnastolatka, który jest opóźniony w rozwoju, bo repetował już dwa razy i nie rozumiał, że bez pracy nie ma żarcia, zrozumiał. Żyjemy obok siebie. Każdy jest takim światelkiem, które podąża naprzód po swoim torze. Jeden podąża szybciej, drugi wolniej. A jak się spotkają – jest – katastrofa. Ale przecież ktoś czuwa nad tym, by tak się nie stało.

Wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. Ta skuliła się w sobie. Chciał jej tylko dotknąć. Nie spróbował po raz drugi. Uciekł.

Uciekał często. Przerażały go ciemne kolory. Czerń, granat, fiolet kojarzyły mu się z ciężką atmosferą domu. Krzykami, plaśnięciami i tym, co po nich przez długie dni zdobiło twarz mamy bądź siostry. Jego myśli wracały do brzoskwini. Kiedyś, gdy urwał ją z drzewa, przytulił do twarzy. Skórka na początku trochę cierpka, szybko przylgnęła do jego włosków na twarzy. Dotyk przypomniawszy mu pocałunki mamy, rękę troskliwej siostry, która uczyła się chodzić razem z nim, czy babcię poklepywanie po policzku, gdy zjadł obiad. Tak było. Było.

Kręcił się wokół domu. Było już dosyć późno. Robiło się chłodno i skoro nie mógł być w swoim azylu, wołał przycupnąć w jakimś

ochraniającym go od wiatru i deszczu pomieszczeniu. Wszedł do domu z pomysłem pójścia do piwnicy. Ale dosłyszał kwilenie maleństwa. Z kuchni dobiegały kłaśnięcia i jęki. Zajrzał przez szpary w drzwiach. Matka leżała na stole, a skurwysyn ją okładał. Maleństwo leżało w wózku i płakało.

Wszedł do kuchni i wdepnął w coś mokrego. Poczuł się, jak w środku fabuły jakiegoś filmu. Potem przypominał sobie godzinami coś, co stało się w ciągu kilku sekund. Nie wiedział, skąd miał tyle siły. A może skurwiel już był zmęczony boksowaniem mamy? A może był zaskoczony, że ktoś odważył się przeszkodzić?

Odepchnął go pod ścianę. Chwycił taboret i rzucił nim w stronę śliniącego się skurwysyna. Uchylił się. Ale młody nie przymierzał się, nie wyczekiwał. Ręce same mu poleciały. One nie zawsze były mu posłuszne. Chwycił go za bety i popchnął z całej siły w stronę okna. Okno, otworzone gwałtownie ciałem rzuconego mężczyzny wpuściło chłód jesiennej nocy i powitało ją setkami swych odłamków. Wiele z nich utkwilo w ciebie tego, który zawisł na parapecie.

Wiedział, że aby cokolwiek zrobić, musi użyć wszystkich swoich sił. A nie było to łatwe. Trudno mu się było utrzymać na nogach, a ręce miał jak z ołowiu, chwytając ojczyma za bety czuł, jakby dźwigał tony węgla, jak dźwig. Nienaturalny ciężar złych uczuć i krzywdy, z którą musiał sobie poradzić.

Trudno mu było o tym opowiedzieć. Nie pamiętał szczegółów. Powtarzał już tyle razy, że nie mógł poradzić sobie z rękami i gęste powietrze mu przeszkadzało..., czego od niego chcą?

Teraz jest spokój. Mama tuli do siebie maleństwo. Już nie będzie koloru fioletowego na jej twarzy. To nie jest kolor życia. Kolorem życia jest zieleń, czerwień, żółć, błękit oraz smak i zapach brzoskwini i ziemi. Niech przytuli, ogarnie, dotknie twarzy skibą świeżo zradloną.

Jego wielki fiołkowe oczy wpatrywały się w sufit. Niewiele słyszał z tego, co mówili. Stał spokojnie podczas aresztowania, był spokojny podczas rozprawy, spokój nie opuszczał go przy wyroku. Wiedział już, dlaczego tak latały mu ręce. Przypomniawszy sobie. To od momentu, od kiedy ojciec robił go mężczyzną. Przypalał go papierosami, gdzie się dało. A on się bronił. Nawet bił. Chciał bić, by się obronić.

Przypomniawszy sobie dwa krety, które czyniły walkę o swoje terytorium. A może to nie była walka tylko gesty utraconej miłości? Otaczał

go granat, czasami dominowała purpura. Gdy dowiedział się, że siora popełniła samobójstwo, świat stracił kolory. Czarno-biały, niemy film. Do tej pory myślał, że to taka maniera jest. Ale nie. To wewnętrzny wyraz patrzącego. Żadna maniera. Patrzy, ale nie widzi. Pusto. Zniknęły kolory, zniknęły doznania. Ale ręce też już nie latają. Uff.

MAREK CHORABIK
godło: „Szorstki”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



MAREK CHORABIK – urodził się w Krakowie, mieszka w Gdyni. Wydał tomiki „Blisko prawdy”, „A jeśli wiemy?”. Jego wiersze ukazały się także w antologiach. Jest laureatem konkursów literackich, w tym Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Dać świadectwo” (Kraków 1995 i 2009), Konkursu Poetyckiego im. Baczyńskiego (Łódź 1997), Złotego Pióra (Sopot 2006) i innych.

DEFRAGMENTACJA

1.

Córka wyjechała do Paryża. Albo tylko mówiła, że tam wyjeżdża. Nie miało to zresztą znaczenia gdzie jest. I tak dzwoniła tylko wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy. Uczciwie trzeba przyznać, że dobrze nimi gospodarowała. Cała rodzina dziwiła się, za co ona żyje. A jednak dawała sobie radę.

2.

Paryż. Porywisty październikowy wiatr nad Sekwaną unosi tuman kurzu. Dwie japońskie turystki fotografują się w niewielkim parku na tyłach katedry Notre-Dame. Uśmiechając się przymilnie dygnęły w jego kierunku wyciągając ręce z aparatem. Zatrzymał się bez słowa. Pstryk – pstryk – pstryk. Dla pewności trzy razy nacisnął migawkę. Oddając aparat spróbował naśladować mimikę Japonek, uśmiechnął się i zmrużył oczy w wąskie szparki. Obie jednocześnie parsknęły śmiechem. Skinęły głowami w podzięcie i pobiegly za swoją wycieczką.

3.

Tego dnia, gdy sądził, że córka pojechała do Paryża, porządkował dokumenty w pracy. Było późne popołudnie i wszyscy już dawno wyszli z biura. Gdy zapchała się niszczarka, odłączył ją od prądu. Wymieniając worek ze ścinkami, zauważył pod kaloryferem jakiś drobny, błyszczący przedmiot. Schylił się i wyciągnął.

Była to niewielka damska obrączka. Na jej gładkiej, jasnej powierzchni dostrzegł sześć subtelnych charakterystycznych potrójnych ukośnych żłobień. Nie przypominał sobie, żeby widział ją na palcu którejś z koleżanek. Zastanawiał się, czy możliwe jest, by zgubiła ją jakaś kobieta odwiedzająca biuro. A jeśli tak, to dlaczego nie zauważyła straty.

4.

Jubiler wziął do ręki obrączkę. Co za maleństwo, aż niemal gwizdnął. Otworzył małą, podłużną elektroniczną wagę. Położył na niej złoty krążek. Krystaliczny wyświetlacz pokazał 2,65 g. Jubiler zmrużył oczy. Spojrzał przez lupę do wnętrza obrączki. Pomruczał coś pod nosem i powiedział – „czternastka”. Ale trzeba by kwasem przetrzeć, bo stemple znakowe zatarte.

– A jaki rozmiar? Zapytał już prawie wychodząc na zewnątrz. – „Ósemka, choć gdzie tam...”. Jubiler nasunął obrączkę na metalowy miernik i powiedział, że to rzadka „piąteczka”. „Któż to ma takie paluszki?” – Sam chciałbym wiedzieć – odpowiedział wychodząc na ulicę. Cofnął się jeszcze i zapisał Jubilerowi na gazecie leżącej na ladzie swój numer telefonu. Bez większej nadziei, ot tak, na wszelki wypadek. Na zewnątrz wiatr kurzył piaskiem jaki pozostał na chodnikach po zimie. Postawił kolnierz i ruszył w stronę morza.

5.

Nie wyjechała do Paryża. Tak tylko mówiła, żeby w końcu dali jej spokój. Mona Lisa poczeka. Pomyślała, że gdyby jak Gioconda miała ponad pięćset lat, z pewnością nauczyłoby ją to cierpliwości. I wytrwałości w tych wszystkich tułaczkach i podróżach. W towarzystwie swojemu stwórcy i mistrzowi. W ciągłych przeprowadzkach z miasta do miasta. W targaniu kufrów, przekładaniu rzeczy z szafy do szafy. W studiowaniu rozkładów jazdy i prognoz pogody.

Walnęła się na łóżko i po prostu gapiała w sufit. Cienie rzucane na biały prostokąt przez rozkołysane drzewa za oknem zdawały się tańczyć. Nieco niezdarnie, ale z dającym się zauważyć rytmem. Było w tym coś z magii. Cienie przybierały kształty i zmysłowość tancerek Degas. Przymknęła powieki. Nieubłagane wciągał ją w swoje ramiona sen. Sen, który później jawił się jako strzęp różnych zdarzeń. Przenikających się, nachodzących na siebie. W sposób nieregularny rozcapierzający się na wiele obrazów. Ich pojedyncze piksele. W swej strukturze sen bliski impresjonizmu.

6.

Japonki dogoniły wycieczkę. Grupa pomarszczonych staruszków karnie dreptała za przewodniczką wymachującą bambusową parasolką z zatkniętym na końcu białym prostokątem płótna. Pośrodku wyraźnie

odcinała się czerwona kolistą tarcza. Hi-no Maru. Skośnoocy w identycznych popielatych kurtkach trzymali się za ręce. Jak przedszkolaki na spacerze. Zadziwieni wszystkim co ich otaczało. Dziewczyny potulnie stanęły na końcu grupy i wspięły się na palce, by lepiej słyszeć przewodniczkę w lekkim, czerwonym płaszczyku. Jej drobne dłonie ścisnęły drzewce parasolki. A niebieskie oczy spoglądały w kierunku Sekwany.

7.

Stał na brzegu wzburzonego morza. Jego stalowy kres zlewał się w jedno z ciężkim granatowym niebem. Wiatr unosił drobiny wody i miotał nimi wzdłuż pustej plaży. Nieopodal, kilkanaście metrów na prawo zobaczył mężczyznę w przykłęku. Uważnie rozgarniał dłońmi piasek, tak jakby chciał przygotować fosę wokół niewidocznego jeszcze zamku. Ale jednak nie. Mężczyzna zaabsorbowany był przetrząsaniem krzemowej pryzmy. Był wyraźnie niezadowolony i jednocześnie skupiony.

Gdy podszedł bliżej zauważył, że obok klęczącego mężczyzny leży wykrywacz metalu. Poszukiwacz bardziej wyczuł, że nadchodzi, niż go zobaczył lub usłyszał. Odwrócił głowę. Twarz osmagana wiatrem z kilkudniowym zarostem wydała mu się znajoma. Zmrużył oczy i szukał w pamięci. Szukał okoliczności w jakich ujrzał ją pierwszy raz. Szorstka twarz jak z XV-wiecznej ryciny, którą widział niedawno w muzeum. Szkic przedstawiał żeglarza z karaweli „Peter von Danzig”.

8.

Pękaty, jakby był nadmuchany, piętrowy autobus zatrzymał się tuż przed mostem na brukowanej uliczce. Majestatycznie, z przeciągłym sykiem odsunęły się przednie drzwi. Wysypali się z nich Japończycy obwieszeni aparatami i kamerami. Nieco onieśmieleni rozglądając się na boki, karnie stanęli na mocno nasłonecznionym chodniku. Tę południową sielskość zakłócił niewielki, łaciaty kundelek. Podbiegł do grupy skośnookich i podskakując wokół obszczał ich jazgotliwie.

Szczekanie wdarło się w słoneczną senność sierpniowej Pragi. I odbijając się od kamieniczek rozproszyło w dole, nad samą Wełtawą. Rzeka miała siwy kolor z pomarańczowymi refleksami między białymi grzywami fal. W dali, na moście Karola pod figurą św. Nepomucena przystanął szpakowaty mężczyzna w jasnej kurtce, z przewieszonym

przez lewe ramię plecakiem. Stał i patrząc na figurę świętego marszczył brwi, wyraźnie coś rozpamiętując.

9.

Sen, który szczelnie otulił córkę nie był jakoś specjalnie długi. Spała może godzinę, najwyżej dwie. Śniła łagodnie, głęboko oddychając. Ilekroć powracała do tego snu, zawsze odnajdywała jakieś nowe jego szczegóły.

Młoda dziewczyna o płowych rozwianych włosach, w luźnej płóciennej sukience kręciła się wkoło własnej osi. Co chwilę podskakując i przykucając. Jakby bawiła się z kimś niewidzialnym w berka. Po kilku podskokach przystawała i chwytając końcówki włosów unosiła je w górę, tworząc wokół głowy swoistą aureolę. Wyraźnie rozbawiona wybuchała radosnym śmiechem, klaskała w dłonie i biegła dalej. Po chwili przykucała i po krótkim odpoczynku znowu podskakiwała to na jednej, to na drugiej nodze.

Ruchy dziewczyny były powtarzalne i właściwie każdy ich cykl był odwzorowaniem poprzedniego. Niekiedy jednak, gdy unosiła w górę włosy, nuciła jakąś melancholijną melodię.

Otworzyła oczy. Na suficie tańczyły cienie rozkołysanej firanki i konarów drzew. Przeniosła wzrok na błękitną ścianę. Na jej środku w złocistej ramce wisiało czarno-białe zdjęcie, zrobione późnym popołudniem. W kontrze, pod zachodzące słońce widoczny był kamienny most z postaciami świętych. Trzydziestoma postaciami.

10.

Japończycy weszli do wnętrza wąskiej krakowskiej kamienicy. Wszystko było dla nich niezwykle. Pastelowy piaskowiec, jakiego nigdy nie widzieli w swoim kraju, był subtelnie rozjaśniony ciepłym światłem. Kawiarniane stoliki, zdawały się wirować w rytm wiedeńskich walców. Łagodny szmer rozmów toczonych na burgundowych aksamitnych sofach, przypominał szelest liści poruszanych popołudniowym wiatrem. Spośród stolików w niebo strzelał stalowy dźwigar w kształcie palmy, podtrzymujący szklany dach patio.

Kelnerka o źródłanych oczach zaprowadziła ich do stolika we wnęce po prawej stronie. Mogli stąd spokojnie obserwować innych gości. Patrzyli na roześmiane, bez troskie twarze, przytulających się zakochanych, na Hindusa w turbanie rozkładającego na stoliku jakieś doku-

menty. Sami byli obserwowani przez postacie ze starych fotografii wiszących na ścianach.

Z wewnętrznego tarasu na pierwszym piętrze patrzył na nich też mężczyzna o szorstkiej, surowej twarzy. Szorstki miał twarz pełną bruzd wyłobionych morską solą, niesioną gwałtownymi porywami wiatru. Gdyby byli w stanie spojrzeć w górę pod światło, dostrzegliby, że Szorstki wpatruje się w niewielkie, lekko sfatygowane zdjęcie. Z dołu było jednak ono niewidoczne. Tym bardziej nie mogli dostrzec postaci na zdjęciu. Szczupłej dziewczyny w czerwonym płaszczyku o drobnych dłoniach.

11.

Nie ma jedenastego przykazania. Mojżesz przydzwigał z góry Synaj tylko dwie kamienne tablice. Choć za jedenaste może być uznane pierwsze z przykazań miłości. Ale nie. Te są odrębne, nowotestamentowe.

Córka wstała. Pozbierała swoje notatki i zgarnęła je do dużej brązowej torby. Pełno w niej było różnych przedmiotów, tylko jej wiadomego przeznaczenia. Założyła czerwony płaszcz i płaskie buty. W sam raz na bieganie po zatłoczonych ulicach. W sam raz na kilkukrotne przebieganie ulicami z miejsca w miejsce. Z wykładu na wykład. Z biblioteki do ksera i z powrotem.

Wybiegła z domu, mijając w bramie pochyloną starszą kobietą dzwigającą siatki. Wystawały z nich zielone pałki porów, długie chrupiące bagietki i piętrzące się wytłoczki z jajkami. Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie i przywołała windę.

12.

Świętego Nepomucena trzeba dotknąć. Właściwie nie jego, tylko płaskorzeźb u stóp posągu prezbitera. Dotykają więc. Jeden po drugim. Pergaminowymi dłońmi. Wszyscy. Cały pękaty autokar. Jeden, drugi, trzeci. Przyjeżdżają pociągami, przylatują samolotami, by dotknąć. Zjeżdżają się tu specjalnie z końca świata. Jan Nepomucen spowiadający królową Zofię i Nepomucen wrzucany do Wełtawy, aż się świecą od ciągłych głaskań. Przybysze dotykają Nepomucena, by być szczęśliwymi.

A szczęście zaczęło się 9 lipca 1357 roku. Słońce już było ponad praskimi wzgórzami, gdy punktualnie o 5:31 rozpoczęto budowę mo-

stu. Porę wybrali astrologowie. Tak im wyszło, że moc zaklęta właśnie w tych liczbach, przyniesie budowli szczęście i pozwoli przetrwać wieki. Ich suma – 41 – daje gwarancje uchronienia przed katastrofami budowlanymi.

Japończycy dotykają Nepomucena. A szpakowaty stoi nieopodal. Z plecaka wyjmuje zawiniątko. Ostrożnie je rozwija. Zawartość wkłada do ust i wolno przeżuwa.

13.

Tego fragmentu miało nie być. Nikt się specjalnie nie pchał, by w tym miejscu, pod tym numerem wystąpić. W końcu padło na Jubilera. Nie dawała mu spokoju ta obrączka – „piąteczka”. Poszperał w swoich zapiskach, w starych zamówieniach. I nic. Ale cały czas męczyła go pewność, że gdzieś już tę obrączkę widział, a co najmniej o niej czytał. Przeglądał katalogi targów i wystaw złotniczych. Szukał tych charakterystycznych ukośnych żłobień.

W końcu sięgnął po telefon i podzwonił po znajomych. Tych z Gdańska i z drugiego końca Polski. Jeden Taki, o którym myślał, że już dawno nie żyje, jednak odebrał telefon. I to właśnie Jeden Taki naprowadził go na trop. Nie tak od razu do celu, ale jednak na trop. Ślad mogący prowadzić do rozwiązania zagadki.

– „Acha”, pokiwał głową. Niczego nie musiał zapisywać. Odłożył słuchawkę i od razu założył buty, zdjął z wieszaka parasol i lekką kurtkę. Wyszedł wprost na rozświetloną wieczorną ulicę. Pobiegł nią w dół.

14.

Marzyła jednak o Paryżu. Była pewna, że kiedyś do niego pojedzie. Kiedyś stanie na wprost Tajemniczego Uśmiechu. Spróbuje go naśladować. Może nawet dla hecy, wystawi język, żeby tylko sprawdzić, czy Giocondzie drgnie powieka. Czy pomimo jej wygłupów wytrwa w swojej zdystansowanej pobłażliwej ironii wobec całego świata.

Już tydzień nie dzwoniła do ojca. Pewnie znowu myślał o niej to samo. Dobrze znacie te teksty, że tylko wtedy, gdy brak kasy i tak dalej. Nie dzwoniła, choć rzeczywiście od kilku dni nie miała właściwie grosza. Nie dzwoniła jednak przez zabieganie, a nie z przekory. Choć taka drobna zawziętość, żeby pokazać swą twardą, nieulegającą prostym zachciankom duszę, tkwiła w niej mocno. Poniekąd traktowała to

jako swoisty mecz. Z sobą samą. A takie zmagania zawsze są najtrudniejsze. Ciało staje przeciwko duszy. Serce walczy z rozumem.

Lubiła swój czerwony płaszcz. Co prawda z jego powodu słyszała za sobą wołania „Czerwony Kapturek”, ale miała gdzieś to wszystko, co mówią przygodni ludzie. Wierzyła, że czerwień dodaje sił i energii. Bez względu na okoliczności i miejsce.

15.

Po powrocie znad morza do domu dokładnie wytrzeptał piasek z butów. Zrobił to z pedantyczną dokładnością. A i tak przemknęła mu myśl, że jego matka zrobiłaby to jeszcze skrupulatniej. Niby to prozaiczna czynność, a jednak po sposobie jej wykonania można poznać kto jest porządnikiem, a kto pełen nonszalancji.

Dopiero gdy uporał się z drobinkami kwarcu zaparzył herbatę. Zmarł na plaży i w zasadzie niczego o obrączce nie dowiedział się od mężczyzny z wykrywaczem metalu. Tyle tylko, że poza śmieciowym złomem znajduje głównie drobniaki, nawet z okresu międzywojennego. Biżuteria jest rzadkością. A jeśli już, to trafiają się pojedyncze kolczyki. Zagubione w euforii wakacyjnego plażowania. Raz, może dwa razy znalazł niemieckie odznaczenia wojskowe i kilka guzików od munduru.

16.

Jubiler kułł głowę w postawiony kołnierz kurtki. Deszcz coraz bardziej zaciął i parasol nie do końca chronił go przed uciążliwymi kroplami. Zatrzymał się przed kamienicą z numerem 15. Pchnął ciężką bramę. Ustąpiła z ponurym skrzypnięciem. Wspiął się po schodach na trzecie piętro. Na środkowych drzwiach zobaczył wizytówkę – Antonio Gherardini. Począł, aż wyrówna oddech i nacisnął dzwonek. Przez chwilę wydawało mu się, że po drugiej stronie drzwi panuje absolutna cisza. Już nawet wykonywał półobrót, żeby zejść na parter, ale jednak coś chrobotnęło w zamku. Przez wąską szparę w drzwiach zobaczył poświatę mdłego światła i jakąś wychudzoną sylwetkę.

– Czego?, zapytał zza drzwi mężczyzna. Czego?, a może było to rzucone od niechcenia – „prego”. Jubiler zawahał się na moment, ale lekko popychając drzwi wszedł do środka. Gospodarza już nie było w przedpokoju. Siedział w głębokim fotelu wciśniętym między całe mnóstwo mebli i przykurzonych bibelotów. Jakoś niemęsko to wy-

glądało. Na środku stołu stała półokrągła klatka z papugą. Wyblakły, a może posiwiały już ptak, nie wiadomo czemu wołał – „Leonardo! Leonardo!”.

17.

Para Japończyków była kompletnie nie japońska. On z ufarbowanymi włosami, w jasne pasemka. Ona w przekrzywionej błękitnej dżokejce. On pstry, w cętki, jakby się chciał ukryć między liśćmi drzew kołyszących się na wietrze w pełnym słońcu. Ona bez cienia pokory, spoglądała wkoło śmiało, a nawet wyzywająco. Wrażenie robiły na niej jedynie stare fotografie, wiszące na ścianach kawiarni. Brodaci mężczyźni w melonikach, zatopieni w sepii, z zegarkami na łańcuszkach, w kamizelkach i tużurkach.

Szorstki, nie przestając patrzeć na Japończyków z balkonu, schował zdjęcie dziewczyny w czerwonym płaszczyku do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dopił kawę. Starannie wybierał widelczykiem okruszki szarlotki z talerzyka i wytarł usta serwetką. Wstał i wolno zszedł po schodach. Stanął przy Japończykach i popatrzył na nich trochę z niedowierzaniem, trochę z dezaprobatą. W jednej chwili zamarł, nie bardzo wiedząc o co mu chodzi. W końcu bez słowa poszedł w kierunku wyjścia i starannie zamknął drzwi za sobą, ginąc w mroku ulicy.

Z głośników pod sufitem popłynęła „Habanera”.

18.

W martwej ciszy dopijał herbatę. Na stole leżała mini obrączka, która od kilku dni zaprzętała jego uwagę. Wpatrywał się w nią bez większej nadziei, że coś się z nią wyjaśni. Można nawet powiedzieć, że gapił się na nią bezmyślnie. Obracał ją w palcach, czując opuszkami drobne żłobienia.

Telefon milczał. Właściwie nie zależało mu by ktokolwiek dzwonił. Ale w duchu liczył, że zadzwoni córka z Paryża. Choćby tylko po to, by powiedzieć „żyję, nic mi nie jest”. A niech tam, niech zadzwoni i powie, że potrzebuje trochę kasy.

Szczerze mówiąc, to wątpił, że pojechała do Paryża. Gdyby tam była zapewne pochwaliliby się choć krótką wzmianką na „fejsie”. Ostatni wpis na jej profilu, to był właściwie podpis pod zdjęciem. Córka stała z grupką Japończyków. W ręku trzymała książkę. Powiększył zdjęcie

i chcąc odczytać tytuł przechylił głowę w bok. Na szaro-oliwkowej okładce dostrzegł wyraźnie tylko kilka liter – „da Vinci”.

19.

Szpakowaty mężczyzna opierał się o kamienną balustradę mostu. Wystawiał twarz do słońca. Ciepło rozchodziło się po całym ciele. W ustach czuł jeszcze smak ostatniej figi, którą jakiś kwadrans temu wyciągnął z cienkiej papierowej torebki. Przekładał język z lewa na prawo, uśmiechając się niemal niezauważalnie.

Przypominał sobie jak kilkanaście lat temu biegł tym mostem za Moną. To była tajemnicza i zarazem figlarna dziewczyna. Właściwie to miała na imię Eliza. Nikt nie potrafił jednak powiedzieć, kiedy zaczęto wołać za nią – Mona. Nie wiedział, czy sprawiło to pewne podobieństwo do Giocondy, czy może to, że jej ojciec miał na imię Leonard. Faktem jest, że gdy ją poznał to już była Moną.

To w tamten dzień widział ją po raz ostatni. Biegł za nią od Małostrąńskiego Rynku i właśnie na wysokości figury św. Nepomucena zniknęła mu na zawsze. Szukał jej potem wszędzie. Nawet przez kilka dni sprawdzał na posterunku milicji wodnej, czy nikogo w tym czasie nie wyłowiono z Weławy. „Nikogusieńko obywatelu” – splawił go w końcu gruby sierżant znacząco postukując pałką w blat laminowanego kontuaru na komisariacie. – „Nikogusieńko. Zrozumiano?”

20.

Papuga dalej wydzieraa się wniebogłosy. Jubiler stał w milczeniu, a Gherardini wtopiony w fotel zdawał się drzemać w bezruchu. Wątkę światła stojącej na stole lampy oświetlało właściwie tylko klatkę z papugą. Twarz Antonia pozostawała w cieniu. Jubiler nie widząc więc dobrze jego oczu, chrząknął delikatnie. Mężczyzna w fotelu nie zareagował. Jubiler przyjął to jako przyzwolenie i w kilku słowach wyjaśnił, że w sprawie mini obrączki poradził mu tu przyjść Jeden Taki.

Na dźwięk tego imienia Gherardini poprawił się w fotelu i przysunął bliżej klatki z papugą. Ta znowu wrzasnęła „Leonardo!”. Antonio pacnął łapką na muchy w klatkę. Papuga schowała głowę pod skrzydła i zamilkła. – „Jeden Taki, Jeden Taki” pogderał właściciel papugi. Wstał z fotela i jakby płynąc w powietrzu podszedł do szafy stojącej za fotelem. Otworzył ją jednym ruchem i z górnej półki wyciągnął plik pośliskłych gazet przewiązanych sznurkiem.

Odstawiwszy klatkę na bok, Gherardini położył gazety na stole. Rozsuplał sznurek kartkując kilka pierwszych egzemplarzy zatrzymał się w końcu w połowie strony. Podał gazetę Jubilerowi pokazując palcem niewielką notkę.

21.

Paryż, Paryż, Paryż. Teraz zrobiło się jej żal, że jednak tam nie pojechała. I wcale w tym żalu nie chodziło tylko o Giocondę. Tęskniła do pulsującej przestrzeni miejskiej. Do przestrzeni, w której bez przerwy coś się zmienia. To zatomizowane, pełne wrzawy otoczenie paradoksalnie dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Nie lubiła samotności i bezczynności. Ciągle musiała być w ruchu. Nosiło ją wszędzie, gdzie coś się działo. Zawsze musiała być jak to mawiali jej znajomi – na linii frontu.

Jednak od pewnego czasu dusiła się w K. Z czasem wszystko stało się tu przewidywalne. I jej początkowy zachwyt miastem przodków uleciał gdzieś bezpowrotnie. Tłumaczyła sobie to filozoficznie – taka jest kolej rzeczy. Ale czemu w takim razie nie wyjechała? Co ją tu zatrzymywało? Czyżby chciała się sprzeciwić nieuchronności przeznaczenia?

22.

Jasne niebo w jednej chwili zaciągnęło się na granatowo. Przechodnie na szerokim trakcie prowadzącym do centrum miasta gwałtownie przyspieszyli kroku. Zerkali z niepokojem w górę. Niektórzy nerwowo wyciągali już parasole, pomimo że na chodnik zaczęły spadać dopiero pierwsze krople. Fakt, że duże i ciężkie, ale jeszcze dość rzadkie.

W jednej chwili krople zamieniły się w mknące ku ziemi lodowe kule. Ludzie wkoło rozpięchli się po okolicznych bramach. Dzieci piszczwały, a kobiety biorąc w dłonie buty na obcasach, biegły na bosaka.

I on znalazł schronienie w bramie z napisem „Kebab”. Tuż za nim do bramy wpadły dwie Japonki. Bardziej rozbawione niż przerażone. Po odgarnięciu zmokłych włosów i wytarciu twarzy, wyraźnie podekscytowane zaczęły fotografować grad. Spadając z impetem na czarne granitowe podłoże, odbijał się jak piłeczki do ping ponga. Japonki brały lodowe kule w dłonie, przybliżały je do twarzy i naciskały migawki aparatów obróconych w swoją stronę.

Trwało to dosłownie kilka minut. Tak jak grad się nagle pojawił, tak też i nagle zniknął. Powoli ludzie zaczęli wychodzić na ulice. Japonki objęły się czule i zaczęły się namiętnie całować w usta, nie zważając na jego obecność. Przeszedł obok nich, bąknowiący coś pod nosem. Coś w stylu „sorry”. Wtedy się zastanowił, czy Córka ma faceta? I była to dość natarczywa myśl.

23.

Artykuł w poślóckiej rubryce kryminalnej, opatrzony nadtytułem – „z ostatniej chwili”, informował o wielkim sukcesie policji. Prawdę mówiąc sukcesie dość przypadkowym. Policjanci w czasie rutynowego patrolu znaleźli w parku porzuconą pękata reklamówkę. A w niej owinięte w szary pakowy papier prawie wszystkie precjoza z napadu w 1983 roku na kolekcjonera miniaturowej biżuterii. Prawie wszystkie, bo według tego co napisano w gazecie brakowało miniaturowej obrączki z charakterystycznymi ukośnymi żłobieniami.

Jubiler wyraźnie się rozpromienił. Prawie gwizdnął z radości. „Czyli jest Pan zadowolony”, bardziej stwierdził niż spytał Gherardini i momentalnie zapadł się letargicznie w głąb fotela. Nie dał Jubilerowi szans na jakąkolwiek odpowiedź. Nawet papuga uszanowała ponowną drzemkę swego właściciela i milczała. Obróciła się tyłem do Jubilera i wsunęła głowę pod prawe skrzydło. Jakby dając znak, że czas audycji się skończył.

Wyszedł więc na palcach, zatraskując za sobą drzwi od mieszkania. I wolno, niemal po omacku, zszedł po ciemnej klatce schodowej na parter. Na ulicy uderzył go powiew morskiej bryzy. Był wyraźnie zadowolony.

24.

Szorstki szedł szybko rozświetloną ulicą. Na jej końcu, tuż przed majestatyczną basztą dostrzegł idącą w jego stronę dziewczynę w czerwonym płaszczyku. Serce zabiło mu mocniej. Przyśpieszył kroku. W świetle ciepłych sodowych lamp widział jej falujące jasne włosy. Gdy była już kilka kroków od niego posmutniał. To nie była dziewczyna z fotografii, którą zawsze nosił przy sobie.

Ta dziewczyna była niższa, choć równie chuda. Na dość wydatnym nosie miała okulary w delikatnej oprawie. Cała twarz tonęła w burzy włosów. I te włosy, poza czerwonym płaszczykiem, były jedynym co łączyło ją z dziewczyną z fotografii.

Gdy się mijali zauważył, że dziewczyna mocno ściska kilka książek. Jedna z nich upadła na ulicę. Schylił się i podał jej przewodnik po Paryżu. Dziewczyna była tak zaskoczona i zarazem wystraszona, że nic nie mówiąc i nie oglądając się za siebie pobiegła w stronę rynku.

25.

Jubiler machnął ręką na nadjeżdżającą taksówkę. Jej kierowca o niezwykle bujnej brodzie od razu skojarzył mu się z Marksem. Był mrukliwy i co pewien czas poprawiał swój kaszkiet w pepitkę.

Początkowo Jubiler chciał jechać do domu, ale w trakcie jazdy zmienił zdanie i podał adres pracowni. Taksówkarz westchnął tylko z dezaprobatą i zawrócił swojego złocistego citroena w przeciwną stronę. Pasażer wydawał mu się co najmniej dziwny. Siedział z tyłu, dosłownie na skraju siedzenia, wyraźnie czymś podekscytowany. Nerwowo sykał, gdy ciut dłużej stali na światłach.

Ledwo taksówka się zatrzymała Jubiler wypadł z niej, rzucając na przednie siedzenie dwa banknoty po 20 złotych. Nawet nie zamknął drzwi samochodu, tylko już się mocował z kratownicą wystawy, by wejść do swojego zakładu. Taksówkarz nie lubił takich klientów, nawet gdy nie domagali się reszty. Nie lubił po prostu podnieconych nerwusów.

26.

Tymczasem podniecony nerwus był już w środku swego zakładu. Nie znalazł na ladzie gazety, na której obecny właściciel obrączki z ukośnymi wyżłobieniami zanotował swój numer telefonu. Zajrzał na zaplecze, wszystko było w idealnym porządku równo poukładane. Precyzyjnie na swoim, właściwym miejscu. Czuł w tym rękę Pani Zosi, która sprzątała u niego już ponad 20 lat.

Zrezygnowany zajrzał do kosza na śmieci. I znalazł to czego szukał. Mocno pomięta, ale była. Rozciągnął gazetę na ladzie i wtedy dostrzegł, że róg gazety na którym był zapisany numer został postrzępiony i nadpalony. Z całego numeru zostały tylko dwie cyfry 60. Reszta zginęła bezpowrotnie. Jubiler ciężko klapnął na krzesło i zrezygnowany ukrył twarz w dłoniach.

27.

Łysiejący, brodaty mężczyzna i drobna brunetka gapiąc się z okna hotelu na wieczorne miasto dobrze widzieli dziewczynę w czerwonym

płaszczu. Biegła w stronę rynku, a jej sylwetka w miarę jak się oddalała, coraz bardziej się zmniejszała. Po chwili stracili ją z oczu.

Bez słowa jednocześnie obrócili się w stronę pokoju. Podeszli do stolika, na którym stał włączony laptop. On usiadł i włączył program graficzny. Cały ekran wypełniły wirujące kolorowe ikonki. Tasowały się z sobą jak talia kart. Jubiler przykrywał Szorstkiego, Gherardini wysuwał się spod Szpakowatego. Córka wirowała wokół swego ojca. Most Karola przenikał w sekwańskie bulwary, papuga podskakiwała merdając ogonem jak łaciaty kundelek.

Przesunął kursor w prawo i otworzył okienko, z którego dosłownie wysypały się skośnookie postaci i wypełniły całą wolną przestrzeń ekranu. Widział jej aprobatę i to charakterystyczne dla tego stanu zmrużenie oczu i magiczny uśmiech. Odrzuciła w tył gęste włosy, eksponując smukłą szyję. Zawsze robiło to na nim ogromne wrażenie.

Na ulicy zatrąbił samochód. Mężczyzna podszedł do okna i spojrzał w dół. Po drugiej stronie ulicy czekał złocisty citroen. Brodaty kierowca oparty o maskę pomachał w kierunku ich okna.

Mężczyzna z ciężkim westchnieniem zwrócił się do swojej towarzyszki:

– Mona, już czas na nas. Już czas.

JAKUB PIESTA
godło: „Cofanuson”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



JAKUB PIESTA – student III roku slawistyki na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Laureat X Bialskiego Młodzieżowego Turnieju Literackiego. Autor kilku opowiadań, wierszy i ballad.

WSI MECHANIZACYA

Chłop Tymon siedział w karczmie, sącząc leniwie „cud-miód” – piwo z tutejszego menu. To było całkiem miłe popołudnie – wokół było słycać wesoły gwar jego współziomków, którzy śmiali się i rozmawiali o swoich prostych sprawach. Karczmarz, nazywany przez miejscowych Baryłą, biegał szybko między stolikami i obsługiwał gościom jadłem oraz trunkami. Na ten przydomek zasłużył sobie dzięki figurze, jaką wyrzeźbił testując towary, którymi raczył swoich klientów.

Nagle chłopci usłyszeli dochodzące z zewnątrz stukanie – znak, że ktoś przybijał do drzwi jakieś obwieszczenie.

– Pewniakiem znowu siorbiela przysyłają, psia ich jucha! – odezwał się jeden z chłopów.

„Siorbielem” chłopci pogardliwie nazywali poborcę podatkowego, który odwiedzał ich wioskę regularnie, co kilka miesięcy.

– Oj, nie ma zmiłunku dla biednej ludności wiejskiej na tym świecie... – powiedział ktoś z żalością.

– A najwięcej zajmują mi, bo wiedzą, że większość swojego dobytku u mnie zostawia, głupie nie są – dodał Baryła. – Trzeba zobaczyć, kiedy ten kat nadejdzie.

Człowiek ten, będąc młodym, podróżował co nieco po świecie i pracował w kilku miastach jako kupiec, toteż jedyny z całej wsi, poza magiem Ongusem oczywiście, posiadał umiejętność czytania. Wyszedł więc z karczmy, by odczytać niezrozumiałe dla reszty chłopów skomplikowane znaczki.

W końcu Baryła zajrzał do środka i zawołał:

– Chłopy, chodźta tu! Sto razy nie będę czytał! – nie mówił bynajmniej ze złością czy rozczarowaniem, ale wręcz przeciwnie. Wszyscy poczęli wychodzić z karczmy, choć niektórym udawało się to nieco gorzej po kilku kubelkach. Baryła odchrząknął i zaczął czytać:

– „VORAN FACHMAN, którego wynalazki w całym Karhum, a i jech-cze dalej som znane, odwiedzi tom wioske wras z czeladnikami jego, by technologiom ułatwić żywot poćciwym chłopom.”

– A na co nam on... – odezwał się któryś z chłopów.

– Słyszał przecie, żywot nam chce ułatwić – odpowiedział inny.

– Znaczy..., co będzie robić?

– Pomagać będzie, ot co! – zniecierpliwił się Baryła. – Przygotujcie ino pieniądza, bo takie pomoce zawsze kosztują!

– Iiitam! – machnął ręką Tymon. – Stary, dobry Ongus za darmo usługuje nam.

– Wogóleście niepostępowi... – pokręcił głową Baryła i poszedł do szynku.

Wkrótce potem również chłopci weszli do środka i kontynuowali biesiadę.

Zmierzchało już, więc Tymon, póki jeszcze mógł chodzić w miarę prosto, postanowił wrócić do domu i położyć się wcześniej spać.

* * *

Nazajutrz bolała go trochę głowa, a gdy chciał wstać z łóżka, czuł, że jego ciało waży więcej, niż zwykle. W końcu podniósł się i po-stanowił pójść do Ongusa, by prosić go o jakieś antidotum na swoje dolegliwości.

Podróż do maga była torturą – słońce prażyło niemiłosiernie, co-dzienny gwar był głośniejszy niż zwykle, a schodów w wieży wyda-wało się więcej. Wkrótce jednak Tymon osiągnął cel. Powitał Ongusa krzątającego się w środku i opowiedział mu o swych dolegliwościach. Mag ze złośliwym uśmiechem podał chłopu do wypicia wywar z ziół. Choć gorzki smak przyprawił Tymona o grymas, od razu poczuł się lepiej, stał się chętny do rozmowy.

– Nieźleście wczoraj zabalowali, co? – uprzedził go Ongus.

– Ano, troszku... – odpowiedział chłop. – Słyszałeś nowinę?

– Ha! Pewnie znów komuś Mučka się ocielila!

– Widzę, żeś ty ździebko nietutejszy...

– O, to mówisz, że coś się dzieje? Opowiadaj! – usiadł przy stole zaciekawiony Ongus i zaprosił naprzeciwko Tymona.

– Na razie się nie dzieje, ale chyba dopiero będzie... – zaczął za-gadkowo Tymon. – Jakies technologi mają do naszej wioski zajechać. Będą chłopom pomagać, przynajmniej tak mówią.

– A to ci... – powiedział wyraźnie zaniepokojony Ongus – technologi mówisz...

– No tak. A ty coś tak sposepniał?

– Bo widzisz... Technologia i magia to trochę inne, rzekłbym nawet przeciwne dziedziny. Ich przedstawiciele nie darzą się sympatią, a jak pewnie wiesz, ja param się trochę magią.

– Takie buty – zrozumiał Tymon. – To co ty chcesz im zrobić?

– Na razie po prostu będę ich obserwował. Jeżeli zauważę coś podejrzanego, zareaguję – zapowiedział Ongus, uderzając pięścią w stół. Tymon z niepokojem spostrzegł, że w tym momencie po blacie rozsypały się iskry – mag wpadał w złość.

– Dobra, to ja już se pójde, bo roboty mam od groma. Dzięki za miksturę. Bywaj!

* * *

Mijały dni, a tajemniczy handlarz nie przybywał. Tymon wraz z innymi mieszkańcami wioski orali swe pola pod wysiew. Odbywało się to na zasadzie wzajemnej pomocy – chłopci pożyczali sobie pługi, których było niewiele i pracowali razem – w kupie siła. Tymon wiedział, że mimo natłoku zajęć i potrzeby poświęcenia im większości uwagi dowie się o przyjeździe technologa – plotki we wsi rozprzestrzeniały się szybciej, niż ktokolwiek zdążyłby rozważyć ich prawdziwość.

Zdarzyło się jednak, że Tymon miał okazję widzieć przybyszy jako pierwszy. Drogą sunął powoli wysoki na kilka metrów wóz przykryty szarą plandeką, która skrywała zapewne różne wynalazki. Na miejscu woźnicy siedzieli trzej niscy mężczyźni. Wszyscy mieli czarne, długie brody i byli odziani w skórzane kombinezony z mnóstwem pasków i kieszeni.

– Patrzajta chłopcy, zjawili się w końcu! – zakomunikował Tymon i wszyscy natychmiast oderwali się od pracy.

– O! – odezwały się głosy. – Widać, że z daleka jadą.

– Jakies niskie te technologi... I grube jakby – rzekł ktoś inny.

– Zarabiają na tym ustroju dużo, to i pewnie jedzą sporo.

I tak trwała ta ciekawa rozmowa, a tymczasem wóz dojeżdżał do chatki Tymona.

– Witajcie, mości panowie! – pozdrowił chłopów życzliwie ten siedzący pośrodku. – Zakładam, żeście słyszeli już o Voranie?

– Ano, cuś nam wpadło w ucho... – rzekł Tymon lustrując go wzrokiem. Nie do końca ufał tej zbytnej uprzejmości, zwłaszcza po rozmowie z Ongusem sprzed kilku dni.

– Zapraszamy wkrótce na otwarcie naszego skromnego kramiku. – odkrzyknął brodacznik na ostatek i wóz potoczył się dalej w poszukiwaniu wolnego arealu na stragan.

– Co o nich myśłita? – zapytał Tymon pozostałych.

– I... tam, zrobią z siebie pajacy i pojedą.

– Toż można zobaczyć, co tam ciekawego mają.

Choć ta rozmowa toczyła się w podobny sposób, jej przebieg tak naprawdę w ogóle nie interesował Tymona. Z góry był do przybyczy uprzedzony.

– To co, popatrzmy, jak się rozkładają? – przerwał dyskusję.

– Toż możemy – zgodzili się pozostali i odłożyli swą pracę. Ruszyli w kierunku wozu, który właśnie zatrzymał się kilka chałup za karczmą. Wokół niego zgromadziło się już kilka osób, z zaciekawieniem obserwujących rozkładanie namiotu i straganu.

Po kilku kwadransach trzech technologów zakończyli swą pracę. Odwrócili się od tłumu gapiów i bez słowa wyjaśnienia zamknęli się w swojej kwaterze. Rozczarowani chłopcy postali jeszcze chwilę, po czym zaczęli rozchodzić się do swoich zajęć.

Tymon, skończywszy oranie wraz z jego współpracownikami, udał się do wieży Ongusa, by zrelacjonować przebieg wydarzeń związanych z przyjazdem nieznanym.

Mag, krążąc po wieży i prowadząc zapewne jakieś badania, nie zwrócił nawet uwagi na przyjście gościa.

– Dobry! – przywitał go Tymon.

– A! Witaj – odpowiedział Ongus. – Co cię do mnie sprowadza?

– Przyjechali w końcu.

– Kto taki?

– No te technologi! – zniecierpliwił się Tymon. – Ty powinienes częściej z tej wieży wychodzić.

– Ach, faktycznie! Opowiadaj.

– No to tak... Przyjechali se, przywitali się, rozłożyli kramik i poszli chyba spać.

– Cóż za bogata w szczegóły opowieść! – zadrwił Ongus. – A może mógłbyś rozwinąć ją ponadto, czego już się domyśliłem?

– Eee... No nie wiem... Mieli duży wóz... ze jakieś dwie sążnie wysokości, rozbili straganik koło karczmy. Śmy tam sępiłi i się gapili, a oni chamy nawet nam nie powiedzieli, że dzisiaj nic nie będzie – zbulwersował się Tymon. – Jest ich trzech, wszyscy z brodami. Trza powiedzieć, że grubi są i jacyś tacy niscy, nie wiedzieć czemu.

– Ha! To akurat nie jest dziwne – uśmiechnął się Ongus.

– Właściwie to żeśmy myśleli, że może oni tak się dorobili na tej technologii, to i jedzą dużo...

– Oj, chłopcy, chłopcy! – westchnął Ongus. – Toż to krasnoludy, dlatego tak wyglądają!

To zdanie zbiło Tymona z tropu – zamilkł na parę ładnych chwil.

– Jak słyszysz coś o technologii, to prawie na pewno stoi za tym krasnolud – dodał Ongus.

– Ta nasza wioska... – zaczął Tymon – to chyba tylko ociupinka świata całego.

– Nawet nie wiesz, jak mała! – westchnął Ongus. – Jeszcze dużo masz do oglądania.

– Ja? A gdzie tam! Za stary jestem na to oglądanie.

– Ha! Co ty wiesz o starości? Ile ty w ogóle masz lat?

– Będzie trochę więcej jak trzydzieści wiosenek na karku... – zamyslił się Tymon. – Trzy, czy cztery... – powiedział, na co Ongus roześmiał się.

– Oj, głupis ty jeszcze i młodziutki... Dobra, idź już do domu, a jutro zobaczymy, co te krasnale wymodzą.

– A ty, ile masz lat, że tak śmiejesz się, co? – zaprotestował Tymon.

– Więcej, niż możesz sobie wyobrazić... – odparł tajemniczo Ongus. – Idź już.

– No dobra, jak mnie wyganiasz, to idę.

Następnego dnia, z samego rana, tłum chłopów znów ustawił się wokół straganu. Tak bardzo zżerała ich ciekawość, że wybaczyli krasnoludom ich wczorajszą nieuprzejmość. Tymon, który również przyszedł na pokaz, zobaczył nagle w tłumie nieznanego starca. Był odziany, podobnie jak reszta, w ubranie chłopskie – szary kubrak, lniane spodnie i skórzaną kamizelkę. Tymonowi wydało się one jednak dziwnie nowe, bez żadnych śladów pracy. Przyglądał się przybyszowi, w którym poznał po kilku minutach Ongusa. Podeszedł do niego, przeciskając się przez tłum.

– Trudno cię było poznać z daleka w takich łąkach – zagadał. – Po coś się tak przyodział?

– Wtapiam się w otoczenie. Kamuflaż, mój drogi! – odpowiedział Ongus.

– Mogłeś oddać je molom na pożarcie, czy coś... Widać, że nowe to i tylko na pokaz.

– Dobra, nie zrzedź, może się nikt nie zorientuje – przerwał mu Ongus.

– Toż ja już cię poznałem.

– Cicho już, bo mnie zdemaskują...

– Co zrobią?

– Cicho, mówię! – zdenerwował się w końcu Ongus.

Mimo gorączkowej rozmowy Ongusa z Tymonem i pomruków w tłumie pozostałych chłopów krasnoludy systematycznie rozstawiały swój kramik. W końcu wszystko było już gotowe i jeden z technologów, ten który dzień wcześniej powitał Tymona, wystąpił do tłumy.

– Witajcie, prości ludzie! – zaczął. – Jestem Voran, a oto moi czeladnicy.

– Wskazał ręką dwóch stojących z tyłu krasnoludów. – Zgodnie z obietnicą przybyliśmy do tej wioski, by pomóc wam troszkę w waszym ciężkim nieraz żywocie. Będziemy to robić z pomocą technologii, która jest najpiękniejszą dziedziną życia.

– Gówno prawda... – zaklął pod nosem Ongus.

Kilka głów odwróciło się, by skarcić go wzrokiem.

– Zaczniemy od prezentacji paru naszych wynalazków – kontynuował Voran. – Mamy nadzieję, że przekonamy was tym do korzystania z naszych usług w ciągu tych kilku dni.

– Ta, złoto w błoto, złodzieje... – znów pogardliwie skomentował Ongus.

Również i teraz, niczym psy wartownicze, chłopcy zareagowali na jego nieprzychylnie słowa.

– No, to może zaczniemy od pokazania wam... – rzekł z wahaniem Voran i odwrócił się tyłem do publiczności. – O, może... Super Młyna Przenośnego! – wskazał na jedną z maszyn.

Było to wysokie na metr, złożone z wielu niedbale połączonych żelaznych płytek urządzenie, z jednym lejem wlotowym u góry i dwo-

ma wylotami poniżej. Krasnoludy wyposażyły je w mnóstwo dźwigni, którymi prawdopodobnie nikt poza nimi nie umiałby się posługiwać.

– A więc... Tu się sypie zboże, tu se wylatuje mąka, a tu plewy – rzekł Voran wskazując z głuchymi plaśnięciami dłoni o metal poszczególne elementy. – Ogólnie chodzi o to, że nie musicie cepa męczyć, tylko przychodźcie do nas ze zbożem, a my wam robimy mąkę.

– Każdy głupi tak potrafi... Jednym paluszkiem... – szepnął Ongus do Tymona.

– Za przeproszeniem, ja zapytanie mam... – odezwał się jeden z chłopów.

– Bo i prawda, zdałoby się to, ale co wy chceta tera młócić, jak my dawno po żniwach i z mąki to już chlebek dawno robimy?

W tłumie zebranych rozległy się pomruki niezadowolonych chłopów.

– Ha! Zgasił go! – rzekł rozbawiony Ongus.

Miał rację. Krasnoludy wyraźnie straciły animusz. Stały zakłopotane, tonąc w niezręcznej ciszy. W końcu próbę ratowania sytuacji podjął Voran.

– Ach faktycznie, nie ta pora! Ale nie martwcie się, prości ludzie, mamy dla was więcej wynalazków! – Znów odwrócił się do porozstawianych maszyn. – No to może teraz zademonstruję wam... Niech będzie oracz – wskazał z dumą na wyglądające na skomplikowane urządzenie. Przypominało trochę mechanicznego kreta lub szczura w pozycji pionowej z żelaznymi pazurami.

– To się pług nazywa – zadrwił któryś z chłopów. Po tłumie przebiegła fala śmiechu, jednak z ust krasnoluda ani na chwilę nie znikł triumfalny uśmiech.

Mylisz się, dobry człowieku. Pługi, to macie wy! – odparł równie pogardliwie. – To natomiast, jako rzekłem, jest oracz. Może ktoś z was chce, by jego pole było promocyjnie za darmo zaorane tym wynalazkiem?

Żadnemu z chłopów nie spodobała się perspektywa bycia ochotnikiem.

– Ach, tego się spodziewałem – nikt nie lubi łamać swych nawyków i skłaniać się ku nowości. – W tym momencie Voran przerwał i zaczął rozglądać się po wiosce. – O, tam widzę jeszcze nie zaorane pole. Do kogo należy?

Nikt długo nie przyznawał się do swojej własności i znów zapadła głucha cisza; inni chłopci nie chcieli też wydać swego ziomka.

W końcu, gdy krasnolud powoli zaczął tracić cierpliwość, co objawiał głośnym sapaniem, wystąpił jeden z mężczyzn, choć widać było, że nie sprawiało mu to specjalnej przyjemności.

– Moje, panie – rzekł usłużnie.

– Nareszcie, doskonale! – uśmiechnął się Voran. – Jak cię zwą?

– Jeremi, panie.

– A więc Jeremi, wiedz, że w twoim przypadku nie do końca sprawdza się przysłowie, że lenistwo nie popłaca.

Chłop najwyraźniej nie wiedział, o co krasnoludowi chodzi – patrzył się tylko na niego tępo, drapiąc się po głowie.

– Czy pozwolisz na darmową prezentację tego oto oracza – wskazał Voran swój wynalazek – na twoim polu?

– A to, to co mi na tym polu zrobi? – zapytał zdeorientowany Jeremi. Krasnolud zaczynał czerwienić na twarzy ze złości.

– No zaorze ci je, człowieku! I to zupełnie za darmo! – próbował zachować spokój Voran.

– Przepraszam bardzo! – wtrącił się do rozmowy Ongus. – Czy to urządzenie nie spowoduje żadnych skutków ubocznych? Nie wyjałowi na przykład pola, czy coś? – chciał najwyraźniej jeszcze bardziej zdenerwować technologa i widać było, że sprawiało mu to frajdę.

– Nic nie spowoduje, człowieku! – podniósł głos Voran. – Oracz jest w pełni bezpiecznym, dopracowanym do najdrobniejszych szczegółów urządzeniem, w dodatku nieuciążliwym dla środowiska! Zresztą, zobaczysz wszystko na pokazie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – rzekł z przesadną grzecznością Ongus.

– I bardzo dobrze... – odpowiedział krasnolud. – A więc, drogi... Jeremi – zwrócił się do chłopca, który próbował pojąć dialog dwóch inteligentniejszych od siebie osób – czy moglibyśmy zaprezentować nasz wynalazek na twoim polu?

– A niech stracę, zaprezentujecie...

– Zapewniam cię – odparł ze śmiechem krasnolud – że niczego nie stracisz.

– O, krasnoludek odzyskał już humorek? – rzekł pogardliwie Ongus do stojącego obok Tymona.

– A więc przejdźmy na twoje pole – rzekł Voran, po czym wraz z czeladnikami załadował oracza na wózek. Ruszyli na pole Jeremiego, a za nimi ciągnął się tłum lekko zaskoczonych chłopów.

– Teraz patrzcie i podziwiajcie – rzekł triumfalnie krasnolud po dotarciu na miejsce – co ten cud techniki potrafi! Chłopcy, przynieście no baterię – zwrócił się do czeladników.

Wkrótce dwa krasnoludy przytaszczyły duży, metalowy kloz z kilkoma wystającymi drucikami. Był widocznie bardzo ciężki – niosły go z pewnym trudem. Otworzyły klapkę znajdującą się na plecach oracza i zamontowały tam ogniwo. Otrzepały rękawice i odeszły na bok. Do maszyny podszedł teraz Voran. Przesunął jedną z dźwigni i szybko oddalił się na kilka kroków. Chłopi z zaciekawieniem przyglądali się oraczowi. Nagle żelazny gryzoń poruszył się, jakby otrząsał się z długiego snu. Padł na ziemię i zaczął kopać dół, co wieśniacy powitali pomrukiem uznania. Ongus natomiast nieufnie patrzył na fruwającą dookoła glebę, z jego twarzy bił niepokój.

Maszyna tymczasem skończyła już kopać dół i weszła do niego. Wkrótce kreta zasypała ziemia i wszystko ucichło.

– Co, już koniec? – zapytał Tymon. – Nie zaorał za dużo...

– Ta cisza jest dziwnie niepokojąca – zauważył Ongus. – Coś tu się szykuje...

Tymon spojrzał w kierunku technologów – nie wyglądali na zmieszanych jak wcześniej.

Nagle chłopi usłyszeli i poczuli silne drżenie ziemi. Mniejsze grudki gleby i kamyki dookoła aż podskakiwały. Całe pole, kawałek po kawałku zmieniał się w obszary świeżo zaoranej gleby. Wyglądało to tak, jakby ziemia zapadała się, a później wylatywała na wierzch już bez ścierniska. W końcu oracz wykopał się na powierzchnię i stanął w bezruchu. Chłopi byli oczarowani szybkością działania maszyny. Pole było naprawdę wzorowo zaorane. Krasnoludy podeszły do swojego wynalazku, wymontowały baterię i załadowały wszystko z powrotem na wózek.

– A więc – odezwał się Voran – tak wygląda zaorane przez oracza pole. Dziś już nie da rady pracować więcej, mamy tylko jedną baterię; do jutra ją naładujemy, a wtedy możemy zaorać następne. Oczywiście już nie za darmo.

– A za ile? – spytał jeden z chłopów. – Wystarczą ze dwa kogutki?

– O, nie! – roześmiał się Voran. – My chcemy złota, albo w ostateczności miedziaków. Dokładna cena do ustalenia, zależnie od wielkości pola.

Chłopi zdziwili się, choć bynajmniej nie posmutniali – duża większość miała już zaorane pola.

– No dobra, a więc kto będzie chciał skorzystać z oracza, niech przyjdzie jutro do naszej kwatery – zakończył rozmowę Voran, po czym wraz z czeladnikami zaczął ciągnąć wózek w stronę ich pawilonu. Zaraz po ich odejściu tłum rozproszył się. Tymon poszedł za Ongusem, do jego wieży.

– I co powiesz? – zagadnął.

– Nie jest dobrze... – odrzekł z wahaniem mag. – Wygląda na to, że te krasnoludy znają się na technologii i to mnie martwi.

– To co zrobimy?

– A co, nie spodobał ci się pokaz? Nie jesteś po ich stronie? – zapytał złośliwie Ongus.

– No co ty! – oburzył się Tymon. – Ani przez chwilę nie byłem! A zresztą i tak już se pole zaorałem. Pługiem – podkreślił.

– Wiem przecież, tak się z ciebie zgrywam. Najgorsze jest to, że nic im nie możemy zrobić – wyjęliby nas spod prawa za takie gnębienie niewinnych.

– A jakby im tak coś zaiwanić? – zaproponował cicho Tymon.

– Zły pomysł – odradził Ongus. – Te ustrojstwa na pewno są zabezpieczone pułapkami, czy czymś takim... Myślisz, że jak tak jeżdżą po wsiach i miastach, to nie pomyślą o ochronie asortymentu?

– Może i tak... – zakończył zrezygnowany chłop. – Czemu wy se jakiej spółki nie założycie? Czasem przecie nawet pies z kotem się pogodzą i dobrze żyć potrafią.

– Ha! – przerwał z ponurym uśmiechem Ongus. – Pies z kotem? Może. Ale widziałeś, żeby ogień z wodą się pogodził?

– No nie wiem... – zadumał się chłop. – Znając ciebie, to coś byś pewniakiem wykombinował...

Obaj roześmiali się.

– Idę do domu, co będę czas mitrężył na próżne gadanie – zakomunikował nagle Tymon. – Myśl, co tu zrobić z krasnalami.

– No, to trzymaj się.

– Ty też.

Kilka kolejnych dni upłynęło we wsi dosyć leniwie, zwłaszcza że mało było do roboty, a część chłopów postanowiła wyręczyć się w oraniu krasnoludami. Niektórzy, oczarowani działaniem krasnoludziej maszyny, zdecydowali, że orka na ich poletkach wymaga poprawy. Wielu z nich wygarnęło głęboko schowane fundusze i wykupiło oracza. Szybko okazało się również, że parę osób miało jeszcze trochę niewymłóconego zboża, więc pierwszy wynalazek krasnoludów również nie był bezrobotny. Tymon i Ongus nie byli zadowoleni z takiego obrotu wydarzeń – chłopci zaczęli ufać technologom, którzy żądali zapłaty za swe usługi. Zaniedbali też szlachetną tradycję pomocy innym – nikt jej przecież nie potrzebował.

Pewnego popołudnia, Tymon z braku jakichkolwiek zajęć, siedział w karczmie pijąc piwo i słuchając lokalnych wiadomości. Niektórzy chłopci z dumą mówili, jak dobrze toczy się ich przyjaźń z krasnoludami, które mają jeszcze dużo wynalazków do zaoferowania.

Nagle Tymon spostrzegł Jeremiego, który użyczył kilka dni wcześniej pola do demonstracji oracza. Był widocznie niezadowolony, nie podzielał radości innych chłopów. Tymon przysiadł się do niego i zagaił:

– Cóż to? Czemuś taki markotny?

– A, bo... – odpowiedział z rezygnacją w głosie Jeremi. – Frasunek mam.

– Opowiadaj.

– Bo ten Voran chyba mnie krowy zaczarował... Jakoś tak mleka nie chcą dawać, tylko muczo i muczo...

– Takie buty... To pewnie od tych wstrząsów oraczowych. Zaramusim do Ongusa iść, on może jakoś pomoże!

– Ale jak?

– A ja wiem? – obruszył się Tymon. – On magik, to będzie wiedział jak.

– No dobra, kubelka tylko skończę.

Wyszli zaraz z karczmy i udali się do Ongusa. Po drodze, mijając pawilon krasnoludów, usłyszeli dobiegający z niego hałas.

– A u nich co tak głośno? – zdziwił się Tymon.

Podszedł po cichu bliżej i zajrzał przez szparkę między płótnami namiotu. Pomieszczenie zalewała fala światła lampy prowizorycznie zamontowanej u sufitu. Obaj czeladnicy Vorana siedzieli na tandemie bez przedniego koła i wściekle pedałowali, sapiąc i stękając. Rower aż

trząsł się poddany ich gwałtownej pracy. Obok stało połączone z nim kablami używane do oracza ogniwo, które furczało pod wpływem energii. Dało się słyszeć strzępy głośnego monologu Vorana:

– ... Ruszać się wałkonie! Nie po to was zatrudniłem, żebyście leżeli odłogiem! Ładować, ładować! Za darmo piwa nie dostaniecie!...

– Idziem do Ongusa – szepnął Tymon do Jeremiego, odszedłszy od namiotu.

* * *

– O, nie spodziewałem się gości! – przywitał chłopów Ongus. – Co was do mnie sprowadza?

– Frasunek Jeremiowy – odpowiedział lakonicznie Tymon.

– Mianowicie?

– Krasnale coś przedobrzyły i krowy uszkodziły chyba – mleka nie dają. A teraz żem widział, jak ten Voran swoich czeladników męczy.

– I bardzo dobrze! – rzekł Ongus, z uciechy zacierając dłonie. – Teraz tylko wystarczy zadziałać i krasnoludki wybędą... – mówił do siebie, chodząc wte i wewte przed oczami chłopów.

– Za przeproszeniem, jak to bardzo dobrze? – przerwał mu rozmyślania Jeremi. – Przecie krowy mleka ni dają, trza będzie nowe kupować. Że już nie wspomnę o polu, może też nic tam nie będzie rosło?

– Spokojnie, wszystko naprawimy – zapewnił chłopą Ongus. – Ale najpierw musimy przyskrzynić krasnale...

Rozentuzjasmowany chodził po wieży ze spuszczoną głową, mamrocząc coś do siebie co kilka chwil i gestykulując. Tymon stał zniecierpliwiony, ale wiedział, że nie jest to zwykły spacer i nie próbował Ongusowi przerywać.

– Dobra, robimy tak – powiedział nagle Ongus. – Idźcie najpierw do krasnoludów na skargę. Powiedźcie, co się stało, co wam nie pasuje i takie tam... Poproście o jakieś odszkodowanie, pewnie wam odmówią. Wtedy pójdziecie do karczmy, zacznijcie rozpowiadać, że krasnale złe, że oszukują i że krowy psują. Na razie tyle.

– A co potem? – dopytywał się Tymon.

– Zobaczymy... – odrzekł tajemniczo Ongus.

– Dobra, to idziem... Ale żeby nie było później, że będziem musieli sami się z czego ratować – ostrzegł jeszcze na odchodne Tymon.

* * *

– Czemu my tak łazim wte i wewte? – zaczął żalić się już poza wieżą Jeremi. – I gdzie my wogle tera idziem? Bom nie pojął...

– Do krasnali idziem – odparł Tymon.

– Do jakich krasnali?

– No do tego Vorana. To krasnale są.

– Takie buty! To temu one takie małe i brodate?

– No. Patrzaj, jak to jest: myślisz se, że jak mieszkasz w jednej wsi z takim Ongusem, to nic już cię nie zdziwi, a tu nagle przypałątają się takie o.

– Ano, prawda – zgodził się Jeremi.

Chłopi wreszcie doszli do namiotu krasnoludów. Mimo dosyć późnej pory słyhać było wewnątrz wesoły gwar.

– Raz kozie śmierć, jak to mówią... – rzekł z lekkim niepokojem Tymon. – Włazim.

Jak ustalili, tak zrobili. Ujrzeni krasnoludy, które siedziały podchmiele na podłodze i toczyły swoje pijackie rozważania.

– ... pojeziemy do Lukaty, ku-kupimy se jakiś sklepik i zasznjemy roskrensać i-interes! – marzył Voran.

– A-le szefuniu! – oburzył się jeden z czeladników. – So my bezie-tam s-srzedawać?

– A to się później wymyśli! Mówię, najsampierw tu trza skończyć.

– Dobry! – zniecierpliwiał się Tymon i przerwał pijacką tyradę. – Można?

– Oszywiście, mośsi gospodarzu! – odparł Voran, z trudem dojrzawszy swoich gości. – Chłopsy, nalejcie im!

– Nie trza, my tylko na chwilę przyszli – wtrącił Jeremi.

– Iiitam, gadanie! Wypijcie z nami – nalegał Voran.

Tymon postanowił załatwić sprawę szybko rzeczowo.

– Chcemy piniędzy za zepsucie krów!

Krasnolud podrapał się w głowę.

– Nie szypominam sobie, żebyam wam coś podobnego zlecił.

Sens tych słów dotarł do głowy Tymona dopiero po kilku chwilach.

– Panie! Sponiewierałeś nam pan krowy! – zdenerwował się. – Da-waj pan jakiś piniądz i będziem kwita!

– Ale po so te nerwy? – zaczął uspokajać Voran, choć sam podniósł głos. – Zaraz do czegoś doziemy!

– Nigdzie już nie bedziem iść! – zbuntował się Jeremi. – Ja chcę normalne krowy!

Krasnolud westchnął, uspokoił się nieco.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Do żadnej krowy żem się w tej wiosce nie dotykał.

– Czy ja mówił coś o dotykaniu? Od tego oracza badiwnego zachorowały!

– Tylko nie baziwnego! Tylko nie baziwnego! – zbulwersował się Voran. – Sałe szszy miesiąse śmy go budowali!

– Niedopuszczalna marnacja czasu! – zadzwiał Tymon. – A jak się nie wie, co się ma, to nie trza z tym się pokazywać! Patrzajcie go, technolog znalazł się! – zakończył, podkreślając z ironią słowo „technolog”.

– Dozyć! – ryknął ze złością, tocząc pianę, Voran. – Nie bedzie mie tu byle kmiot technologii uszył! Mie, którego zasługi we wszystkich miastach są widoszne i szanowane! – wykrzykując to dobył tkwiącego w jednym z jego pudeł topora, czeladnicy poszli śladem swego mistrza.

– Chyba nas tu ni chcom... – wyszeptał lękliwie Jeremi.

– Ta, trza się nam ulotnić – odparł, udając spokój, Tymon.

Chwilę później byli już na zewnątrz, szukając jakiejś dobrej kryjówki. Spostrzegli krzaki z tyłu którejś z chat i, nie namysłając się, prędko się w nich ukryli. Jednocześnie patrzyli na namiot, z którego wychynęły, zataczając się, trzy krasnale.

– Gdzie te kmioty?! – wykrzykiwał Voran. – Wyłazić! Wyłazić, mówię!

– Co robim? – zapytał cicho Jeremi.

– Jak to co? Na razie możemy se tylko tu posiedzieć – odpowiedział zdecydowanie Tymon.

Oczekiwanie nie trwało długo. Chwilę później Tymon, wyglądając zza krzaka, ujrzał, jak czeladnicy wciągają szamoczącego się i wymachującego toporem Vorana do namiotu. Gdy tylko krasnoludy zniknęły w środku, chłopci postanowili wyjść z ukrycia.

– To teraz do karczmy – zakomunikował Tymon, jak gdyby kilka sekund wcześniej nie byli zupełnie zagrożeni śmiercią przez posiekanie.

Już parę chwil później weszli do sali, w której, podobnie jak wcześniej, panował radosny gwar spowodowany przez rozentuzjasmowych chłopów.

– Ludzie, ratunku! – zaczął wydzierać się Tymon, zwracając na siebie uwagę wszystkich bywalców karczmy. – Technologi zabić nas, posiekać chciały!

Jeremi zaniepokoił się, chciał uciszyć Tymona, ale ten powstrzymał go tylko ręką i kontynuował swój lament.

– Żeśmy im ledwo uciekli, się narąbali i chcieli poćwiych ludzi zarżnąć, jak psy jakie!

Nagle przestał, zaczerpnął powietrza i zaczął obserwować reakcję obecnych, którzy osłupieli na kilka dobrych chwil.

– Chyba za dużo żeś, proszę ja ciebie, naraz cudu–miódu wychylił, panie Tymonie – zażartował nagle któryś z chłopów.

Po karczmie przepłynęła fala głośnego śmiechu.

– Słuchajcie, no, buce! – znów wprowadził chłopów w osłupienie Tymon. – Poszli my z Jeremim do technologów, bo od tych ich wynalazków krowy się pochorowały, mleka ni chcą dawać! Mówim im, jak sprawy stoją, a one nas z bronią w ręku pogoniły! A jak chceta kupować se nowe krowy, to rzyjta się dalej! – zakończył, rozkładając bezradnie ręce.

Trzeźwiejsi chłopci po tych słowach zaniepokoiли się nie na żarty. Wielu z nich zapewne borykało się z problemem krów, ale być może lekceważyło go.

– A może tylko cięłą się? – podsunął ktoś.

– Ta, wszystkie naraz?

– Ale zara! U mnie krowy normalne, zdrowe! – zaprotestował inny.

Tymon zaczął się zastanawiać.

– A orały ci technologi pole tą machiną? – odpowiedział po chwili pytaniem.

– Nie...

– To się nie odzywaj, ćwoku! – rozgniewał się na chłopca Tymon, po czym zwrócił się do tłumu. – Ja wam mówię, nie oddadzą wam nawet piniędzy, a do tego nie wiadomo, czy taką chorą krowę na ubój brać można!

– To co my możemy zrobić?

– Tylko jedno mnie do głowy przychodzi – trza im naszą własność siłą wydrzeć – powiedział Tymon. – Ale ostrzegam, one są uzbrojone, jak żem już mówił. Duże topory mają.

– Ni majom szans! – rozległ się dziarski głos w tłumie. – Nawet nie zdążom tych siekierków wyciągnąć, a już się ich uciszy.

– Huzia na złodziejów! – zaskandował Tymon.

Od razu wśród chłopów rozległa się wrzawa, poczęli wychodzić z karczmy. Szli w stronę namiotu krasnoludów, z Tymonem na czele.

Nagle Tymon zatrzymał się, gdy ujrzał Ongusa, stojącego na środku drogi. Chłopi, którzy byli w większości bardziej lub mniej wstawieni, zaczęli pośród przekleństw i złorzeczeń na siebie wpadać i przewracać się.

– Co ty tu robisz? – zapytał Tymon.

– Spodziewałem się tego, więc przyszedłem – odparł Ongus.

– Chcesz nam pomóc?

– Raczej wybić wam na razie tę burdę z głów.

– Czemu? Mamy większe szanse, krasnale pijane są!

– Duża większość obecnych tu osób też, jak widzę.

– Ale u nas przynajmniej dwaj, znaczy ja i Jeremi, w miarę trzeźwe są.

– Mimo to uciekliście od nich w popłochu...

– A ty skąd wiesz? – zapytał zaskoczony Tymon.

– Obserwowałem was – odpowiedział Ongus. – Dobrze wam radzę, idźcie dziś do domów, a przyjdźcie z powrotem jutro rano, albo jak tylko wstaniecie dodał głośniejsze, by kompania usłyszała.

Chłopi wśród pijackich śpiewów i wrzasków powoli rozeszli się do chałup i karczmy. Na zewnątrz pozostali tylko Tymon i Ongus.

– Czemu żeś ich rozgonił? – począł żalić się Tymon. – Przecie miałeś nam pomóc!

– Pomogę – odparł Ongus – ale nie dziś.

– A co za różnica?

– Ponieważ – zaczął tłumaczyć ze złośliwym uśmiechem Ongus – gdybym upokorzył tych oszustów dzisiaj, nazajutrz niczego, poza rozwalonym namiotem i siniakami, by nie pamiętali, bo przecież są pijani. A jutro, gdy dostaną nauczkę, długo jeszcze nie odważą się prezentować gdziekolwiek swoich fełernych wynalazków.

– O to chodzi – zrozumiał Tymon. – Jesteś dziwak...

– Och, przestań! – machnął ręką Ongus, jakby właśnie usłyszał po-chlebstwo.

* * *

Następnego ranka chłopci i Ongus zgromadzili się przed namiotem krasnali. Tłum liczył sobie o wiele mniej osób, niż poprzedniego wieczora. Poza kilkoma wyjątkami przyszli tylko właściciele krów, które ucierpiały od wynalazku Vorana. Opadł również entuzjazm, z którym chłopci chcieli iść do krasnoludów i ukarać je. Prawdopodobnie jeszcze mniej mieszkańców wioski przyszłoby, gdyby nie chodziło o ich własność.

Teraz wszyscy patrzyli się na namiot, do którego wnętrza dyskretnie zaglądał Tymon.

– Technologi śpią! – zakomunikował zduszonym głosem.

– Więc trzeba ich obudzić – odparł spokojnie Ongus, po czym krzyknął: – pobudka oszuści! Klientela przyszła.

– Budzą się! – poinformował Tymon, który ciągle stał przy namiocie, a teraz odchodził pospiesznie w stronę Ongusa.

– No, ruszać się, wyłazić! – wrzeszczał Ongus. – Nie będziemy tu tak stać pół dnia!

Parę sekund później z wewnątrz wyrzała głowa Vorana, która mrużąc oczy przed zbyt intensywnym światłem badała sytuację. Nagle schowała się, a po kilku minutach tłumowi ukazał się jej właściciel wraz z towarzyszami. Byli odziani w swoje skórzane stroje podrózne.

– O co chodzi? – zaczął zniecierpliwiony Voran. – Dziś nie będzie żadnego pokazu. Trochę ciszej proszę...

– Oddajcie tym ludziom równowartość tego coście zniszczyli – rzekł Ongus, wskazując dłonią tłum chłopów – a pozwolimy wam odejść bez uszczerbku na zdrowiu.

– To ty! – wzburzył się Voran. – Od razu wiedziałem, że nie jesteś zwykłym wieśniakiem. Nie będziemy nic oddawać tylko dlatego, że jakiś sołtys, czy wioskowy szaman nam grozi!

– Nawet nie wiesz, jaką ten szaman ma moc. Nie widziałeś przypadkiem tej wysokiej wieży, cepie? – Ongus zrobił krótką przerwę, by pozwolić krasnoludom pochwycić krótkim spojrzeniem niezwykle dom wiejskiego szamana.

– Zawsze mogłyby to być jakieś ruiny... – wzruszył ramionami Voran.

– Ostatni raz cię proszę, oddaj tym ludziom pieniądze, albo rozwalę ci ten bajzel! – kontynuował stanowczo Ongus, wskazując namiot Vorana palcem, z którego wystrzeliła nagle kula ognia wielkości pięści. Trafiła na płótno, po którym płomień szybko się rozprzestrzenił. Krasnoludy, podobnie zresztą jak chłopci, stali w osłupieniu, obserwując magiczny ogień, dopóki Voran nie krzyknął do czeladników: – Ruszcie się, nieroby, zgaście to!

Wszyscy trzej podbiegli do namiotu, jednak cofnęli się nagle z przerażeniem, gdy Ongus wystrzelił następną kulę.

– No dobra, oddamy wam pieniądze, tylko pozwól nam zgaścić ten ogień! – rzekł zrezygnowany Voran.

– Gaście więc – odparł Ongus.

Krasnoludy zaczęły dusić płomienie mokrymi szmatami, które zabrały szybko z płonącego namiotu. Na ich szczęście, pożar nie wyrządził zbyt dużych szkód, magiczny ogień tylko wyglądał na groźny. W czasie całej akcji chłopci nawet nie trudzili się, by pomóc technologom. Stali na uboczu i oglądali ciekawe zjawisko.

Pokonawszy żywioł krasnoludy weszły do środka namiotu, chroniąc się tym samym przed wzrokiem wścibskiego tłumu.

– Pewniakiem już liczą piniądze – ucieszył się Jeremi.

Winowajcy przebywali w środku ładnych parę minut, niektórzy z chłopów zaczęli się niecierpliwić.

– Cuś długo to liczą... – zauważył Tymon.

Nagle z wnętrza namiotu dobiegł ich dźwięk szczękającego i zgrzytającego metalu. Chłopci zaniepokoiли się, Ongus również nie ufał dziwnemu hałasowi.

– Znowu coś krasnale kombinują – oznajmił.

Wyciągnął dłoń w stronę nadpalonego namiotu i wbił w niego pełen skupienia wzrok. Mimo ciepłej jeszcze pory roku chłopci poczułi przejmujący chłód i wiatr, który wzrastał się z każdą chwilą. Nagle, niewiadomo skąd, choć na niebie nie było ani jednej chmurki, pojawił się śnieg, który w połączeniu z wiatrem utworzył zadymkę szalejącą wokół namiotu. Chłopci zaczęli drżeć z zimna i ze strachu, niektórzy w panice krzyczeli, wzywając ratunku.

Tymczasem poły u wejścia do namiotu odchyliły się i na zewnątrz wychynęły trzy mechaniczne istoty, kształtem i wielkością przypominające rosłe dziki. Bestie od razu rzuciły się do ataku, szarżując na

chłopów, którzy poczęli uciekać w popłochu. Ongus, w którego stronę również ruszył jeden z dzików, stał bez ruchu, wciąż spoglądając gniewnie na namiot.

Jedną z dłoni wciąż trzymał w górze, wyciągniętą i rozcapierzoną, druga natomiast opierała się na drewnianej Ongusowej lasce. Wiatr szarpał jego szaty i brodę, która zdążyła już pokryć się szronem.

Nagle zupełnie znikąd spadły wielkie kuliste bryły lodu, a wiatr wzmógł się znacznie, tworząc wraz z wirującym śniegiem zaporę przeciw wzrokowi osób, które miałyby w tym momencie ochotę przyglądać się potyczce. Magiczna burza śnieżna potrwała jeszcze kilka minut, po czym wszystko powoli ucichło, a temperatura wróciła do normy.

Chłopi, rozpierzchnięci dookoła rozglądali się niespokojnie, spodziewając się jakiegoś zagrożenia. Ongus stał ciągle na swoim miejscu, tym razem z uśmiechem na twarzy obserwując efekty swojej pracy. A było, na co popatrzeć. Trzy mechaniczne dziki leżały teraz zmiażdżone przez wielkie lodowe kule. Nadpalonego płótna nigdzie nie było widać, za to różne metalowe części i inne rzeczy krasnoludów wały się po całym pobojuwisku. Sami winowajcy leżeli w miejscu, które wcześniej było zajmowane przez namiot, zdumienie ani na moment nie schodziło z ich twarzy.

– Aleś narozrabiał... – westchnął Tymon, który zdążył już, jako pierwszy z chłopów, dojść do siebie po wichurze. – Będzie sprzątanina.

– Należało im się – odparł Ongus. – A do sprzątania też się ich przymusi, przecież te graty może się im jeszcze do czegoś przydadzą.

Tymczasem krasnoludy, które znajdowały się w centrum zadymki, zaczęły próby podnoszenia się.

– Dobra, wygrałeś! – stęknął Voran. – Zapłacimy wam.

– Miło z twojej strony – rzekł wesoło Ongus. – Musicie również tu posprzątać, bo coś się wam rozsypało...

– Tylko bez nerw – rzekł lekliwie krasnal. – Poddajemy się...

Następne kilka godzin upłynęło, zgodnie z zapowiedzią, na oddawaniu chłopom złota z krasnoludzkiego kufra, który dzięki swej masie i solidnym zamknięciu nie uległ wichurze, tak jak reszta namiotu. Gdy wszyscy mieszkańcy otrzymali już swoje pieniądze wraz z odszkodowaniem, technolodzy rozpoczęli sprzątanie swojego inwentarza i pakowanie się do podróży.

– Popilnujcie ich, żeby znów czego nie wymyślili... – nakazał Ongus chłopom i począł iść w stronę wieży. Uśmiech nie znikał z jego ust.

– A ty gdzie? – krzyknął Tymon za odchodzącym magiem.

– Jak to, gdzie? – odwrócił się jeszcze na chwilę Ongus. – Idę coś wymyślić na te krowy niedyspozycyjne.

Tymon podrapał się po głowie i zobaczył, jak Ongus odchodzi ku swojej siedzibie.

* * *

Chwilę przed tym, jak krasnoludy skończyły pakowanie, zjawił się z powrotem Ongus. Niósł ze sobą duży słój pełen zielonego, mętnego płynu.

– I co? – zainteresował się Tymon.

– Może się uda – odpowiedział Ongus, pokazując szklany pojemnik. – Mam takie ziołowe „coś”. A co tam słyszać u krasnali?

– A już się prawie spakowały, zaraz pewnie wybędą...

– To dobrze, bo mamy jeszcze sporo do zrobienia... Bądź co bądź, tych krów to trochę jest w tej wsi, nie?

– Ano, trochu... – odparł lakonicznie Tymon.

Chwilę później krasnoludy zakończyły pakowanie, przyprowadziły wóz zaprzężony w konie, który stał przez cały ich pobyt w jednej ze stodół. Szybko załadowały na niego pakunki i były już gotowe do drogi.

– No cóż, panowie, zapraszamy ponownie! – rzekł z przesadnym rozczerleniem Ongus. – Rzekłbym – wpadajcie do nas jak najczęściej, na pewno ugościmy! – dodał.

– Wątpliwa przyjemność – odparł gniewnie Voran. – Ale wiedziecie, że będziecie jeszcze żałować, gdy tylko wszyscy zaczną szanować moje wynalazki jak Karhum długie i szerokie!

– Nie możemy się doczekać! – uradował się obłudnie Ongus. – Żegnajcie, moi panowie!

Krasnoludy, nic nie odpowiadając, wsiadły na wóz i ruszyły powolutku gościć w dalszą drogę.

– No, to teraz najwyższy czas, by zająć się bydłem – rzucił dziarsko Ongus, gdy tylko podróżnicy się oddalili. – Który chce mieć pierwszy zdrową krowę?

Na te słowa wśród chłopów od razu podniósł się rwetes, każdy chciał przecież odzyskać swoją mlekodajną krasulę.

– Spokojnie, nie wszyscy naraz! – upomniął Ongus. – Będzie trzeba chyba chodzić do każdego po kolei...

Jak postanowił, tak zrobił. Ongus, wraz ze swoim pomocnikiem, Tymonem, chodził do każdego chłopą, u którego krasnoludy zastosowały oracza. Krowy, które otrzymały lekarstwo najwcześniej, wieśniacy od razu wypuścili na pastwisko. Kilka godzin później, gdy słońce zaczęło już zachodzić, Ongus skończył obchód. Wyciąg z ziół przyniósł zamierzony efekt – chłopom udało się wydoić najwcześniej uleczone krowy z dobrym skutkiem. Wszyscy powitali to wydarzenie z ulgą i radością.

Nagle Jeremi odezwał się głośno:

– Słuchajta! – zaczął. – To tera trza nam wypić po kubelku tego mleka, cośmy wydoili!

Chłopi przyjęli ten pomysł z aprobatą.

– Zaraz, moment! – zaoponował Ongus. – Nie zgadzam się, nie można!

– A czemu to? – dopytywał się Jeremi.

– Bo... tego mleka jest za mało! – zaczął się tłumaczyć mag. – A poza tym, przez kilka dni będzie miało jeszcze ohydny, ziołowy posmak, po tym wyciągu.

Tylko Tymon zauważył, że nie był to prawdziwy powód Ongusowej niechęci.

– Może to i prawda... – zadumał się Jeremi. – Trza nam tedy iść wieczerać i świętować do karczmy!

Na tę propozycję zebrani przystali jeszcze chętniej, zwłaszcza Ongus. Ruszyli więc wszyscy do dobrze znanego i powszechnie lubianego budynku.

– Cały ty! – rzekł z uśmiechem Tymon idący u boku Ongusa. – Wieczny piwochle!

– Nienawidzę ciepłego mleka prosto od krowy – odparł mag.

Roześmiali się, po czym weszli do karczmy za chłopami, którzy, ku uciesze Baryły, mieli znów sakwy pełne pieniędzy.

KRZYSZTOF MARTWICKI
godło: „Cośnic”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



KRZYSZTOF MARTWICKI – pracownik firmy fulfilmentowej. Bywa poetą.

DZIENNIK KARŁA, ARTYSTY

(FRAGMENTY)

Nazywałem się Stefan Pycka. Byłem prawdziwą postacią – karłem i aktorem cyrkowym. W latach trzydziestych XX wieku razem z berlińską trupą Schaefers Liliput Theather objechałem niemal całą Europę. Wojnę przeżyłem w Warszawie. A po wojnie? Ten karzeł biegnący po stole króla Władysława Jagiełły w filmie „Krzyżacy” to ja. Umarłem siódmego września 1979 roku i zostałem pochowany na cmentarzu parafialnym w Strzegowie.

Do Schaefers Liliput Theather zaangażowany zostałem w 1932 roku. Wcześniej ciągle byłem głodny i pisywałem dziennik.

W-wa, 23 VII 1929 r.

Jak wygląda mój warszawski dzień? Wychodzę z mieszkania o godzinie dziesiątej rano do „Czechfilmu”, a wracam o siódmej wieczorem. Jest dwugodzinna pora obiadowa, o ile rzecz jasna ktoś może pozwolić sobie na obiad. Minęło już trzy tygodnie mojego próbnego miesiąca, a żadnych próbnych zdjęć do filmu w tym czasie jeszcze nie było. Zaangażowani aktorzy schodzą się codziennie i przesiadują w poczekalni, wyczekując na jakieś zajęcia, a tymczasem nic się nie dzieje, nie ma żadnej akcji. Słyszałem, jak mówiono między sobą, że dyrektor Sergiusz Szyszkow nie ma za co skończyć zaczętego filmu i czeka na jakiegoś finansistę, który wyłożyłby środki na zrealizowanie tego filmu.

Ja oczywiście żyję, jak to mówią, z grosza. W ciągu ostatniego miesiąca wydałem zaledwie trzydzieści złotych, z czego całe cztery złote na płócienne pepegi, bo już nie mogłem chodzić dłużej gołymi palcami po ziemi. W Warszawie jest tak piekielnie gorąco, że asfalt ugina się pod stopami, a osoby cięższe zostawiają ślady, odciski swoich stóp

na ulicy asfaltowej. Co najbardziej mi dokucza, to te gazy spalinowe od przejeżdżających pojazdów mechanicznych. Ich rury wydechowe znajdują się niemal na wysokości mojego nosa.

W-wa, 25 VII 1929 r.

Poprosiłem pana dyrektora Szyszkowa o drobną zaliczkę na poczet przyszłej gaży. Powiedziałem otwarcie, że jestem głodny. Dyrektor Szyszkow rozłożył ręce, że niestety z braku środków nic mi użyczyć nie zdoła. Był przy tym jeden z głównych aktorów „Czechfilmu”, pan Woliński. Widząc moje położenie, zaprosił mnie na kolację do restauracji. Jednocześnie zrobił dyrektorowi uwagę, że niepotrzebnie angażuje tylu ludzi, skoro nie może im wypłacać. *I tego chłopca niepotrzebnie pan angażuje*, wskazał na mnie, *On ma przecież martwą twarz. Nie wiadomo, kiedy się cieszy, a kiedy smuci. Nie ma pan racji, panie Woliński*, odparł dyrektor Szyszkow, *Niech pan weźmie pod uwagę na ten przykład Bustera Keatona. On ma także martwą twarz, a wzbudza wśród publiczności buragany śmiechu*. Nie mogłem się obrazić na pana Wolińskiego, że taką zrobił uwagę na temat mojej fizjonomii, bo nie miałem się z czego cieszyć, ale i nie potrafiłem się smucić. Taką mam naturę, że jestem optymistą i wierzę, że nie może być zawsze tylko źle, że przecież kiedyś będzie lepiej. Umówiliśmy się na godzinę osiemną trzydzieści w restauracji „Kuluarowej”.

Do restauracji dotarłem kwadrans po osiemnastej. Usiadłem przy stoliku i zamówiłem herbatę. Niestety, pan Woliński nie pojawił się. Odczekałem jeszcze kilka minut, wysuplałem parę groszy, zapłaciłem za herbatę i głodny wyszedłem.

Czasem wydaje się, że upokorzeń nie będzie końca. Kiedy wracając do domu, otwierałem ciężkie drzwi, upadłem niefortunnie na cementową posadzkę. W oczach zamigotały mi liczne gwiazdki i poczułem wielki ból w prawej ręce. Przybiegła gruba konsjerżka z pytaniem, czy coś mi się, nie daj Boże, stało. *A stało się, szanowna pani, stało!*, fuknąłem obolały. Konsjerżka pomogła mi wstać i kiedy już powoli wchodziłem po schodach na górę, usłyszałem, jak woła z dołu, że *najmocniej przepraszam, ale z tego wszystkiego zapomniałam...* Ciężkie kroki zaczęły stąpać po schodach, a sekundę potem dołączyło do nich posapywanie. *List jest do pana Stefcia, proszę...*, konsjerżka wyjęła z kieszeni fartucha beżową kopertę. *Po południu posłaniec przyniosł*,

nie chciał powiedzieć, od kogo, pytałam, że dwa razy pytałam, ale on tylko powiedział, żeby wyłącznie do rąk własnych. I teraz oddaję, proszę bardzo, pan pewnie wie od kogo... Na pewno pan wie. Dobranoc, panie Stefciu.

Już na górze zaciekawiony, otworzyłem. Do koperty ktoś wsadził wycinek ze starego numeru „Kuriera Warszawskiego”, opisujący jak to Juliusz Słowacki bawił w książęcych sferach na wielkanocnej dionizji: „Już w pierwszej sali na znakomitych gości czekały trzy ogromne paszety. Gospodarz zdjął czapkę z pierwszego, uwalniając w ten sposób ptaki uwiecznione wewnątrz. Goście zaczęli strzelać do trzepoczącego się pod sufitem ptactwa. W drugim paszecie znajdował się karzeł obwiązany serdelkami, przedstawiający Laokoona z węzami. Wreszcie w ostatnim odnaleziono karlicę, należącą do dworu, skępowaną salcesonami, wystawioną na pożarcie ogromnemu szczupakowi z głową dzika. Karlica grała rolę Andromedy przykutej łańcuchami do skały w ramach smoczego poczęstunku...” Pod spodem czyjaś podłta dłoń dopisała: „I co ty na to, serdelku?”

W-wa, 26 VII 1929 r.

Prawie całą noc nie spałem. Ręka spuchła i dokuczała mocno. A do tego sny mnie prześladowały. Koszmary bezładne, szydercze, pokrętne, pełne dziwacznych twarzy. Ktoś mnie ciągle gdzieś wołał, coś ode mnie chciał. Ktoś kiwał na mnie palcem, żebym za nim szedł, a ja nie mogłem się poruszyć. Czułem się upokorzony i winny. Nagle budziłem się przerażony i zaraz znowu zapadałem w straszną otchłań, a nowy sen był jeszcze gorszy od poprzedniego. Nad ranem poszedłem do kuchni, żeby napić się wody. Nie, to było inaczej – pamiętam, że bardzo chciało mi się pić i dokładnie pamiętam, że wstałem, żeby napić się wody z wiadra stojącego pod oknem w kuchni. Kiedy w ciemności otworzyłem drzwi, serce podskoczyło mi pod gardło i wyraźnie poczułem, jak włosy na mojej głowie podnoszą się i stają dęba. Pod kuchennym oknem, w blasku księżycowym siedział karzeł w błazeńskiej czapce. Oparty plecami o wiadro z wodą, spoglądał w nocne okno. Kiedy mnie usłyszał, odwrócił głowę, a jego pomarszczoną twarz wykrzywił grymas – ni to uśmiech szyderczy, ni to ból zęba. Patrzył na mnie taki wykrzywiony, jakby czekał, że coś powiem albo raczej badał, czy aby na pewno się boję. Nagle szybko wstał, odwrócił się do

mnie tyłem, ściągnął spodnie i wystawiając w moją stronę tłuste pośladki głośno, przeciągle i śmierzdząco pierdnął.

Z samego rana udałem się do przychodni lekarskiej Kasy Chorych, gdzie skierowano mnie na prześwietlenie. Tymczasowo zrobiono mi opatrunek. A potem obłożono mi rękę dwoma łupkami, owinięto bandażem i noszę teraz rękę na temblaku. Jednocześnie ze mną był tam chłopiec ze stłuczoną prawą ręką. Prawdopodobnie po prześwietleniu klisze przez omyłkę zamieniono, bo u mnie orzeczone stłuczenie, a u chłopca złamanie, którego on wcale nie odczuwał.

Ręka boli niemiłosiernie. Doktor dał mi receptę na proszki od bólu, ale takie proszki są drogie, więc tylko chodzę z kąta w kąt i stękam. Nie tylko zresztą ta ręka mi dokucza, w ogóle czuję się źle. Od jakiegoś czasu trapią mnie rozmaite dolegliwości gastryczne, nocami budzi ból głowy i jakieś dziwne poty. A wszystko to pewnie nerwy.

Z tymi bólami poszedłem do pani Dworakowskiej. Na widok tembla i bandażu zrobiła wielkie oczy i powiedziała, że skierowano mnie do złych lekarzy, i żebym się bezzwłocznie udał do doktora Sergiusza Kazanowicza. *To parę kamienic dalej, panie Stefciu, tu przy Złotej, pod numerem dwadzieścia pięć. Kazanowicz to dobry doktor, leczę się u niego już od lat, na pewno pomoże. Zaraz zatelefonuję i umówię pana Stefcia na wizytę.* Nalala mi kompotu truskawkowego i kazała poczekać.

W bramie kamienicy przy Złotej dwadzieścia pięć krępy dozorca rozmawiał z młodym mężczyzną, który niedbale przekładał w dłoniach małą kamerę filmową. *No co pan powie, panie Mundku, koniec świata!*, dozorca zadarł czapkę i podrapał się w głowę. *Młodzieniec szanowny, że tak powiem, do kogo?*, zwrócił się do mnie. *Aaa, jeśli do doktora Kazanowicza, proszę pana, to schodami na samą górę i drzwi po lewo*, wyjaśnił pokazując głową bliżej nieokreślone piętro. *Tylko należy kilka razy mocno zastukać, bo pan doktor lubi wysiadywać aż w tym ostatnim pokoju.* Tymczasem mężczyzna z kamerą oddalił się w głąb bramy. *Panie Mundku!*, zawołał za nim dozorca, *Jak pan będzie coś więcej wiedział, to biegusiem daj pan znać! Masz pan to u mnie jak w banku, panie Popiołek!*, filmowiec wesoło zasalutował i zniknął w drzwiach. *Na samą górę, jak już nadmienilem, i mocno pukać*, powtórzył dozorca. *No chyba, żeby pan doktor w ogóle, że tak się ośmielę, nie otworzył, to należy z powrotem się do mnie zwrócić. I wtenczas się zobaczy, co dalej*, dozorca zagarnął miotłą niewidzialne

śmiec. *Bo to, że jest u siebie, to ani chybi na pewno, tylko czy tak od razu przyjmie na wizytę, to Bóg raczy wiedzieć. Kawaler szanowny już idzie, bo ja tu mam robotę nieprzerobioną, że koniec świata!* I zaszmiał miotłą na do widzenia.

Drzwi otworzyły się od razu. Pojawił się w nich doktor Kazanowicz. Trzydziestokilkuletni, o wyrazistych, ciemnych oczach. Ubrany był w jasny garnitur z kamizelką, muszkę, a w rękę trzymał rękawiczki i parasol, bo najwyraźniej właśnie miał gdzieś wychodzić. Usłyszawszy, że od pani Dworakowskiej, dyskretnie spojrział na zegarek i kazał przejść dalej, do gabinetu, i poczekać. W przestronnym i jasnym mieszkaniu pachniało zjedzonym właśnie obiadem i pastą do podłogi.

Rozglądałem się ciekawie po gabinecie doktora. Na biurku pośród sterty grubych książek stała ludzka czaszka. Pierwszy raz w życiu widziałem prawdziwą ludzką czaszkę. Po chwili pojawił się doktor. Na marynarkę narzucony miał śnieżnobiały kitel. Uważnie mnie wysłuchał, a potem delikatnie, ale dokładnie obmacał moją zboląłą rękę, osłuchał serce i płuca, zmarszczył czoło i coś skrzętnie zanotował w wielkim kajecie leżącym obok czaszki. *Pewnie powinienem teraz powiedzieć, że do wesela się zagoi...*, doktor zrobił pauzę, a potem głęboko spojrział mi w oczy. *Ale obaj dobrze wiemy*, powiedział ciepłym głosem, *że owszem, ręka się zrośnie i nie będzie śladu, serce jednak, no cóż...* tu znowu się zatrzymał, szukając w myślach odpowiednich słów. *Jest pan zmęczony, panie Stefanie, nerwy ma pan jak postronki, napięte, i stąd to wszystko. Odpocząć wypada, do Młocin nad Wisłę jechać, wyłożyć się leniwie na piasku, zapomnieć. Niech życie sobie popłynie samo tam, gdzie chce, jak ten nurt rzeczny. Ot, i cała medycyna*, doktor podniósł się i otworzył przeszkloną szafę. Wyjął z niej niewielkie, prostokątne pudełeczko z kogutkiem. *Tu są proszki na ból ręki. Zapłaci kawaler jak znajdzie posadę. Na te inne bóle sam nie znam leku*, bezradnie rozłożył ręce. *Zresztą, o ile wiem, jeszcze nikt go nie znalazł. Każdy się czegoś boi, i to bardzo...*

Doktor odprowadził mnie do drzwi i grzecznie je przede mną otworzył. Potem uściśnął moją zdrową dłoń i na odchodnym serdecznie pożegnał. *I proszę dbać o siebie, panie Stefcu, bo z marzeń pozostaną nici*, schodziła ze mną po schodach jego troskliwa przestroga.

Kiedy znalazłem się na podwórku kamienicy, poczułem się zdrowszy. Ręka mniej bolała i całe ciało wydawało mi się lżejsze i młod-

sze. Udało mi się nawet uśmiechnąć do pana dozorczy, który wsparty o swoją miotłę rozmawiał z jakąś pannicą ze złotymi warkoczami. W bramie usłyszałem jeszcze jego roześmiane: *co też panienka Basia opowiada, koniec świata!*

Dziarsko uychodząc na ulicę, omal nie zderzyłem się z wysokim, ciemnowłosym młodzieńcem. Miał uroczysty wygląd typu rendez-vous, w garści bukiet róż, a pod pachą cienką książeczkę, wyglądającą jak tomik wierszy. Niezbicie podobny był do przedwcześnie zmarłego aktora scen warszawskich, Krzysztofa Kołbasiuka. Stałem jak osłupiały. Czyżby duch w biały dzień i to w śródmieściu Warszawy?! Ukradkiem zajrzałem do bramy. Młodzieniec całował w rękę pannicę ze złotymi warkoczami, i wręczał jej róże. Oboje byli tacy piękni, jakby nie z tego świata. Trzymając się za ręce, powoli odeszli w głąb podwórza. Duchy nie wręczają róż, pomyślałem, a więc to żywy człowiek i to w dodatku zakochany. Popatrzyłem jeszcze chwilę na sylwetki tych obojga, znikających w szarości kamienicy przy Złotej dwadzieścia pięć, i odszedłem. Ale myśleć o nich nie przestałem. Gdzieś na rogu Marszałkowskiej w mojej głowie pojawiła się uparta i dziwna myśl, że to wszystko już gdzieś kiedyś widziałem, i że to się tak właśnie, a nie inaczej rozegrało. Ta kamienica, zakochani, róże i ja, ich przypadkowy świadek. Mógłbym przysiąc, że to już kiedyś miało miejsce, dokładnie tak samo, co do joty. Machnąłem ręką do swych własnych myśli, że to przecież niemożliwe. *Możliwe!*, wykrzyknie za kilka lat Klara, *Miałeś, Steffi, déjà vu, i tyle. Tych dwoje naprawdę kiedyś się spotkało i ktoś ich widział, a potem ty to zobaczyłeś, tylko jego oczami. Miłość jest wieczna, zmieniają się tylko widzowie. Jeszcze nie rozumiesz?*, zapyta widząc, że kręcę głową. *Patrz sercem, to zrozumiesz.* Pomyślę sobie wtedy, że jest egzaltowana i zbyt romantyczna. Patrzeć sercem. Jak można patrzeć sercem, skoro serce to tylko ślepy mięsień? Sporo wody będzie musiało upłynąć w Wiśle i Dunaju, kiedy pewnego dnia przyznam Klarze rację. Ale wtedy będzie za późno – już jej przy mnie nie będzie.

Po wizycie u doktora Kazanowicza byłem w dobrym nastroju, więc postanowiłem, zgodnie z jego zaleceniami, zadbać o siebie. Mając już nowy garnitur w kolorze granatowym w paski, miałem zamiar kupić sobie palto. Może coś gotowego dostanę na spłaty w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich?, pomyślałem. Miałem w kieszeni tylko parę

groszy, ale coś szkodziło zasięgnąć języka co do kroju, koloru i spląt? I niewiele się zastanawiając, zawróciłem w stronę Brackiej.

U Braci Jabłkowskich był handlowy rwetes, zapach sukna, kolejka kobiet do przymierzalni i palące problemy odzieżowe: *doradź, Żabciu, apaszka czy krawat?, weź, Guciu, ten śliczny, adamaszkowy; prześwi-tuje jednak ten muslin, widać mi stanik!, Łodzia, niech się wstydzi ten, kto widzi!* Tuż obok szpakowaty krawiec głośno instruował jakiegoś zasobnego jegomościa, że *obiwie winno być odpowiednio dobrane do garnituru. Do jasnych garniturów, jak łaskawego pana właśnie, tylko żółte, brąz lub „bawana”, półbuciki z chromu lub „box calfu” na grubej podeszwie o szerokim sztyprze. Odruchowo spojrzałem na swoje płó-cienne pepegi za cztery złote. Cóż, jaki pan, taki kram.*

Na miarę trzeba szyć dla pana, westchnął młody subiekt i sięgnął po centymetr. Kazał mi stanąć na krześle, *tak będzie wygodniej, praw-da?,* usiłował się uśmiechnąć, i zaczął brać miarę. *Bo widzi pan, szyte na miarę, naprawdę leży,* mówił mierząc. *Zechce pan się odwrócić, dziękuję. A gotowe, to zawsze... Palteczko będzie trzy czwarte, praw-da? Tuż za kolanka? Tak sądziłem. Palto gotowe to, proszę pana, jak obiad w taniej jatce, a szyte na miarę z towaru własnego czy powierzono-go, to... jak Wigilia u mamy! Dziękuję już panu.*

[...]

W-wa, 16 I 1931 r.

W ubiegłym tygodniu występowały w kinoteatrze „Palladium” na Chmielnej dwie małe tancerki, mojego wzrostu. Ktoś był na spektaklu i szczerze polecił mi go obejrzeć. Byłem ogromnie ciekaw, co też te aktoreczki robią na scenie. Okazało się, że tańczą, i to paryskiego kankana. Mają już po dwadzieścia lat, co najmniej. Po spektaklu poszedłem za kulisy w celu zapoznawczym. Jedna ma na imię Klara i jest z Węgier. Ma takie piękne, piwne oczy. Druga przedstawiła się jako Antonina. *Ale dla kawalera mogę być Tosia. Tosia z... na przykład z Krakowa.* Jest ruda i ma na twarzy, dłoniach i ramionach śmiesz-ne piegi. Nazwałem ją sobie Panna w Kropki. Panny pomiędzy sobą rozmawiają po niemiecku. Obydwie są radosne i ciągle się śmieją. Zaprosiły mnie do Grand Hotelu Garni, gdzie mieszkają, na wieczorną szklankę lemoniady. *Jeśli, rzecz jasna, ma pan ochotę,* panna Kłara zatrzepotała rękami. *O tak! Lemoniada w hotelu!,* panna Tosia aż

klasnęła w dłonie i obydwie wybuchnęły śmiechem. Nie potrafiłem odmówić.

Ulica Chmielna zdążyła już się wypełnić paniami lekkich obyczajów. Skąpo ubrane, zmarznięte, na przekór swojej profesji, chowały się w bramach kamienic. Niektóre wytykały nas palcami, ordynarnie się śmiejąc. *Patrzcie, idą krasnoludki! Hej, mały, chodź tu, nie pożałujesz! Ale on musi być słodki, ten knypuś, jak dziecko!* Na szczęście z „Palladium” nie jest daleko do hotelu tancerek. Przyśpieszyliśmy więc kroku i już w kilka minut byliśmy na miejscu. Staruszek portier z tajemniczym uśmiechem wręczył nam klucz do pokoju numer osiem. Wchodząc po schodach czułem na plecach jego spojrzenie.

W pokoju było ciemnawo. Całe wnętrze skąpo rozświetlał jeden jedyny krzywo przytwierdzony do ściany elektryczny kandelabr. Panna Klara poprosiła, żebym usiadł, a potem rozlała lemoniadę do grubo rżniętych szklanek. Zaczęliśmy gawędzić o przedstawieniu, w którym właśnie występują, o moich planach scenicznych i o niełatwej doli takich małych ludzi jak my. Rozmawialiśmy już dobry kwadrans, kiedy nagle panna Tosia przyłożyła palec do ust, cśśś..., i lękliwie rozejrzała się po pokoju. *Nie boi się pan?*, zapytała cicho. Zdziwiony, zaprzeczyłem. Wtedy wyglądająca właśnie przez okno panna Klara odwróciła się. *To było tutaj, w tym pokoju, to jest to okno*, powiedziała tajemniczo i usiadła obok panny Tosi. *I pomyśleć, że była jeszcze taka młoda...*, westchnęła panna Tosia. *O kim panny opowiadają?*, zapytałem. Spojrzały po sobie, a potem ich wzrok powoli powędrował w moim kierunku. *To pan... nie wie?*, zapytała panna Klara. *Nie wie pan, gdzie jest?*, jej piękne, piwne oczy zrobiły się jeszcze większe niż przedtem. *Ach tak, wiem! No jasne!*, powiedziałem, *Otóż, jestem w Grand Hotelu Garni przy Chmielnej pięć z dwiema uroczymi istotami, które za wszelką cenę mają zamiar mnie nastraszyć*. Usiłowałem się być szarmancki i dowcipny. *Ale ja się nic a nic nie boję!*, rozłożyłem ręce i uśmiechałem się. Panny znowu popatrzyły na siebie. Obie miały poważne miny. *No cóż*, panna Tosia pokiwała głową, *w takim razie jest kawaler bardzo odważnym i szczęśliwym człowiekiem. Tu niewiele osób się nie boi. My na przykład śpimy w jednym łóżku, żeby w razie... Żeby dodać sobie otuchy, prawda Klara? Widzę, że kawaler się uśmiecha pod wąsem*, panna Klara spojrzała na mnie z wyrzutem. *A to nieładnie tak nie wierzyć, doprawdy... Ależ*, drogie panny, zachnąłem się, byłbym

wdzięczny za jakieś wyjaśnienie – co w istocie tu się dzieje i o co chodzi? Jeśli mam się bać, to chciałbym przynajmniej wiedzieć, czego. Nie, nie, panie Stefanie, stanowczo zaprzeczyła panna Tosia, Skoro kawaler z gruntu nie wierzy w to, co mówimy, to niech jeszcze poczeka. W jej głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. Wyjęła z torebki paczkę „Płaskich” i zapaliła. *Późno już...,* panna Klara skryła dłonią ziewnięcie, *Jutro z samego rana mamy próby w „Palladium”.* Cóż, zrozumiałem, że nasza wieczorna lemoniada właśnie została dopita. Umówiliśmy się, że następnym razem, dokończymy naszą rozmowę, a wtedy, jak się wyraziła panna Klara, *być może dowiem się więcej.* Pożegnałem tajemnicze panny i opuściłem pokój numer osiem.

Już na dole, przechodząc obok portiera, odniosłem wrażenie, jakby chciał mnie o coś zapytać. Jego grzeczne *dobranoc panu* zakończone było taką otwartą głoską, domagającą się dalszego ciągu. A może tylko tak mi się wydawało?

Tamtej nocy nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem o dwóch pannach i o hotelowej zagadce. Chciały mnie nastraszyć, to pewne. Wymyśliły sobie, że w ich hotelowym pokoju stało się kiedyś coś strasznego i będzie można złapać w zasadzkę strachu jakiegoś naiwnego młodzieńca. Odegrały przede mną niezły spektakl, małe artystki, przyznaję. Nawet przez chwilę skłonny byłem im uwierzyć. Te tajemnicze miny, teatralnie niedokończone zdania, urwane w połowie westchnienia. Aura niemalże kryminalna. O mały figiel, a z szafy wypadłby zimny trup! Pewnie po moim wyjściu chichotom nie było końca. Urocze są te tancerczki!

Rozmyślałem też o mojej siostrzyczce Anielci. Że gdybym tylko mógł, to postarałbym się ją oddać do szkoły baletowej. Żeby się kształciła i żeby mogła w przyszłości wyrwać się ze Strzegowa w większy, lepszy świat. Dobrze wiedziałem, że poza mną nikt w domu nie jest w stanie pomyśleć o jaśniejszej przyszłości dla tego dziecka. Kalectwo, na które los skazał ją i mnie, to jeszcze nie powód, żeby uciekać i kryć się przed ludźmi. Dość wstydu i strachu się najadłem już w życiu, żeby teraz pozwolić, by na moich oczach także Anielka wzrastała, bojąc się i chowając przed ludźmi po kątach. Postanowiłem więc działać.

Nazajutrz rano otrzymałem pachnący fiołkowo bilecik wizytowy z Grand Hotelu Garni. Ktoś na dole starannie wykaligrafował: „w sobotę o ósmej wieczór?” I tylko tyle. Potraktowałem to jako tajemnicze

zaproszenie od dwóch panien artystek. A więc ciąg dalszy spektaklu nastąpi, pomyślałem. Z całą pewnością znowu będę musiał się przestraszyć, uśmiechnąłem się w duchu i już zacząłem się cieszyć na to spotkanie.

Czas do soboty mijał powoli. Postanowiłem go dobrze spożytkować i zasięgnąć języka co do ewentualnej nauki tańca dla Anielki. Udałem się więc z prośbą do pana Zasiedzkiego, by mnie skontaktował ze swym znajomym baletmistrzem. Był to niejaki Anzelm, którego nazwiska nie znałem. Wiedziałem jedynie, że prowadzi własną szkołę tańca, bodajże na Smolnej i, jak się kiedyś wyraził pan Zasiedzki, lubi chłopców. *Anzelm, zwany w pewnych kręgach Azem...*, Zasiedzki uśmiechnął się pikantnie, odstawił kieliszek i podniósł słuchawkę telefonu. *Zaraz zadzwonię i wszystkiego się dowiemy. Tymczasem proszę sobie zaserwować, co pan uważa, panie Stefciu*, wskazał na stolik wypełniony butelkami różnokolorowych alkoholi. Grzecznie podziękowałem. *Ależ, ależ, panie Stefanie wielce szanowny, zbyt zimno dziś na świecie, żeby odmawiać!*, fuknął dobrotliwie, mrugnął okiem i wybrał numer. *Witaj, Anzelmie!!*, huknął do słuchawki. *Jak to, kto mówi?... Tutaj Teoś. Jaki Teoś? Zasiedzki, od urodzenia. No właśnie, ten sam. Tyś pewnie wiankiem muz otoczony, Anzelmie złotonogi, a ja do ciebie w sprawie dość prozaicznej. Otóż, jest u mnie właśnie jegomość wielkiej zacności, który radby poznać twą bezcenną opinię względem nauki tańca dla swej siostry małoletniej... Proszę? Mam się jaśniej wyrażać, bo nie masz czasu? Ależ, Anzelmie roztańczony, przecież ja się dość jasno wyrażam i węzłowato. Chodzi o kurs tańca dla małej dziewczynki. Kiedy, za ile, i dlaczego tak drogo?... Słucham? Ile ma lat?...*, Zasiedzki spojrzał na mnie pytająco. Pokazałem na palcach, że siedem. *Siedem, łaskawco... Tak. Aha, rozumiem. Za rok. Jak skończy osiem, to można zaczynać. Tak. Dziękuję... Dziękuję ci, o przestawny wodzireju stolicy, bywaj zdrów. Do wi... do widzenia i adieu*, pan Zasiedzki zakończył konwersację i słuchawka telefonu powędrowała na widelki. *Jak się pan zapewne zorientował, panie Stefciu, siostrzyczkę będzie można uczyć tańczyć od ósmej wiosny życia. A więc już za rok. A ten rok to, jak mawiają, nawet na gwoździu przesiedzi. A zatem, szanowny panie Stefciu, ażeby ten czas jeszcze bardziej skrócić, napijmy się...*

Postanowiłem napisać o moich planach wobec Anielki w liście do domu. Po dwóch dniach Wanda odpisała, że Anielcia wielce zado-

wolona z mojego listu. „Chodzi cała napuszczona i ciągle powtarza, że pojedzie do Warszawy uczyć się tańczyć. Będzie tańczyć walce i polki z przystojnymi oficerami. Obiecuje przy tym mamie różności. Na przykład, że jak już będzie tańczyć w Warszawie, to zaraz sto złotych przysła. Każę pisać, że cię mocno ściska i całuje.

Mamie się śniło, że już wziąłeś Anielcię do siebie. Pojechała, żeby ją zabrać z powrotem do domu, ale nie mogła was znaleźć. Długo błądziła pustymi ulicami, nie mogąc trafić pod wskazany adres. Nawet nie miała kogo zapytać, bo wszystkie bramy były zaryglowane na cztery spusty. Potem wszędzie zaległa gęsta, ślepa mgła. Mama usiadła na zimnym trotuarze i zaczęła płakać. Siedziała tak szlochając, aż nagle poczuła, że nie jest sama. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą jasną postać. To była młoda kobieta w błękitnej sukience z lilią w rękę. Patrzyła na mamę i czule się uśmiechała. Mama otarła łzy. Powiedz mi, gdzie są moje dzieci, poprosiła. Wtedy postać pokazała palcem na swoje serce i szepnęła: tu. Strasznie mamę ten sen zmęczył”.

W-wa, 25 I 1931 r.

W sobotnie popołudnie nie mogłem usiedzieć w miejscu. Czas do wieczora dłużył mi się niemiłosiernie. Już od piątej siedziałem kompletnie ubrany do wyjścia, co i raz spoglądając na zegar, którego wskazówki, jak się wydawało, stały w miejscu. Za oknem ociepliło się i padał gęsty śnieg. Próbowałem zająć myśli nauką na pamięć rólki kaprała, którego mam wkrótce grać w Jabłonie, potem pisaniem listu do domu, ale wszystko na nic. W mojej głowie był tylko wieczór w Hotelu Garni i oczy panny Klary. Czas do siódmej spełził mi na nerwowym poprawianiu spinek u mankietów i patrzeniu na zegar. Kwadrans po siódmej wyruszyłem na Chmielną.

Ażeby się pannom tancerkom godnie odwzajemnić, postanowiłem po drodze nabyć lemoniadę. W sklepiu kolonialnym na Tamce wybrałem malinową Haberbuscha & Schiele, warszawską i wyborną. W świetle latarni jej porcelanowy, emaliowany kapsel sprężynowy lśnił księżycowo. Brnąc po kostki w świeżym śniegu, dotarłem na Chmielną tuż przed ósmą. Okna hotelowej jadalni na parterze były rozświetlone, wewnątrz grała orkiestra, pary tańczyły modne tango „Adieu, kochanko ma”. Karnawał. Ostukałem buty ze śniegu i nacisnąłem klamkę.

Staruszek portier, ten sam co poprzednim razem, usłyszawszy, że do panien artystek spod ósemki, rozłożył ręce. *Niestety, kawaler się*

spóźnił. Już wyjechały. I widząc zdziwienie na mojej twarzy, dodał, że tuż po obiedzie opróżniły pokój i prosiły zawołać dorożkę na Dworzec Wileński. A nie zostawiły dla mnie żadnej wiadomości?, spytałem. Staruszek milcząco zaprzeczył. *Nic, żadnej karteczki, bileciku?*, dopytywałem, *Nazywam się Pycka, Stefan Pycka*. Staruszek znowu bezradnie rozłożył ręce, *bardzo mi przykro, ale niestety, nie*. Stałem jak uderzony w głowę. Nie ma ich... Pannice wystawiły mnie do wiatru! I oto cała zagadka Hotelu Garni! Ale wstyd! Iść, uciec stąd i to jak najszybciej, i jak najdalej! Cały wzburzony, wymamrotałem portierowi skąpe „dobranoc” i szybkim krokiem ruszyłem w stronę drzwi. Cofnąłem się jednak. *Jeszcze słówko, jeśli łaska*, zwróciłem się do staruszka. *Proszę mi powiedzieć, ale całkiem szczerze, czy tam się kiedyś wydarzyło coś strasznego, w tym pokoju, gdzie mieszkały panny? W ósemce?*, staruszek podniósł palec, pokazując piętra wyżej. *W ósemce. Tam właśnie*, przytaknąłem. *No cóż...*, twarz staruszka jakby stężała, *To jest hotel, szanowny kawalerze, tu się tyle ludzi przewija*, zaczął wymijająco. *Dobrze, powiem, ale tylko do pańskiej wiadomości. Rozumie kawaler, prawda?...* Staruszek rozejrzał się w lewo i w prawo i zniżył głos. *W ósemce spokój, za to tu, na parterze...*, staruszek tylko machnął ręką. *Na jesieni pod trójką palnął sobie w łeb jakiś przedsiębiorca z Ameryki Hiszpańskiej. Podobno spadły ceny tranu, więc on za rewolwer, puk, i po gościu. I na dokładkę na moim dyżurze, wyobrażasz pan sobie?! Jimenez się nazywał, bodaj, czy Jorge. A tam...*, staruszek spojrzał w sufit i nagle urwał. *A czemu kawaler tak dopytuje? Ja za dużo mówić nie mogę, bo gości wystraszę*. Wyjaśniłem, że panny bardzo się bały, że pewnie jakiś duch czy głosy. Staruszek spojrzał na mnie, ale inaczej niż przedtem. Nagle w jego oczach odmalował się prawdziwy smutek. Swoimi pytaniami musiałem dotknąć jakiegoś bolesnego miejsca. Staruszek poprawił druciane okulary na nosie i wziął głęboki wdech. *Swego czasu pod tą feralną ósemką mieszkała, proszę kawalera, artystka. Aktorka i śpiewaczka w jednej osobie. Nazywała się Małgorzata Scharf. Przez es i cecha pisane, tak z niemiecka. Teatr jej wynajmował ten pokój, więc nawet miesiąc potrafiła przemieszkać, i dwa, zależało. Piękną osobą była panna Małgorzata. Powodzenie miała u płci przeciwnej. Nawet potem niektórzy mówili, że to przez jakiegoś absztyfikanta się to stało, że niby zawód miłosny, ale tak naprawdę, to przez chorobę. Dopiero po wszystkim okazało się, że zaniemogła na białaczkę*.

Lekarze dawali jej najwyżej pół roku, góra rok. Ona sama nikomu ani słowa, żeby nikogo nie martwić. Bo wszyscy ją bardzo lubili, ba, pokochali wręcz... Nagle zadzwonił telefon, staruszek przeprosił, odebrał, zapewnił, że owszem, rezerwacja na nazwisko Kwasiborski Ignacy jest zrobiona, podziękował, życzył dobrej nocy i odłożył słuchawkę. No więc, wracając... Taka była dobra, panna Małgosia, że do rany przyłożyła. Jak kiedy komuś coś brakło, grosz pożyczyć, sprawę w urzędzie załatwić, to ona pierusza. Zresztą, znała ludzi, miała możliwości. A jak już nic nie mogła zrobić, to chociaż śpiewała. Zbieraliśmy się gdzieś w kąciuku, my z portierni, dziewczyny pokojowe i te z kuchni, a ona wyśpiewywała dla nas i od razu łżej się na sercu robiło. Wszyscyśmy ją pokochali. I nagle z dnia na dzień strasznie posmutniała, snuła się tylko korytarzami, popłakiwała, nie jadła. Nic mi nie jest, przejdzie, machała tylko ręką, jak się ktoś ośmielił zapytać, co się z panną Małgorzatką dzieje. I nawet wtedy starała się uśmiechać. A potem przyszedł ten fatalny dzień. Czerwiec, gorąco, wszędzie okna pootwierane. Nagle ten krzyk uniebogłósy z góry, a potem głucho uderzenie w ziemię i ta cisza śmiertelna. Pierwszy dobiegłem, ale to już trup był na miejscu..., staruszek urwał, wyjął z kieszeni chusteczkę. Najmocniej kawalera przepraszam..., i otarł łzę. Bo widzi szanowny kawaler, z tym zabijaniem się to jest tak, że albo się żałuje, albo nie. Ten Juan, dajmy na to, o którym przed chwilą, to krzyżyk mu na drogę i adijos kamarades, ani on mnie, za przeproszeniem, ziębił, ani parzył, prawda? Ale ona, Małgorzatka nasza, mogła jeszczeżyć, mimo wszystko. Mogła żyć... Ale żeby teraz miała straszyć w ósemce, to pierwsze słyszę. Przecież takie dobre dusze nie potrafią straszyć.

Pożegnałem staruszkę portiera i nic już nie rozumiejąc, ruszyłem w drogę powrotną do domu. Wystrychnięty na dudka, smutnie powlócząc nogami, przemierzałem zimowe ulice, żeby wrócić do pustego pokoju. Pewnie gdybym teraz mógł porozmawiać z panną Klarą, pomimo że mnie zraniła swym dziwnym zniknięciem, powiedziałbym jej, że Warszawa jest pusta bez ciebie...

W-wa, 31 I 1931 r.

Stale i wciąż gonię po mieście, poszukując pracy. Rozmawiałem z kilku dyrektorami kinoteatrów. Zawsze jednak pada pytanie, czy występowałem już dla dorosłych. A ja, jak dotąd, grałem tylko dla

dzieci. Należę do Związku Artystów Scenicznych i Filmowych, gdzie złożyłem swoje fotografie. Nawet w przeszłą niedzielę dano mi szansę na tak zwany debiut – występowałem na scenie. Otrzymałem za to dziesięć złotych, i to wszystko. Mnie potrzeba stałej pracy artystycznej, nie dorywczej.

W-wa, 2 II 1931 r.

Wreszcie jakiś mały przełom. W przyszłą niedzielę i poniedziałek wyjeżdżam do Jabłonny na występy. Mój partner jest wysoki i gra rolę szeregowca, podczas gdy ja, jako kapral, go musztruję. Jest to tak zwany skecz. Tylko mam kłopot z kostiumem, którego wypożyczenie kosztuje jednorazowo trzy złote. No i trudny jest dobór odpowiedniego do mojego wzrostu.

W-wa, 10 II 1931 r.

W Jabłonninie powiodło się nam dobrze. Publiczność była zadowolona i obecnie występujemy w Pruszkowie pod Warszawą. Zaplanowane są cztery występy. Tym razem będzie inny skecz, ale też bardzo komiczny i prócz tego spróbuje śpiewać kuplety. Muszę przyznać, że w Pruszkowie nasz numer bardzo się podobał. Na sali był nieustanny śmiech, a na koniec niemiłkające brawa.

[...]

W-wa, 22 IV 1931 r.

Spotkałem się ze znajomym, panem Traczewskim, który obiecał mi pomóc przy staraniu się o obiady w jadalni dla inteligencji niepracującej. Od kilku dni nie jadam już obiadów u pani P., za które liczyła mi po trzydzieści złotych miesięcznie. Pan Traczewski wyłożył mi dokładnie, jakie dokumenty mam złożyć w magistracie, by przyznano mi obiady.

W-wa, 25 IV 1931 r.

Złożyłem dokumenty o przyznanie mi tych biednych posiłków w jadalni i mi od ręki przyznano. Nie wiem, cieszyć się czy płakać.

W-wa, 8 V 1931 r.

Chwilowo biorę udział w występach w teatrze „Mignon”, ale te występy już niedługo się skończą, bo jest zbyt gorąco i każdy woli iść do parku na spacer.

Pani P. wypowiedziała mi mieszkanie w dniu trzydziestym kwietnia. Nie wiem, co właściwie mam zrobić – wrócić do Strzegowa i wziąć się za robotę koszykarską? Tu nie mam szans na poważniejszy występ w teatrze z powodu braku smokingu. Każdy potencjalny chlebobawca najpierw pyta, czy mam smoking. I usłyszawszy, że niestety nie, od razu ucina dalszą rozmowę. Kto nie ma, to zabiorą mu nawet to, co ma, czyli okruczeństwo nadziei. Gorzka ewangelia, ale jakże prawdziwa.

W-wa, 15 V 1931 r.

Zacząłem po raz pierwszy występować w Warszawie dla dorosłej publiczności. Spektakle idą w małym teatrze „Mignon” przy ulicy Marszałkowskiej 81b. Jestem konferansjerem, czyli zapowiadającym występujących artystów scenicznych. Po kilku dniach występów przyszedł do teatru magistracki urzędnik z Sekcji Widowiskowej i po przedstawieniu zażądał, abym się stawiał następnego dnia u niego w biurze. Tam dopiero miałem posłuchanie! Że artysta sceniczny powinien występować we fraku albo w smokingu! Że niedopuszczalny jest zwyczajny garnitur ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami! I że skoro nie posiadam ani fraka, ani smokingu, to w żadnym wypadku nie wolno mi występować w Warszawie!! *To jest niekompletny ubiór. Dla mnie to jest pan goły, panie Pytka, golusieniki!!!*, urzędnik aż zczzerwieniał ze złości. *P y c k a. Nazywam się Stefan P y c k a, proszę łaskawego pana*, ośmieliłem się poprawić pana urzędnika.

W-wa, 20 V 1931 r.

Dziś po spektaklu przyniesiono mi do garderoby kopertę. Było w niej wypowiedzenie i banknot dziesięciozłotowy. Niezbyt zaskoczony, schowałem kopertę do kieszeni i popatrzyłem na moich kolegów scenicznych, aktorów trzeciologowych. Podstarzali, pochyleni, zmęczonymi gestami zdejmujący peruki, ścierający teatralne szminki i pot z czoł. Tacy szarzy, wypaleni biedą i zniechęceniem. Żebrzący o byle epizody, żeby związać koniec z końcem. Tak, ludzie szarzeją od środka. Pierwszemu z brzoza uściśnąłem rękę i, adieu, bez żalu zbiegłem schodami na dół, do wyjścia, na wolność. Wielki mi teatr „Mignon”. Rewietka bulwarowa i to wszystko!

W-wa, 21 V 1931 r.

Zmieniłem mieszkanie na lepsze i chociaż to mnie pociesza, że mam się gdzie skryć ze swymi zgryzotami. Przy ulicy Nowolipie mam

oddzielny pokój przy rodzinie państwa Goryszewskich. Pani gospodyni jest osobą ząną – przyjął mnie pod swój dach bez zaliczki i o nic nie pytając.

Jedynym moim meblem w pokoju jest na razie łóżko polowe, które musiałem kupić po wyprowadzeniu się od państwa Potrów. Może w nowym mieszkaniu będę miał lepsze szczęście?

W-wa, 23 V 1931 r.

Jadłodajnia dla inteligencji niepracującej „Emaus” mieści się niedaleko mojego nowego mieszkania. Dwie przecznice dalej w stronę Kiercelaka. Na obiad jest zupa, najczęściej pomidorowa albo kartoflanka i dwie kromki jasnego chleba, na drugie danie – kasza jaglana, okraszona sosem mięsnym, a w piątki kluski z białym serem. Do tego kompot truskawkowy. W niedzielę bywa deser. Wśród konsumentów – rozbitekowie z upadłych gazet, rozwiązanych trup, niedoszli autorzy wiekopomnych dzieł epickich, wszelkiej maści niedojdy, istoty pokrzywdzone przez wszystkie kolejne rządy, kryzys światowy, chlebowców, przez krytyków literackich, cyklistów, los, historię, geopolitykę, samych siebie i co tam jeszcze kto zechce. Jak dotąd, nikt się nie poznał na ich talencie zaiste niebywałem i teraz oni – wieszczowie, lirnicy, kasandry, wernyhory, stańczyki, reytany – łaskawie zstępują koło południa ze swych pokruszonych cokołów, żeby zaszczyścić swą obecnością ten darmowy padół kartoflany. A kiedy już nasycą nadwątlone permanentnym natchnieniem i spirytualiami członki, wracają dumni do siebie, by przydać światu smaku i aromatu swą leniwą drzemką aż do wieczora. I tak już od lat.

Jadam zwykle przy jednym stole z szylkretowymi Okularami, które mają wszystko za złe Witosowi, Mościckiemu i historii, upudrowanym Sopranem w kapeluszu z wielkim rondem i różą, który owszem, śpiewałby w operetce, ale na litość Boską, nie za taką gaź!, i z Aktówką ze świńskiej skóry, która to nosiła do przedwcześnie rozwiązanej redakcji takie artykuły, takie reportaże, takie recenzje, że na sam ich widok, proszę sobie wyobrazić, spadano tam z krzesel! Od czasu do czasu dosiadają się do nas: para Balerin, Batuta i Smyczek. Całe trio powodowało swego czasu burzę braw w Filharmonii Narodowej, ale od kiedy Filharmonia zaczęła tak niezdolnie fałszować, w złym smaku jest, by tracić dla niej bezcenny czas...

Jedząc, rozmawiamy niewiele, a jeśli już, to jest to nieznosząca sprzeciwu wymiana monologów. *Będzie wojna!*, szylkretowe Okulary nie mają cienia wątpliwości, *Taki układ sił w Europie długo nie wytrzyma. Włoski duce, pożoga bolszewicka, sanacja. Niewyobrażalne, prawda?... A Mablera pan zna?*, Batuta nachyla się z ustami pełnymi kaszy, *Gustaw Mabler. Nieważne, że już nie żyje. Trwa w uszach na wieki wieków i amen. Tak, w tym kierunku pójdzie kompozytura! Przepraszam, jeśli kawalera ten tego tą kaszą... Zaraz zetnę. O, nie, nigdy, powiadam!*, Sopran nie wytrzymuje, „*Aria Królowej Nocy*” śpiewana do kotleta w „*Ziemiańskiej*”?! I to za dwadzieścia złotych?! Co by na to powiedział Wolfgang Amadeusz?! Za pięćdziesiąt, za sto, to rozumiem, ale za dwie dyszki? Nigdy!..., i zaczyna śpiewać na całe gardło: „*Der Hölle Rache kocht in meinem Herzen*”!!! *Prawda jest po stronie tych, którzy milczą, proszę pana*, w głosie Aktówki słychać patetyczną nutę, *A więc, pst, i milczę... Ale w jakim stylu! To ja jej na to, że...*, para Balerin po raz trzeci opowiada sprzeczkę z domagającą się czynszu właścicielką, *ja jej na to, że z całą pewnością ma pani rację, szanowna pani Pokiełbasińska, tylko ja o tym nic nie wiem. Celna riposta, nieprawdaż?*

Zazwyczaj się nie odzywam. Siedzę, jem, a jak skończę, biorę talerze, mówię wszystkim do widzenia i grzecznie odnoszę talerze do okienka. Tylko raz pozwoliłem sobie mieć nieznacznie odmienną opinię niż jeden ze współkonsumentów. Widelce zamaryły w połowie drogi do ust, ktoś się teatralnie zakrztusił i poczułem na sobie lodowate szpady kilku spojrzeń. Łaskawie zignorowano moją nieopatrzną wypowiedź zaledwie kilkoma znaczącymi chrząknięciami, ale wołę już tego nie powtarzać. Odchodząc od stołu, usłyszałem czyjeś ściszone: *Ale żal!*... Tamtego dnia zrozumiałem, że z kandydatami na pomniki się nie dyskutuje.

[...]

W-wa, 31 VIII 1931 r.

Wczoraj w Alejach Ujazdowskich odbyło się otwarcie Wystawy Przemysłu Cukrowniczego. W związku z tym dostałem zajęcie na okres trzech tygodni. Nie jest może bardzo dobrze płatne, ale pewne. Moja praca ogranicza się do reklamowania swoją osobą firmy wyrabiającej budynie, która nosi nazwę „Liliput”. *Spadł nam pan dosłownie z nieba!*, wykrzyknął pełnomocnik właściciela, kiedy pojawiłem się, prosząc

o pracę. O siódmej rano przebieram się w kostium krasnoludka i do czwartej, piątej po południu rozdaję ulotki reklamowe przed kioskiem tej firmy. Dziś nad moim kioskiem rozwieszono wielki transparent: „Cukier krzepi”. To hasło reklamowe wymyślił dziennikarz o nazwisku Wańkowicz. Powiadają, że w nagrodę dostał pięć tysięcy złotych. Moja dniówka wynosi raptem cztery złote, ale cóż, na bezrybiu i rak ryba.

EWA WŁODARSKA
godło: „Kolekcjonerka lalek”

I nagroda w dziedzinie poezji



EWA WŁODARSKA – ekonomistka, absolwentka kierunku art manager-impresario Profesjonalnej Szkoły Biznesu – Szkoły Wyższej w Krakowie oraz Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jej wiersze ukazały się na portalach poetyckich oraz w „Pograniczach”, „Kozimryнку”, „Blizie”, „Migotaniach”, „Frazie”, „Szafie”, „PKPzinie”, „Latarni Morskiej”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Arteriach” oraz w antologiach. Otrzymała III nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Poezji Lirycznej im. Andrzeja Babaryki, III miejsce w XIV Piastowskiej Biesiadzie Poetyckiej, nagrodę główną w Turnieju Jednego Ilustrowanego Wiersza w Świdnicy (2012).

W CIAŁACH ZAKWITAJĄCYCH DZIEWCZĄT

*Zaskoczyło nas lato, idąc nad Starnbergersee
Rzęsistym deszczem. Chwila pod kolumnadą
i wyszliśmy na blask słoneczny [...]*

T.S. Eliot *Ziemia jałowa*

Opowiem ci o domach. Zapadasz się w mury
podszewkowo. Korzenie oplatają stopy,
zimna gleba pochłania nasiona, by z miejsca
zamknąć się w odbarwioną plisę czy pęknięcie.
Ściany oddają ciosy i wieczne urazy.
Zastygają w przegubach jak świeże zakrzepy.

Opowiem ci o ludziach. Wpisani na siłę
w cztery kąty, koczują gdzieś na pograniczu;
między wilgocią siedlisk a szczeliną w ceglach. Nocą
drzwi im otwiera inny wymiar. Kroki
odmierzają zastani podróźni, zlepieni
z murów ukołysanych przez naścienne prądkie.

Opowiem o domostwach, rodzinach w amoku,
w które wnikają cienie, a obce odbicia
są powszednim pokarmem.

ALICJA ZA SZYBĄ

Od dzieciństwa przed tremem, poprawiając włosy,
robiła głupie miny; z ust babki słuchała
przedziwnych opowieści o salonie luster,
nieprzekraczalnym progu w końcu korytarza.

Wzrastała z Ossowieckim, wprowadzana w obcy
krąg Świata mego ducha i wizji przyszłości.
Nęciły ją stoliki i liczne seanse.
Wczoraj weszła w dorosłość, podjęła wyzwanie

ukrywane za drzwiami letniego pokoju.
Usiadła w centrum, świece oblewały postać.
Skupiając się na głębi, wpatrzona w płomień,
dostrzegła obraz – nie malał, gdy zbliżył się,

przeszła.

PAWEŁ PODLIPNIAK
godło: „marion_brando”

II nagroda w dziedzinie poezji



PAWEŁ PODLIPNIAK – z wykształcenia jest historykiem, a z zawodu dziennikarzem. Autor tomików „Aubade Triste”, „Karmageddon”. Publikował wiersze w „Arteriach”, „Kozimryнку”, „Miesięczniku Pro-wincjonalnym”, „Toposie”, „Redzie”, „Frazie” i w tomikach pokonkur-sowych. Laureat XVII, XVIII i XIX edycji Krajobrazów Słowa.

KALIBAN [milczenie to dojrzałość]

Jeżeli cię zapłodnię, to urodzisz dziecko
o popielatej skórze i z dwiema głowami,
szczekające wyłącznie w wymarłych językach,
niby nic i o niczym mówiące zwierciadło.
Trzeba je będzie uśpić, zanim nas przetrawi,
wydlubie sobie z uszu niby woskowinę.

Może nas nie rozerwie od razu na strzępy,
w końcu jesteśmy chyba z tej samej materii,
jednego ciała, które przekazuje dalej
zło dokładnie schowane między helisami.
To ciemne nas obwącha, w nozdrzach pozostanie
odrobina popiołu gorzkiego jak skowyt.

Dwie głowy, jedno ciało – jeżeli urodzisz,
to trzeba będzie zabić, zanim wszędzie wilkiem
przed pierwszą pełnią, kiedy zapali się w szklankach
księżyc lub morze wyschnie bez żadnego żalu
zapyłone przez piasek. Na nim postawimy
ostatnie chwiejne kroki wracając do miejsca,

gdzie nasze dni się kończą, a zaczyna cisza.

WALIJSKIE WIELORYBY [wiersz podróżny]

wydłubię z ciebie pestkę, a w to miejsce włożę
coś bezwstydnie miękkiego, żebyś mogła poczuć,
że trzęsie się i kołysze w hipnotycznym rytmie,
otwiera i zamyka – tak jak knebel usta

wydłubię z ciebie kolec, a w to miejsce wsadzę
coś niezwykle ciepłego, byś mogła zapomnieć
chłodne dworce i stukot pociągów co jadą
w miejsca zakażone przez ludzi bez dźwięku

wydłubię z ciebie drzazgę, żebyś mogła zlizać
kroplę, która popłynie po opuszkach palców
– między wargami utknie słony posmak nasion
z drzew złych wiadomości bezbrzemiennych w skutki

gdy wydłubię cię całą, jak śliwkę z polewy,
to będę patrzył cicho na śmierć w zawieszeniu
pomiędzy śpiącym ciałem a kolejnym krzykiem
na francuską nutę z moką magdalenką

bezsensowną niby życie
i tytuł nad wierszem

MAŁGORZATA KIERAT
godło: „Gloria”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



MAŁGORZATA KIERAT – z wykształcenia jest socjologiem, ale pracuje jako nauczyciel języka angielskiego w Zespole Szkół Sportowych w Chorzowie. W wolnych chwilach pisze wiersze i scenariusze przedstawień teatralnych dla uczniów. Od lat przygotowuje uczniów do konkursów recytatorskich.

Z LISTU DO ZNAJOMEJ

Nie jest tak, jak mówisz – droga pani – że wszystko osiągnęłaś sama, bez pomocy innych.

Nie ma przecież gałęzi, które o inne nie zahaczają.
Jeden palec nie obudzi melodii fortepianu.
Jedna łza nie może sama płakać.

Żadna fala nie zdobywa brzegu samotnie.
Żadna jaskółka nie odlatuje bez innych.
Samotna gwiazda nie tworzy zodiaku na niebie.

Jedna chmura nie nawodni suchej ziemi.
Zabłąkany gdzieś świetlik nie rozjaśni nocnej drogi.
Każda niemal rzeka stanowi dopływ jakiejś większej.

I nawet Bóg, choć sam sobie wystarcza,
trzyma w swoich rękach nasze dłonie,
jak mali chłopcy kolorowe latawce.

Wszyscy znaczymy tylko tyle, ile to,
co nas przerasta.

KOŁYSANKA DLA ATEISTY

Oczywiście – masz rację: nie ma niczego poza tym,
co widzą twoje oczy. Ziemia jest tylko ziemią:
nie zmartwychwstaniesz z niej już nigdy, gdyż z robaka
powstaje tylko robak, z kości – kość, z trumny – deska.

Wszak człowiek jest rzeczą ożywioną.
Modlitwa – bełkotem zrozpaczonych.
Prawda – względna, jak odczucie ciepła.
Miłość jest udowodnioną pomyłką poetów.
To, co po prawej nie różni się od tego, co po lewej.
Piękno i brzydota tę samą dzielą ścieżkę, zaś dobro
jest tylko mniejszym złem.

Zaśnij w spokoju ty, który nie dostałeś wiary,
bo o nią nie prosiłeś. Bo o nic nie prosiłeś.
Bo dotknęło cię przekleństwo wyprostowanej postawy,
gdy inni klęczeli.

Zamknij w spokoju oczy, gdyż zostaniesz ukarany
po świecku, a więc wcale. Piekło to krótki moment
zrozumienia, że twoje światy wypreparowane ze znaczeń
były od początku oszustwem. I tylko tyle.

Nie, nie będziesz wcale cierpiał, tylko, że to właśnie
będzie tak bolało. I że żadna grudka ziemi cię nie zapamięta,
gdyż pamięta się tylko to, co było.

RAFAŁ DERDA
godło: „afazja”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



RAFAŁ DERDA – autor kilkudziesięciu publikacji poetyckich, prozatorskich oraz krytycznoliterackich w „Czasie Kultury”, „Akcencie”, „Toposie”, „Portrecie” i „Kresach”.

MAŁPA KRÓLA

1.

Zbudowałem drogę szybszą niż wiatr,
mówi sen. Zbudowałem nic, mówi jawa.

Gronostajowe obciążki, karmazynowe ciężemki,
słodko-gorzkie zdania na odchodne.

I lęki. Szczególnie lęki. Te nas nadobnie
żywią, bronią i nastrojają.

2.

Zimna kawa bez cukru na dworcu.

Zimna kawa bez cukru na dworcu i dochodzi.

Podzbiór prawdy oraz podzbiór mądrości
to podzbiory do siebie nieprzystające.

Niemożnością jest w takim przypadku
nie mówić.

BIAŁE

Patrzę na ścianę łazienki przede mną,
podziwiam, jak bardzo dzisiaj nie istnieje.
Czekam na moment kiedy wejdzie pielęgniarka,
kiedy wejdzie i spyta czy się ogoliłem,
a ja zacznę mówić o grze, której zasad nie znam,
i o wierszu, który czeka tylko na swoją datę.

[To dlatego że umarł
Świetlicki Marcin
dziś nie wychodzę z oddziału]

Tak naprawdę nie wiem tylko jednej rzeczy:
kto pierwszy przyporządkował biel do szpitala.
Mówię sobie, że nie jest mi dane odejść,
dopóki ktoś mi na to nie odpowie.

Wysyłam wiadomość do wszystkich w sieci:
Zobaczycie, na niejednym weselu zatańczę.

LENA KSIĘŻOPOLSKA
godło: „Janis”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



*LENA KSIĘŻOPOLSKA – za dobrych czasów mieszkała na wsi. Pisa-
nie to dla niej sposób na resocjalizację.*

* * *

Chciałabym znów jeść ci z ręki
okruchy dzielić między wróble i orzechowe oczy
wpaść w nie jak drzazga i zostać na dłużej
na jeden uśmiech krótkie zmrużenie pod słońce
otulić się łzą spłynąć w piach

tutejsze siostry wciąż się skarżą
że nie umiem utrzymać łyżki i cieknie mi z ust
a przecież nadal potrafię puszczać lusterkiem zajęczki
budzić przez okno pacjentki z żeńskiego oddziału
przekazać wiadomość językiem migowym

te które wyleją zupę z talerza na jednorazowy obrus
siostra przełożona przywiązuje do konia na biegunach
i przed popołudniowym mierzeniem temperatury
jak w *Szale* Podkowińskiego przepędza
przed oczyma nasyconych puree i boską vegetą
każe biczować się paskami od piżam
byśmy nie pokrwawiły odleżyn

potem długo w noc ssąc kciuki
nie możemy zasnąć

* * *

Almodovar nakręci kolejny film
tym razem o jej matce
jak ciepło się poczułeś za jej stołem
jakie dalekie morza zaszumiały w muszlach spracowanych dłoni
gdy przytulała cię do piersi odbierając na peronie z ramion córki
herbata z konfiturami słoik własnoręcznie zbieranych grzybów
mimo kłopotów ze wzrokiem problemów z chodzeniem
wróżenie jesieni z mgły za oknem
wybieranie dwunastu potraw na wigilię

jej matka nie odjedzie póki nie odda ci rodzowego pierścienia
jaki udało się ocalić przed bratnią armią
póki nie wybieriecie imienia dla wnuka
na którego czeka każdej wiosny gdy wracają bociany
i wy z górskich pielgrzymek by wysuszyć buty na wielkim piecu

IDA SIECIECHOWICZ
godło: „Vocalise”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



IDA SIECIECHOWICZ – absolwentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz psycholingwistyki na Uniwersytecie Londyńskim. Pracuje jako lektor i tłumacz języka angielskiego na madryckiej giełdzie. Debiutowała w konkursie poetyckim zorganizowanym przez „Gazetę Białostocką”. Mieszkając w Londynie zamieszczała swe wiersze w „Dzienniku Polskim”. Jest laureatką wielu konkursów poetyckich. Jej wiersze były publikowane w antologiach pokonkursowych oraz w tomiku „W drodze do... Pod złamanym księżycem”.

VÉCU W REJONACH PO BEZDRZEWNEJ PUSTCE...

I

A jeśli. Tak skrzypiały resztki lasu. Rozbiegaliśmy się we wszystkie strony, zagarniając przestrzeń. Wymiar był nie do przyjęcia. W obecnym standardzie. Zablokowały nas worki. Na początku wrzucaliśmy tam zbombardowane butle pet. Łapałem się na gorącym. Można było stracić wzrok. Wypłoszyć z ciała. Nie zobaczyć więcej morza. Wyciągało wilgotną rękę jak splukany broker. Do dna. *Drill, baby, drill*. Głębiej. Ustawiono dźwigi. Mieliśmy ściągać boga na ziemię. Aby nic, co ludzkie nie rozpałało jego wyobraźni. Tymczasem na chłodno. Drzewa padały pod nogi. Kopałem rowy. Podziwiałem w pełni brzuchaty księżyc. I sadziłem młode.

21/10/2012

II

Odjeżdżają w martwej ciszy. Z pleców osuwa się cień.
Miesza z kliniec na wznak. W tej chwili. Nie zapamiętuję
rozlatujących się ptaków. Powietrze zamyka się. Jakby w jednym
oddechu. Zarzucamy sieci. Coraz bardziej. W fioletowej poświacie
z oświeconych gadżetów. Nad wodą kondensują się chmury. Rozmywają
rozjarzone odbicia. *Jet fighter* przebija niebo. Odlot mamy po białej
kresce. *Sink or swim!* Czy tonie ten, kto się rozplywa? Patrzę w mul.
Kobiety wygrzebują skostniałe muszle. Prowadzą dzieci przez gęste
piachy do huśtawek. Zaczynamy od końca. Innych. Zanim jednak.
W ostatecznym wydruku zastanawia ciemność. Mnie też boli.
Yan (jiǎn)!

4/11/2012

SPIS TREŚCI

Karol Maliszewski	–	<i>Dwadzieścia lat z poezją i prozą w Kędzierzynie-Koźlu</i>	5
Adrianna Dziadyk	–	godło: „Severus Snape”	9
Anna Tlalka	–	godło: „mgła wieczorna”	17
Bartosz Jastrzębski	–	godło: „Jagodzin”	23
Piotr Mikulski	–	godło: „United”	41
Genowefa Światłoni	–	godło: „Samuela M.”	61
Jolanta Kapica	–	godło: „Jotka”	69
Marek Chorabik	–	godło: „Szorstki”	93
Jakub Piasta	–	godło: „Cofanuson”	109
Krzysztof Martwicki	–	godło: „Cośnic”	133
Ewa Włodarska	–	godło: „Kolekcjonerka lalek”	153
Paweł Podlipniak	–	godło: „marion_brando”	157
Małgorzata Kierat	–	godło: „Gloria”	161
Rafał Derda	–	godło: „afazja”	165
Lena Księżopolska	–	godło: „Janis”	169
Ida Sieciechowicz	–	godło: „Vocalise”	173



Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2004 roku



Firma wykonuje usługi w zakresie:

- wykonawstwa projektów elektrycznych, elektroenergetycznych i nadzorów,
- instalacji elektrycznych (nowe, modernizacje, remonty),
- linii elektroenergetycznych (kablowe, napowietrzne),
- rozdzielni elektrycznych,
- montażu maszyn i aparatów elektrycznych,
- pomiarów elektrycznych, instalacji odgromowych,
- linii i instalacji teletechnicznych,
- instalacji TV,
- instalacji logicznych (komputerowych),
- instalacji domofonowych,
- przecisków wykonywanych urządzeniem typu KRET,
- wszelkich prac budowlanych związanych z wykonywaniem prac w ww. punktach.



GRUPA AZOTY

Grupa Azoty
Zakłady Azotowe Kędzierzyn S.A.
ul. Mostowa 30 A
skr. poczt. 163
47-220 Kędzierzyn-Koźle

tel.: +48 77 481 20 00
fax: +48 77 481 29 99
zak@grupaazoty.com
<http://zak.grupaazoty.com/pl>



Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2000 roku



**MIEJSKIE WODOCIĄGI
i KANALIZACJA**

w Kędzierzynie-Koźlu
Spółka z o.o.

47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14

**Miejskie Wodociągi i Kanalizacja
w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.
47-200 Kędzierzyn-Koźle,
ul. Filtrowa 14**

tel. 77 480 13 00, fax 77 544 96 36

**e-mail: mwik@mwik.com.pl
www.mwik.com.pl**

• „Nie mogę mówić w imieniu wszystkich uczestników, ale dla mnie to coś więcej niż rywalizacja o nagrodę. Pieniądze się wyda i to zbyt szybko, z sukcesu krótko cieszy się rodzina, zwłaszcza dzieci, ktoś zajrzy do książki, ale możliwość uczestniczenia w spotkaniu pokonkursowym, to uczucie, które zapada w pamięci na długo”.

Elżbieta Dzięwońska

• „Dzięki za nagrodę, dzięki za wieści: niestety – u mnie nieciekawie: chciałbym do Was przyjechać – nie wiem jak będzie, [...] Zatłączam [...] swoją pierwszą książkę. Przepraszam za OSTROŚĆ prozy, ale tak się żyje w Galicji...”.

Augustyn Baran

• „Cieszy nas fakt, że konkurs daje wielu uczestnikom szansę na solidną ocenę i zaistnienie, a nam organizatorom pozwala na uczestniczenie w czymś niezwykłym, dialogu różnych form, wrażliwości, w wykreowanym świecie zamienionym na wiersz, czy opowiadanie”.

Helena Bulanda

XX KONKURS LITERACKI 2013



„I tak dotarliśmy do roku 2013, kiedy możemy świętować fakt pojawienia się w Kędzierzynie-Koźlu bardzo dobrej literatury.

Oto główne nagrody w kategorii poezji i prozy otrzymują mieszkanki tego miasta, Anna Tiałka i Adrianna Dziadyk. Czy to nie jest owoc tego konkursu, wymierny efekt stworzenia dobrego w tym mieście klimatu dla samodzielnych poszukiwań artystycznych...”

[ze wstępu]

